NOWA POLSKA

LONDYN KWIECIEŃ 1943

25. IV. 1943.



Rys. Janina Konarska

MARJA KUNCEWICZOWA

ZMOWA NIEOBECNYCH

Powieść

Rozdział II

W hall'u, oparta o ścianę, stała tablica na kiju, którą liberyjny chłopiec, wzywając do telefonu, obnosił zwykle pośród gości hotelowych. Mr. Hotchkiss — widniało tam jeszcze napisane kredą nazwisko.

Nie zgłosił się — westchnęła kobieta w futerku. — Nie było go tu, choć najwyraźniej tu właśnie kazał siebie szukać. Nie było go. Gdzież więc był Mr. Hotchkiss dzisiejszego wieczora?

Za obrotowymi drzwiami hotelu słała się nieprzenikniona ciemność. Ktoś spytał: „Taxi, Madam?" Kobieta w czarnym futerku nie chciała taxi. Chciała sama, bezpośrednio, nie osłonięta żadnymi ścianami, zanurzyć się w noc. Obcasy głośno stukały o chodnik i gałęzie szumiały w parku „Poczuwajcie się do bytu! poczuwajcie się do istnienia!" — głos lorda z bródką tętnił w mózgu. Kobieta, mimo futerka, drżała. Istnieć, ale gdzie? Istnieć, ale dla kogo? Szła po Londynie, po ulicy Park Lane. . . Tak, chyba to na pewno ona szła po ulicy Park Lane w Londynie. Ale te gałęzie, które szumiały, jakie to były gałęzie? W ciemności nie widziała nic, słyszała tylko. A ten szum, to był szum Łazienek. Więc gdzież ona go w końcu słuchała — na Park Lane, czy może jednak w Alejach. I do kogo szła? „Excuse me—zatrzymała się przy policjancie — jaki to jest park, tu obok?" Zwalista postać milczała, wreszcie gdzieś z wysoka padły pełne godności słowa: „That is Hyde Park, Madam".

Kobieta szła dalej, minąwszy stację kolejki podziemnej. Oświetlona elektrycznością, otoczona współpasażerami, musiałaby „poczuć się do bytu". Musiałaby nasłuchiwać „co mówią obecne i dawne pokolenia", musiałaby „dźwigać świat na swoich barkach." Nie chciała. Nie chciała tego, odkąd mogła uczucia swoje zapamiętać. Pierwszy raz zrozumiała, że nie chce, kiedy była już mężatką. Na pewnym przyjęciu u mało znajomych ludzi, przy kolacji nie wiedziała kto są jej sąsiedzi. Mówiło się o ostatnich premierach, o sezonie w Zakopanem, o potrawach. Później nastąpiły tańce. Jak zwykle, męczyła ją strasznie każda nieprzetańczona minuta. Ilekroć znalazła się na krześle pod ścianą i nikt nie podążał ku niej, popadała w panikę. Kiedy otoczyło ją ramię tancerza, panika przeradzała się w gorliwą chęć podzielenia rytmu tego drugiego ciała. To nie zawsze przychodziło z łatwością. Niektóre ciała męskie posiadały rytm tak silny, albo tak niespodziewany, że zadaniem tancerki stawało się całkowite samounicestwienie. Inne znów nie miały żadnej osobistej pulsacji, zdawały się oczekiwać od kobiety, że podyktuje im ruchy, że narzuci im krok własnego serca. Tylko czasami się zdarzało, że muzyka dla obu partnerów była jednoznaczna i że taniec tańczył się sam, bez udziału czyjejkolwiek woli. Tak mijała noc bezosobista, pracowita, przerywana tymi krótkimi chwilami błogości, kiedy rytm dwojga nieznajomych okazywał się wspólny.

Szok nastąpił nad ranem. Przy jakiejś figurze tanecznej znalazła się w grupie gości, których dotąd nie zauważyła. Jakiś człowiek przytrzymał ją za rękę. Żachnęła się, bo pauza wywoływała zamieszanie, pauzy wtenczas nie powinno było być. Obcy nie puszczał ręki. Patrzył prosto w oczy. Powiedział: „Dokąd tak, dokąd? Zatrzymać się. Ochłonąć." Zamrugała, jak przez sen. „Czy pan do mnie mówi?" — spytała. „A tak, tak, do pani — odpowiedział z naciskiem. — Pani taka skupiona, taka nieobecna. . ." I właśnie wtedy muzyka przestała grać, pary rozprzęgły się. Zdała sobie sprawę, że stoi pod żyrandolem, w bardzo ostrym świetle. I że istnieje. Że ma rozdział z lewej strony głowy, suknię z lamy, piersi

za małe (prawa większa), policzki gorące i dech zaparty ze zdumienia. Obcy wziął ją pod ramię i odprowadził do kanapki w samych drzwiach balkonu. Usiadł obok. Na dworze robiło się szaro, domy naprzeciwko wstawały z nocy, ptaki próbowały ćwierkać, stróż polewał ulicę, gdzieś skrzypiały koła.

„Czy nie za chłodno?“ — spytał. — „Ale pani chyba nie jest skłonna do zaziębień? Pani *jest* silna, zdrowa“. Patrzył z bliska, w świetle teraz podwójnym i łamiącym się, na kobietę jeszcze bezsilną z nocy, a już przestraszoną dniem. Nie projektował pewnie niczego ważnego, pragnął tylko tego świtu we dwoje z kimś młodym i nie przebudzonym, kogo nie on będzie musiał budzić. Ale ów ktoś najniespodziewaniej obudził się sam. Kobieta dotknęła dłonią czoła i odsunęła się... W jej wzroku błysnęła ostra świadomość, podobnie jak bywa u chorych po malignie. „Muszę iść — powiedziała — muszę odszukać męża“. Wstała. Obcy chwycił ją za obie dłonie. Teraz kiedy — przebudziwszy się — miała zniknąć, wydała mu się kimś niezmiernie ważnym. „Niech pani zostanie. Przecież ja nic o pani nie wiem! Proszę coś mówić do mnie. O sobie. O sobie“. Odeszła. Gniew ją niosł. Gniew i strach. Ten obcy wyłowił ją, jak rybę z nurtu drgającego tajemniczymi prądami i wyrzucił bezbronną na brzeg. Zapytał: dokąd? Powiedział: pani jest. Potem trzymał za ręke w tym sinym świetle wstającego dnia i patrzył. I prosił o słowa, które byłyby trudniejsze od śmierci: o sobie.

Tamtego pobalowego rana kobieta w futerku zdała sobie naraz sprawę, dlaczego takie właśnie dwie sceny z pierwszych lat dzieciństwa nosiła zawsze w sercu, jako sceny straszne.

Jedna sięgała czasu najwcześniejszego, prawie nierzeczywistego.

Działa się w wielkim ciemnym pokoju, nocą. Kobieta, która wówczas bardzo niewiele jeszcze umiała wyrażać słowami, krzyczała w niebogłosy. Stała na łóżku, odpychając płomień świecy i dwoje obcych oczu. Jej obie ręce zostały pochwycone przez tę samą wielką dłoń, której ucisk czuła jeszcze na piersiach i na brzuchu, świeca przybliżała się tuż do twarzy, w gardło wsunął się twardy przedmiot, a nieznajome oczy zawisły tuż nad jej ustami, patrząc poprzez nie gdzieś do wnętrza. Pamiętała doskonale szaleństwo buntu, zawarte w swoich krzykach.

Kiedyś, już jako dorastająca dziewczyna, spytala matki, kim był człowiek, który pierwszy zaglądał jej do gardła. Matka wzruszyła ramionami: „Oczywiście, doktór. Ach, pamiętam... W nocy go sprowadzono. Miałaś dyfteryt. Czy tak cię bardzo bolało?“ — „Nie pamiętam bólu — odpowiedziała. — Pamiętam, jak strasznie się bałam, że on coś we mnie zobaczy... Ale co zobaczy? I dlaczego się bałam? Nie wiem“.

Druga scena: Boże Narodzenie i cisza w domu. Rodzice zmęczeni świątecznym obiadem, zaszyci gdzieś w głębi mieszkania w łóżkach, czy w fotelach. Służba nieobecna. Drzewko w cieple pachnie i trzaska. Czasem na którejś gałązce gwiazda, koszyczek albo kula tęczowa, zawieszone na jedwabnych pętlach, czynią — błyszcząc — ruch wirowy dokoła swoich osi. Na dywanie pod choinką rozłożona książka. Kobieta w futerku, która wówczas nie umiała jeszcze czytać, oglądała obrazki. W miarę jak posuwało się oglądanie, cisza domu stawała się głębsza, zapach drzewka bardziej przejmujący, wiry gwiazd i kul coraz szybsze. Wreszcie książka została zamknięta, kobieta wypełzła spod gałęzi i siadła na dywanie opodal, ogarniając ramionami kolana. Ciemnawo już było, meble zrobiły się ogromne, podeszły blisko, stanęły w krąg, jak milczące zwierzęta, zegar zaczął mówić głośno i bardzo szybko po francusku, asparagus odpowiadał po wodnemu — szemrząco. Wtem coś pstryknęło głośniej, niż piorun uderza: przeraźliwy blask lampy upadł na pokój, kobieta zerwała się na równe nogi i w lustrze naprzeciwko zobaczyła siebie: haftowany batystowy fartuszek, otwarte usta, rozszerzone oczy. Pamiętała zawsze, jak zawołała wtedy:

„nie, nie, to nie ja!"— zarzuciła fartuszek na głowę i stała bez ruchu— ślepa, drżąca — póki ojciec siłą nie uprowadził jej sprzed lustra.

Iluż to lat dzieciństwa i młodości było trzeba, żeby o świcie na balu zrozumieć — dlatego, że ktoś obcy wziął za rękę i patrzył — nareszcie zrozumieć swój wielki strach przed—istnieniem. . .

Bo czym że były owe niemowlęce krzyki w obliczu doktora i czym było — w zaraniu lat — wyparcie się siebie przed lustrem, jak nie protestem przeciw istnieniu w świetle cudzych oczu i lamp, a nawet słońca, w świetle „tak brutalnie zwanej" rzeczywistości?

„Jeśli odrzucimy ciężar bytu, przemienimy się w nieobecnych, przemienimy się w cienie". . .

Ależ ty sam, lordzie z bródką, jesteś cieniem mitycznego hrabiego Orgaza! — zaśmiała się, i żołnierz na chodniku przystanął. „Hullo, sister—rzekł — what's funny?" Przyśpieszyła kroku. Śmiech ją rozpierał.— Otóż i znowu odrzucam ciężar „tak brutalnie zwanej" obecności — myślała. — Obecności na londyńskim chodniku w charakterze siostry żołnierza.

Skręciła w przecznicę. Tam nie słychać już było szumu Łazienkowskich gałęzi. Za to bezszelestny kot przebiegł jezdnię i wpadł pod nogi, czyniąc z tej ulicy ulicę niewątpliwie warszawską.— Do kogo ja idę, do kogo idę? — powtarzała w duchu — przecież *jego* tu niema, przecież *on* nie wiadomo gdzie jest. . .

Pchnęła drzwi frontowe, szybko i cicho przebiegła korytarz, zastukała... Drzwi od mieszkania ustąpiły niemal natychmiast, kobieta znalazła się w uścisku. Po chwili mężczyzna rzekł: „Przepraszam cię. Światła nie mogę zapalić, bo mój black-out zepsuty". Posuwając się w ciemności przeniknęli z przedpokoju do wnętrza. Ramię gospodarza otaczało ją. Uderzyli goleniami o coś, co podcięło równowagę i upadli na tapczan. Powoli ustąpiły przeszkody — futro, rękawiczki, suknia — ciepło drugiego ciała stało się wyraźne: kobieta, której kazano istnieć, schroniła się przed istnieniem w płynny, senny żywioł, tętniący cielesnymi rytmami. Sporo czasu minęło, zanim spytała półgłosem: „Gdzie jesteśmy? Czy ty może jesteś Mister Hotchkiss? Powiedz".

ŚWIATOPEŁK KARPIŃSKI

WILEŃSKI WIERSZ

Szedłem Tatarską z rozmachem,
Bezdomny i w zamyśleniu,
Pomiędzy dachem a dachem
Księżyc wyzłocił w kwitnieniu.
    Widok był teatralny
    I oklepany w piosenkach,
    Aż myślę : ten księżyc banalny
    Tak samo świeci w Łazienkach.
Tak samo śpiewa na Kruczej,
Ruinom myje podłogi,
Przez Wspólną płynie, jak ruczaj,
Rozpruwa westchnienia i trwogi.
    I cóż : Tatarska ulica,
    Zaułki zawarte, jak wieko,
    Ratujcie ! Ja nie chcę księżyca.
    Gdy tak mi do wspomnień daleko.

Marzec 1940

ANTONI SŁONIMSKI

AHASWER

Ja już tej wojny nie wygram,
Serca nie wyrwę już z kleszczy.
Uciekam — zbieg i emigrant,
Jak uciekałem z Zaleszczyk.

Uciekam drogą zawiłą
Od własnych uciekam wspomnień,
Jak ten, co siadł nad mogiłą
I szuka gwiazd nieprzytomnie.

Skulony, skryty w fotelu,
Czujny dezerter ze świata,
W małym londyńskim hotelu
Węzły gordyjskie rozplatam.

Patrząc w popioły wygasłe,
Pledem okryty jak chustą —
Strudzony biegiem Ahaswer
Owijam, otulam się pustką.

ALEKSANDER JANTA

RODAKOM W RADIO

Wiersz pisany pod okupacją niemiecką

Dostojny głos najwyższych głów,
Przychodzi do nas brzmieniem słów
Nagranych na londyńskie płyty.

Radio niosące w pustkę, w dal
Na polskiej fali w morzu fal
Wołanie Rzeczypospolitej.

Ale nie myślcie, że wśród burz
Co tyle słów stłumiły już
Te są nauki, co nas zbawią.

Nie dla tych uroczysty ton,
Okrągły zwrot (głęboki schron)
Którzy dziś biją się i krwawią.

Nie chcemy dzwonów ani trąb
Bo milsze nam pioruny bomb
I łoskot wojennego grzmotu.

Bo tylko brzmienie takich słów
Serca nam tu zapala znów
Widzeniem zwycięstw i powrotu.

Mieliśmy tanich złudzeń w bród,
Dziś jednym strach dla drugich głód
Jest walki tłem i próbą życia.

I tylko wstrząs może mieć wpływ
Na tego, kto jest jeszcze żyw
I trwa i słucha was z ukrycia.

Dochodzi czasem szept jak krzyk
Waszych rozliczeń, waszych klik
I porachunków personalnych.

Nam pilno już zapomnieć błąd
Przebaczyć winnym, zamknąć sąd
Wobec klęsk naszych namacalnych.

Nie liczy tu na niczyj hołd
Ni na uznanie, ni na żołd
Słuchacz wasz na ostatniej warcie,

Lecz mierzy wartość waszych sił
I dnia, co oby świtem był
Dla czekających tak uparcie.

Szukać wam nowych słów i dróg!
Swoje nam w uszy kładzie wróg
Fanfaronady i fanfary.

Ale się dotąd tylko on
Zdobył na czynu twardy ton
I sąd i wymierzanie kary.

Wam tam z za morza łatwo jest
Zrobić przez radio groźby gest
Kiedy nas tropi już Gestapo.

Gdy my słuchamy bicia krwi
Patrząc po sobie i na drzwi,
W które ktoś puka mocną łapą.

Nie krzepcie melodiami z płyt
Walczących dziś o nagi byt,
Dla których zguba może bliska,

I policzone dni i czas
Poco im słuchać jeszcze raz
Kazania albo słuchowiska?

Lecz gdy uderzy poprzez mrok
Zbliżania się waszego krok
Rosnące przez głośniki hasło

Powrotu, celu wszystkich dróg,
Ci sami rzucą wam do nóg
Miłość i wierność niewygasłą.

N. V. TILEA

STANY ZJEDNOCZONE EUROPY ŚRODKOWEJ

Autor powyższego artykuuł, napisanego specjalnie dla "Nowej Polski", jest byłym—rumuńskim ambasadorem w Londynie, obecnie przewodniczącym komitetu „Wolnych Rumunów."

Narody Europy Środkowej, mieszkające między Bałtykiem a Adriatykiem oraz między Morzem Śródziemnym i Czarnym, jeśli chcą istnieć, muszą utworzyć jednolity Związek Państw Centralnej Europy. Obecne przeżycia wojenne zarówno jak przeszłość, udowadniają bezsporność tej prawdy. Aby uniknąć niewoli gospodarczej i politycznej, która nam grozi, czyż wolno nam się wahać? Jedność czy niewola? Decydujmy.

Historia narodów Europy Środkowej rozpatrywana w ciągu tysiąclecia, wykazuje, że nie co innego, tylko ich kłótnie umożliwiały zaborcom ujarzmianie wolnych. Historia jednak uczy również, że w krwawych rozprawach narody Europy Środkowej nieraz wspomagały się w walce o wolność. W 1422 pod murami Malborga Rycerze Krzyżowi pokonani zostali przez wojska polskie przy udziale zastępów Mołdawskich (Rumuńskich). W 1389 na Kosowym Polu armia serbska wespół z armią rumuńską przeciwstawiły się Turkom. W niewiele lat potem koło 1394 r. wspólny wysiłek pokonanych pomścił uprzednią klęskę. Pełna wymowy jest także wyprawa Sobieskiego pod Wiedeń. Zwycięstwo to będące triumfem nie tylko Polski, lecz całej kultury zachodniej, ocaliło istnienie wielu ludów Europy. Wielokrotnie w ciągu dziejów Polacy i Mołdawianie (Rumuni) pomagali sobie w walkach przeciw Turkom, czy Tatarom. Bem i Haller walczyli o niepodległość ramię w ramię z Kossuth'em. Jako rezultat tego braterstwa broni stworzona została atmosfera, dzięki której tysiące polskich lotników i żołnierzy mogło przedzierać się na Zachód przez ziemie Węgrów czy Rumunów, pomimo protestów potężnych Niemiec. Poczucie braterstwa okazało się mocniejsze, niż zobowiązania traktatowe, czy obawy osobiste.

Nie można jednak pominąć milczeniem faktu, iż stosunki między omawianymi narodami nie zawsze układały się sielankowo. Sprawy drugorzędnej nieraz ważności wywoływały tarcia, które kończyły się wojnami. Wbrew powszechnie przyjętej opinii ilość tych krwawych starć była przecież stosunkowo mała. Walki zaś nie zniszczyły uczucia wspólnoty. Dlatego, w dniach próby dzisiejszej sprawa jedności ludów Europy Środkowej jest sprawą nie tyle natchnionych przywódców, ile żądaniem mas.

Nowy najazd Teutoński i nowe cierpienia ponoszone w imię wolności,

wytwarzają nowy zasób sił, służących idei związku organicznego narodów zagrożonych. Niewola jednostek i klęska państw, eksploatacja przez wroga wszystkich sił ludzkich i materialnych Europy, wykazują nicość drobnych sporów sąsiedzkich.

Rumunia wydatnie pomagała patriotom serbskim, gdy gotowali się do walki z zaborcą. Polacy w swych walkach o niepodległość również spotykali się w tymże kraju niejednokrotnie z wydatnym poparciem. Szereg rodzin, szukających schronienia na ziemiach rumuńskich, tak się z nią zrosło, iż pozostało w Rumunii na stałe. Popularne tu nazwiska Cichockich, Górskich, Sołońskich, Koźlińskich, Skrzyneckich i wiele innych świadczą, że ludzie noszący je nie tylko znaleźli chleb tutaj, ale i odegrali poważną rolę w życiu nowej ojczyzny.

Narody Europy Środkowej mówią różnymi językami, ale wszystkie wywodzą się ze wspólnego pnia trackiego z dużą przymieszką Rzymian, Słowian oraz innych przybyszów. Liczne wojny, prowadzone w tej części świata, przemieszały naszą krew i naszą kulturę. Jednolitość ta umacnia wspólnotę interesów polityczno-gospodarczych opartą o jednorodność struktury społecznej. Przewaga elementu włościańskiego we wszystkich krajach Europy Środkowej jest jedną z głównych cech tej struktury. Masy włościańskie, jak i masy robotnicze, znamionuje tu wybitne przywiązanie do swobód indywidualnych oraz do wolności narodu. Nic tych mas nie fascynowało, tak w przeszłości i obecnie jak idea wolności .Z tego umiłowania wolności zrodziły się liczne walki o niepodległość. Niepodległość państwowa w formach przedwojennych jest dziś trudną do utrzymania. Świat rozwija się w kierunku coraz większych jednostek politycznych i gospodarczych. Wzajemna zależność polityczna, gospodarcza i kulturalna wzmaga się do tego stopnia, iż tylko wielkie organizmy sprostać mogą warunkom i odgrywać rolę aktywną. Pogodzenie więc żądzy wolności narodowej z potrzebą utrzymania wielkich zespołów polityczno-gospodarczych jest zagadnieniem naszego czasu.

Historia jest nieubłagana w swych prawach, jeśli chcemy istnieć, musimy korzystać z jej nauk.

Narody Europy Środkowej to ludy, młode choć doświadczone licznymi przejściami. Na ziemiach między Bałtykiem a Adriatykiem mieszka przeszło 110 miljonów mieszkańców zahartowanych w wojnach i w walce o chleb. Wszystkie te narody w przeszłości walczyły w obronie chrześcijaństwa i kultury zachodniej. Wytrzymały liczne przeciwności losu płynące z położenia geograficznego. Doświadczenia przeszłości są fundamentem, na którym rozbudują one swoją przyszłość, oparciem zaś dla tej przyszłości może być tylko wspólna organizacja. Organizacja pełna i niepodzielna, czyli *Stany Zjednoczone Europy Środkowej*: do organizacji tej powinny wejść: Polska, Czechosłowacja, Węgry, Jugosławia, Rumunia, Grecja, Bułgaria, Państwa Bałtyckie i Albania. Do tego zespołu, w moim przekonaniu, powinna należeć również Austria. Przeszło 110 miljonów ludzi związanych wspólnymi interesami i możliwościami gospodarczymi: to prawdziwa potęga. Narody te będą miały w swym rozporządzeniu około półtora miljona kilometrów kwadratowych cennego terenu. Ziemie ich posiadają zaś dostateczne zasoby do wyżywienia swojej ludności.

Proponowany związek powinien być dość ścisły na to, aby nie pozostawało miejsca na inny z zewnątrz i na tarcia wewnętrzne. Dlatego nieodpowiednia byłaby forma przymierza, czy nawet federacji. Doświadczenia ostatnich lat wykazały, że najściślejsze przymierza nie mogły się oprzeć rozkładowej robocie Berlina. Krótkowzroczność ludzi jest ogromnie pomocna w robocie destrukcyjnej. Każdy kraj łudził się, że jemu właśnie uda się uniknąć panowania nazistowskiego. Środkiem mającym odwrócić tę klęskę, była metoda powolności wobec żądań niemieckich. Przypuszczano, że atak niemiecki kierowany przeciwko poszcze-

gólnym ofiarom ominie właśnie najpowolniejszą. Życie zemściło się na małodusznych, wykazując błędność nieopatrznych rozumowań.

W naszych warunkach, jedyną skuteczną obroną jest scentralizowanie rozporządzalnych środków. Gdy będziemy mieli wspólną politykę zagraniczną, gdy połączymy najważniejsze dziedziny życia państwowego, nasza sytuacja zmieni się całkowicie. Dla uzyskania pełnych rezultatów nie wystarczy utworzenie na terenie Europy Środkowej dwóch związków — Północnego i Południowego Bałkańskiego. Zorganizowanie tego rodzaju dwuch kompleksów daje podstawy do politycznego *i gospodarczego* współzawodnictwa. Poza tym związki te, działając każdy na własną rękę, nie będą dostateczną siłą i nie będą mogły wzbudzać zaufania ani w Wielkiej Brytanii, ani w Stanach Zjednoczonych, ani w Z.S.S.R. Dopiero jednolity politycznie i gospodarczo blok wszystkich ludów Europy Środkowej może stać się kontrahentem wielkich mocarstw, co da skuteczną gwarancję pokojowego rozwoju.

Istnienie w tym terenie dwuch osobnych organizmów, potęgowałoby rozbieżność interesów. Wyższe kulturalnie i gospodarczo, obdarzone bardziej zmodernizowaną wytwórczością rolniczą narody północne, próbowałyby odseparować się od produkcji rolniczej południa. Te same tendencje zaznaczyłyby się w dziedzinie przemysłowej. Zastrzeżenia przeciw jednolitej organizacji streszczające się w stwierdzeniu nadmiernego zróżniczkowania terenów środkowo europejskich, nie wytrzymują krytyki. Po wojnie 1918 r. Polska, Jugosławia i Rumunia, powstały z ziem, lub zostały zaokrąglone prowincjami rządzonymi uprzednio przez trzy, lub dwa państwa, różne bardzo co do swego poziomu. To samo da się powiedzieć i o innych narodach, a specjalnie o Czechosłowacji. Trudności, które wynikły z tego stanu rzeczy okazały się niewielkie. W dzisiejszych czasach, kiedy zwycięża zasada planowania gospodarczego, trudności te — przy wspólnym podłożu polityczno-organizacyjnym — czyż mogą być uważane za poważne?

Pozostanie zapewne pewna ilość spraw spornych pomiędzy przyszłymi kontrahentami. Sprawy te jednak, w zestawieniu z zagadnieniami naczelnymi, muszą być traktowane jako drugorzędne. Zdrowy rozum, poparty świadomością korzyści, oraz zmysłem sprawiedliwości, znajdzie drogi do pokonania trudności. Przy rozpatrywaniu praktycznych możliwości należy wziąć pod rozwagę zarówno wymianę ludności, rektyfikacje graniczne, jak ideę *kantonów* narodowościowych. Te środki, oraz inne umożliwią ograniczenie nadmiernych ambicyj. Przeszłość poucza, iż nie wiele uzyskała Polska przez przyłączenie Cieszyńskiego, gdy później, wraz z nabytkiem znalazła się pod obcym panowaniem. Co zyskały Węgry, czy Bułgaria przez okupację terenów, należących do sąsiadów, gdy z kolei oba te państwa znalazły się pod obcą okupacją? Na tych przykładach widzimy, jak wydatną i krzywdzącą rolę odegrała polityka podburzania niemieckiego i własnego, sąsiadów przeciw sąsiadom. Luźna konfederacja, nie usunie tych niebezpieczeństw. Nie usunie ich także fakt utworzenia związku północnego, przy zachowaniu mniej lub więcej luźnych form. Żeby zapobiec klęskom, trzeba zorganizować Europę Centralną jako jedną całość.

Sąsiadami naszymi są 80-milionowe Niemcy i 180-milionowe Z.S.S.R., z którymi to krajami chcemy żyć w pokoju i dobrych, sąsiedzkich stosunkach, spodziewając się tych samych intencyj z ich strony. Czy 52 milionów Polaków i Czechosłowaków może utworzyć dostateczną przeciwwagę w jednym i drugim kierunku, a co gorzej w obu kierunkach o jednym i tym samym czasie? Czy temu zadaniu nie lepiej podoła masa około 110 milionów z jej wielkimi zasobami? Polityka bywa czasami zagadnieniem masy i siły.

Przy rozwiązywaniu zagadnienia jedności organizacyjnej państw Europy Środkowej musimy się liczyć z koniecznością przekazania części praw

suwerennych na rzecz wspólnej całości. Czy tego rodzaju ewentualność powinna budzić obawy? Czy istniała w przeszłości faktyczna suwerenność mniejszych narodów? Tylko jako złudzenie. Wszystkie państwa, a przede wszystkim państwa słabsze, stawały się od dawna coraz to bardziej zależne — pośrednio czy bezpośrednio — tak w dziedzinie politycznej, jak i gospodarczej, od swych sąsiadów, zwłaszcza potężniejszych. W tych warunkach projektowany związek państw jest formalną konsekwencją istniejącego już faktycznie stanu rzeczy. Dla osiągnięcia naszych celów powinniśmy uznać potrzebę zespolenia: polityki zagranicznej, finansów, gospodarki, obrony, transportu, wychowania, zdrowia, kultury i opieki społecznej — na terenie Związku. Lokalne zagadnienia narodowe powinny być pozostawione pieczy lokalnych rządów narodowych, rozporządzających własnymi środkami materialnymi. Parlamenty narodowe powinny wyłonić parlament związkowy, który byłby emanacją tych izb.

Stany Zjednoczone Europy Środkowej zapewne będą dążyły do związania się z innymi państwami, a to w sprawach utrzymania światowego pokoju i porządku. Będzie to czynem dużej doniosłości, jeżeli Związek Narodów Europy Środkowej potrafi uzyskać stałą formę współpracy z Wielką Brytanią Stanami Zjednoczonymi i Z.R.S.S.R. Rosja Sowiecka, jeżeli pragnie rzeczywiście pokoju i chce pokojowego rozwoju wypadków, zrozumie, że w jej interesie leży posiadanie pomiędzy sobą a Niemcami nie "granicy strategicznej," która przy współczesnej technice nie posiada militarnej wartości, lecz rzeczywistego,, strategicznego pancerza," powstałego z przeszło 110 milionów obywateli. Stany Zjednoczone Europy Środkowej są koniecznością historyczną.

TADEUSZ RÓŻYC ZAMOYSKI

POWOJENNE ZAGADNIENIA GOSPODARCZE ŚRODKOWEGO REJONU EUROPY

Jeżeli mówi się o niedokonsumpcji i konieczności podniesienia poziomu życia i zdolności nabywczej wielkich obszarów poza-europejskich, jak Chiny, Indie, Ameryka Południowa — to tym bardziej nie wolno zapominać o takich samych zjawiskach i zagadnieniach, które występują w Europie i które przede wszystkim muszą być rozwiązane. Mam na myśli blok krajów, których geograficzne położenie może być wyznaczone w ten sposób, że od wschodu graniczą z Rosją, od zachodu — z Niemcami, na północy zamykają się Morzem Bałtyckim, a na południu morzami: Czarnym, Egejskim i Adriatyckim. Jest to część Europy, znana w geografii pod rozmaitymi nazwami, a którą nazywać będę dalej środkowym rejonem Europy.

Strefa ta jest zamieszkana przez ludność wynoszącą przeszło 110 milionów na 570 tys. mil. kw. powierzchni, a żyjącą przeważnie z rolnictwa. Daje ona utrzymanie co najmniej 35% ludności, jak w Czechosłowacji, a stanowi dominujący element struktury zawodowej ludności krajów, dochodząc np. w przypadku Bułgarii do 80%.

Rejon położony jest komunikacyjnie w pozycji centralnej, posiada obfitość siły wodnej, dużą ilość bogactw naturalnych, znaczne obszary leśne, a produkcja rolna obejmuje uprawę wszelkich roślin udających się w tej strefie klimatycznej.

A jednak pod względem gospodarczym środkowy rejon Europy zajmował przed wojną jedno z ostatnich miejsc, co szczególnie plastycznie rysuje się w danych, wskazujących konsumpcję na głowę ludności. Tak np. spożycie

mięsa wynosiło w Stanach Zjednoczonych 135 lbs., w W. Brytanii — 140 lbs., we Francji i Czechosłowacji — przeszło 70 lbs. ale w Polsce — 41 lbs., a w Jugosławii — 29 lbs. Spożycie cukru w Stanach i W. Brytanii — ok. 100 lbs., we Francji — powyżej 50 lbs., w Czechosłowacji — prawie 40 lbs. ale w Polsce — niespełna 20 lbs. a w Jugosławii niewiele ponad 12 lbs. Konsumpcja węgla w U.S.A.—3,5 ton, w W. Brytanii — 3,9 ton, we Francji — 1,6 ton, w Czechosłowacji — 1,4 ton, w Polsce — 0,7 ton, w Jugosławii — 0,2 ton. Przędza bawełniana: w Stanach Zjednoczonych — 22,1 lbs., w W. Brytanii — 26,4 lbs., we Francji — 13,4 lbs., w Czechosłowacji — 12,2 lbs. w Polsce — 4,6 lbs., w Jugosławii — 2,6 lbs. Przykładów takich można podać znacznie więcej. Widać z nich, że i wewnątrz samego obszaru jeden kraj odcina się korzystnie od innych, aczkolwiek w wielu wypadkach nie dościga wewnętrznej konsumpcji zachodnio-europejskiej lub amerykańskiej. Krajem tym jest Czechosłowacja.-

Jeżeliby udało się podnieść konsumpcję całej ludności, zamieszkującej środkowy rejon Europy z poziomu jawnej niedokonsumpcji do przeciętnego poziomu czechosłowackiego, to uzyskane w ten sposób zapotrzebowanie nie tylko pochłonie całą produkcję obszaru — ale wytworzy nowy rynek zbytu dla już uprzemysłowionych krajów świata. Rynek szczególnie atrakcyjny, gdyż położony w centrum Europy, w niewielkiej odległości geograficznej od głównych zachodnich ośrodków produkcji, bez porównania mniejszej, niż odległość ich od krajów azjatyckich i południowo-amerykańskich.

Jasną jest rzeczą, że droga do tego celu prowadzi przez uzdrowienie struktury gospodarczej rejonu i podniesienie ekonomiczne krajów, wchodzących w jego skład. Uwzględniać musimy fakt, że w strukturze ekonomicznej przeważał dotychczas, z wyjątkiem Czechosłowacji, element rolniczy. Zabiegi ku uzdrowieniu tej struktury powinny być więc prowadzone w rolnictwie i w przemyśle równocześnie i równolegle. Należy przede wszystkim, albo zakończyć reformę rolną w krajach, gdzie była ona daleko bardzo już posunięta (jak np. w Polsce, gdzie w roku 1939 we własności gospodarstw prywatnych o powierzchni powyżej 125 akrów pozostawało już tylko niespełna 15 % ogólnej ilości ziemi ornej), albo przeprowadzić ją w tych krajach, gdzie jeszcze nie była rozpoczęta np. na Węgrzech, albo uzdrowić strukturę agrarną w krajach, gdzie własność rolna jest całkowicie niemal zatomizowana w gospodarstwa o charakterze karłowatym (np. w Jugosławii). Ponad to — i w konsekwencji reformy rolnej— należy intensyfikować produkcję rolną i wzmacniać produkcję hodowlaną, rozszerzać wreszcie uprawę roślin, wymagających szczególnie wielkiej ilości robocizny, jak np. uprawa tytoniu. Ale sama tylko polityka rolna nie rozwiąże ukrytego bezrobocia wiejskiego i przeludnienia wsi, występującego na obszarze rejonu.

W Polsce na 1 milę kw. ziemi ornej wypadalo ok. 200 osób, w Bułgarii ok. 250, w niektórych częściach Jugosławii ok. 450, gdy np. w Danii 100 osób, a w USA ok. 65 sósb. Ocena w liczbach ukrytego bezrobocia, znanego też pod nazwą ,, ludności wiejskiej zbędnej w rolnictwie," nie jest bynajmniej łatwa. W Polsce przed wojną i obecnie, w Londynie, prowadzone były rozmaite obliczenia ekonomiczno-statystyczne, które miały na celu ocenę tej liczby. Z natury rzeczy może być ona tylko pierwszym przybliżeniem, a bardzo skrupulatne na ten temat dociekanie różnych autorów, różnymi metodami prowadzone, doprowadziły do liczby 5 mil. osób, tkwiących zbędnie w rolnictwie. Obliczenia takie są jeszcze trudniejsze, gdy chodzi o wszystkie kraje rejonu. Nie popełnię jednak błędu zbyt rażąco odbiegającego od rzeczywistych stosunków, jeżeli ocenię 15-20 mil. ludzi, przedstawiających ukryte bezrobocie w całym rejonie. Warunkiem rozwoju gospodarczego rejonu jest przebudowa strukturalna, polegająca na likiwidacji tego ukrytego bezrobocia ludności wiejskiej przez

zatrudnienie w przemyśle. Przesunięcie takie, uzdrawiając rolnictwo, zwiększy też bezpośrednio dochód społeczny i przekształci olbrzymią masę jednostek gospodarczo biernych na rzeczywistego konsumenta.

Podniesienie konsumpcji, niezmiernie istotne dla krajów rejonu, musi być jednak uzasadnione innymi przesłankami natury gospodarczej, któreby przekonały, że leży ono w powszechnym, a nie tylko rejonowym interesie. Wtedy tylko bowiem udowodniona będzie konieczność świadomego działania gospodarczego w skali światowej, rozpoczętego w sposób planowy zaraz po zakończeniu wojny.

Tym drugim argumentem jest konieczność szerszego udziału krajów środkowego rejonu Europy w międzynarodowych obrotach gospodarczych, a więc możliwość podwyższenia po wojnie wywozu ze strony wysoko uprzemysłowionych zachodnich demokracyj. Statystyka międzynarodowej wymiany towarowej uczy, że im kraj jest wyżej uprzemysłowiony, tym więcej przywozi towarów. O ileż lepszym odbiorcą przemysłowych wytworów angielskich była przed wojną Czechosłowacja, czy nawet wysoko uprzemysłowione Niemcy, niż rolnicza Bułgaria, lub Jugosławia. Kraje rejonu na niskim stopniu rozwoju gospodarczego pozostaną słabym odbiorcą eksportu krajów wysoko uprzemysłowionych. Ale blok uprzemysłowiony spożywać będzie nie tylko te towary np. angielskie, które przywożono przed wojną. Stanie się przede wszystkim wielkim odbiorcą urządzeń inwestycyjnych, maszyn, aparatów, będzie wreszcie zaopatrywał swoje fabryki w narzędzia produkcji, pochodzące z krajów wysoko uprzemysłowionych. Nie jest to jednak koniec cyklu wymiany towarowej, lecz ledwie początek. Im społeczeństwo jest zamożniejsze, tym większe są jego potrzeby. Ubogi rolnik uprawia ziemię w sposób prymitywny używając tylko pierwotnych narzędzi rolniczych. Im bardziej wzrasta jego zamożność, tym więcej przestawia się z ręcznego sierpa na żniwiarkę mechaniczną, z pierwotnych narzędzi na maszyny rolnicze. Robotnik przemysłowy, pracujący trzy dni w tygodniu, zaspakaja tylko najniezbędniejsze potrzeby, poświęcając prawie cały swój zarobek na mieszkanie i żywność. W miarę zwiększania się dochodów, potrzeby jego rosną, skutkiem czego staje się coraz lepszym odbiorcą artykułów przemysłowych. Ze wzrostem poziomu życia jednostek, zwiększają się wszechstronnie potrzeby całych krajów, które stają się przeto coraz lepszymi odbiorcami artykułów konsumpcyjnych, nawet luksusowych a udział tych krajów w obrocie międzynarodowym jest coraz większy.

Obok jednak tych dwóch dowodów natury gospodarczej, istnieje też przyczyna polityczna, wskazująca na konieczność uprzemysłowienia rejonu. Jeśli bowiem kraje te mają się skutecznie przeciwstawić — używając pięknej nomenklatury Karty Atlantyckiej — ,, narodom, które grożą, albo będą groziły agresją", to muszą być uprzemysłowione. Słabe kraje, o przeważającym charakterze surowcowo-rolniczym, nie stanowią zapory przed ekspansją krajów silnie uprzemysłowionych. Posiadanie własnej stali i żelaza, własnych fabryk przetwórczych, własnego i to dużego potencjału przemysłowego—decydują o zwycięstwie. W imię bezpieczeństwa powojennego świata i utrwalenia powszechnego pokoju należy uprzemysłowić kraje środkowego rejonu Europy.

Niemcy starały się za wszelką cenę utrzymać rolniczo-surowcowy charakter tych krajów, zwłaszcza w południowo-wschodniej części rejonu i związać je gospodarczo z własnym aparatem przemysłowym. Celem było stworzenie terenów, uzupełniających Niemcy gospodarczo, przez nadanie im charakteru zaplecza surowcowo-rolniczego. Bez niego Niemcy byłyby skazane na niebezpieczeństwo blokady i odcięcie od zamorskich dostaw żywnościowych. Dlatego też polityka niemiecka zmierzała nie tylko do gospodarczego związania tych krajów z Niemcami, ale również do ekonomicznej izolacji od innych krajów świata. Używane tutaj metody

składały się z kilku elementów. Były nimi: głęboka penetracja handlu niemieckiego do wszystkich krajów obszaru; znaczny udział w stanie posiadania w przemyśle, handlu i bankowości; pośrednictwo handlowe, wyrażające się w koncentracji wszystkich niemal zamorskich importów do tych krajów w wielkich domach towarowych i konsygnacyjnych Hamburga, czy Bremy. Nie tylko jednak te metody bezpośredniego działania stosowane były przez Niemców. Przez dziesiątki lat jedynym niemal źródłem informacji gospodarczej i politycznej dla Zachodu, o krajach środkowego rejonu Europy, byli Niemcy. Rozliczne wydawnictwa i encyklopedie w języku angielskim czerpały wiadomości o Polsce, Czechosłowacji, czy o krajach półwyspu bałkańskiego z pseudo-naukowych opracowań niemieckich, urabiających opinię anglosaską w sposób tendencyjny, a dla krajów rejonu nieprzychylny.

Czwartą przeto przyczyną, wskazującą na konieczność rozwoju ekonomicznego rejonu, jest zniesienie stosunków zależności gospodarczej tych krajów od Niemiec i związanie z krajami zachodnich demokracyj. Pozostawienie bowiem Niemcom zaplecza surowcowo-rolniczego i utrwalenie w ten sposób możliwości autarkicznych tego kraju jest niczym innym, jak budowaniem gospodarczych fundamentów pod trzecią wojnę światową.

Z punktu widzenia rozmieszczenia przemysłu, dwa mogą być — zasadniczo odmienne — sposoby budowy przemysłu na tak wielkim obszarze. Albo pełna koncentracja i centralizacja zakładów przemysłowych, albo rozrzucenie ich po całym terenie. Konsekwencją pierwszego stanowiska jest podział na kraje o niemal wyłącznym, a w każdym razie przeważającym charakterze przemysłowym i o takim samym wyłącznym, albo znacznie przeważającym, charakterze rolniczym. Dalszym wynikiem jest tworzenie wielkich ośrodków przemysłowych wewnątrz każdego kraju. Mielibyśmy wówczas do czynienia z wielkimi zakładami przemysłowymi, zatrudniającymi tysiące i dziesiątki tysięcy robotników, a położonymi geograficznie na określonych, niezbyt wielkich, terenach.

W mojej ocenie, nie jest to droga po której należałoby iść przy uprzemysłowieniu rejonu. Należy dążyć do rozrzucenia zakładów przemysłowych po wszystkich krajach, z tym oczywiście, że zwłaszcza w pierwszych latach po wojnie, niektóre z nich będą miały charakter bardziej przemysłowy a inne więcej rolniczy. Tendencją generalną musi być jednak dekoncentracja przemysłu. Skoro bowiem jednym z celów uprzemysłowienia ma być zlikwidowanie utajonego na wsi bezrobocia, to nie można stwarzać konieczności masowych wędrówek ludzi za pracą. Ponad to, każdy z krajów chce mieć własne ośrodki przemysłowe a kraje już uprzemysłowione stosują ograniczenia imigracyjne. Rozrzucone po wszystkich krajach rejonu zakłady przemysłowe, nie tylko umieszczone w miastach, lecz rozsiane niejednokrotnie po wsiach, jeśli chodzi o przemysł przetwórczo—rolny, stanowią najwłaściwszą drogę uprzemysłowienia. Realizować wtedy można będzie społeczną ideę, że praca przychodzi do człowieka, nie zaś człowiek wędruje po kraju w poszukiwaniu pracy. Drugą, wskazującą na konieczność takiego rozwiązania przyczyną, jest wzgląd na bezpieczeństwo. Przykład W. Brytanii i wyniki ataków lotniczych, które mają miejsce w tym kraju, dowodzą jak wielkie znaczenie ma rozrzucenie zakładów przemysłowych i jak trudno jest zniszczyć przemysł, rozlokowany w różnych ośrodkach.

Jeżeli chodzi o zagadnienie, jakiej wielkości zakłady przemysłowe są najodpowiedniejsze do osiągnięcia zamierzonego celu, to konieczne będzie zastosowanie typu wielkiego zakładu przemysłowego tylko tam, gdzie nakazują to względy techniczne (np. w przemyśle żelaznym, w niektórych działach przemysłu chemicznego i t.p.). Ale wszędzie, gdzie takie przyczyny techniczne nie istnieją, celowe jest przyjęcie typu zakładu przemysłowego wielkości średniego i drobnego przedsiębiorstwa, zatrudniającego od kilku do paruset ludzi i prowadzonego bezpośrednio przez właściciela.

Zwłaszcza w krajach, dopiero rozpoczynających uprzemysłowienie, ta droga stopniowego rozwoju wydaje się najtrafniejsza, wówczas bowiem można też realizować postulat rozrzucenia przemysłu po całym kraju, a zwłaszcza na wsi. Zresztą doświadczenie uczy, że niewielki zakład przemysłowy staje się często w organicznym rozwoju zalążkiem wielkiego przedsiębiorstwa.

Różne mieć można poglądy co do kierunków uprzemysłowienia. Są na świecie zwolennicy autarkicznych tendencyj zamkniętego gospodarstwa, które wewnątrz swych doskonale izolowanych granic wytwarza wszystko, co mu jest do życia potrzebne. Na tej doktrynie opierała się polityka gospodarcza krajów totalnych, takie były gospodarcze tendencje Hitlera, w takie wreszcie ramy obecnie Niemcy ujęły Europę, zanimby doszły do zamierzonego podboju całego świata. Podobnym tendencjom musimy się przeciwstawić zarówno z przyczyn gospodarczych, jak ideowych. Demokratyczny porządek gospodarczy nie może się opierać na autarkii. Tylko szeroka wymiana międzynarodowa stwarza podstawy powszechnego dobrobytu. A rozwój gospordarstw poszczególnych krajów, czy grup krajów, musi być oparty na doktrynie wymiany międzynarodowej, nie zaś na doktrynie autarkii. Dlatego też wypada sobie odpowiedzieć na pytanie, w jakich kierunkach ma dążyć uprzemysłowienie środkowego rejonu Europy.

Wydaje się, że następujące są naturalne drogi rozwoju już istniejących i budowy nowych gałęzi przemysłu : przemysł przetwórczo-rolny, przemysł oparty o znajdujące się na miejscu bogactwa kopalne, przemysł mający inne gospodarcze warunki rozwoju.

Pierwszy z tych kierunków tym się zwłaszcza cechuje, że ma wielkie szanse rozwoju na wsi, bez konieczności opierania się na ośrodkach miejskich, albo na określonych rejonach geograficznych obfitujących w kopaliny. Spełnia idealnie postulat równomiernego uprzemysławiania rejonu, dając zatrudnienie na miejscu, bez konieczności wędrówki za pracą. Pozwala na uszlachetnienie płodów rolnych, a więc na pomnożenie ich wartości, co w dalszej konsekwencji przesunie punkt ciężkości wywozu surowcowo-rolniczego na wywóz przetworów rolnych. Nie wymaga na ogół wielkich inwestycyj kapitałowych i zatrudnia duże ilości rąk roboczych. Stwarza naturalną podstawę do intensyfikacji rolnictwa i do zwiększenia produkcji rolnej i hodowlanej. Jak daleko iść może uszlachetnienie płodów rolnych i hodowlanych, wskazują nie tylko tak banalne przykłady, jak produkcja konserw warzywnych, owocowych i mięsnych wszelakiego rodzaju. Zdobycze nowoczesnego przemysłu chemicznego pozwalają na fabrykację preparatów leczniczych, znanych pod nazwą organo-terapeutycznych, a produkowanych z takich organów zwierzęcych jak wątroba, śledziona, nerki ; produkcję mas plastycznych typu galalitu, w oparciu o kazeinę wytwarzaną z mleka; produkcję olejków eterycznych z różnych ziół i roślin (np. olejek miętowy, lawendowy, różany itp.). Przykładów takich można wskazać znacznie więcej. Dają one wymowny dowód, jak głębpko iść można w uszlachetnieniu płodów rolnych, jeżeli realizować świadomie i celowo uprzemysłowienie krajów w oparciu o ich bogactwa rolne.

Drugim kierunkiem jest rozwój przemysłu opartego o naturalne bogactwa kopalne. Istniał on w niektórych krajach rejonu również i przed wojną, zwłaszcza w Polsce i w Czechosłowacji. Ale ograniczal się często do wstępnych operacyj, pozostawiając dalsze uszlachetnienie otrzymywanych produktów tym krajom, które je importowały. Wprawdzie ostatnie lata przedwojenne przyniosły tutaj poprawę. Zwłaszcza w niektórych krajach, jak np. w Polsce, nomenklatura wywozu uszlachetnionego rozszerzyła się znacznie, ale i tak wywóz produktów surowcowych i rolnych wynosił około 60% całego polskiego eksportu. Niezbędny będzie po wojnie konsekwentny rozwój przemysłu przetwórczego, opartego o własny suro-

wiec kopalny, oraz kreowanie nowych gałęzi produkcji, które mają surowiec na miejscu. Przykładowo więc wymienić można produkcję aluminium z bauksytu znajdującego się na obszarze rejonu, hutnictwo miedzi, fabrykację soli chromowych rozmaitego typu w oparciu o zasoby rud chromowych itp.

Trzecim wreszcie kierunkiem, w jakim iść musi uprzemysłowienie, są takie gałęzie produkcji, które wprawdzie nie mają oparcia o własny surowiec, (rolniczy albo kopalniany) ale mają za to inne gospodarcze warunki rozwoju. Są nimi bądź specjalne uzdolnienia ludzkie, bądź podstawy „ tradycyjne " przemysłu o znanej dobroci towaru i pojemnych rynkach zbytu, bądź inne wreszcie przyczyny, uzasadniające konieczność powstania nowych gałęzi produkcji. W krajach rejonu istniały jeszcze przed wojną takie działy przemysłu. W Polsce przykładowo wskazać można produkcję tkanin wełnianych nie ustępujących wyrobom angielskim, tanich tkanin bawełnianych, znanych na szerokich rynkach świata itd. W Czechosłowacji wymienić można fabrykację rozsyłanej na cały świat galanterii; samochodów o ustalonej sławie na rynku środkowo-europejskim; armat dostarczanych przed wojną do wielu krajów sprzymierzonych. Oczywiście, ten trzeci kierunek rozwoju produkcji jest niemniej naturalny, niż dwa pierwsze.

Powstaje dalej pytanie, jakie konkretne kroki trzeba przedsięwziąć celem zrealizowania naszkicowanego programu rozwoju gospodarczego i jakie są warunki, w których proces uprzemysłowienia może się dokonać najprędzej i najkorzystniej. Na pierwszym miejscu wymienić należy sprzyjający międzynarodowy klimat gospodarczy, przekonanie o konieczności uprzemysłowienia ze strony czynników decydujących po wojnie. Niezbędna jest bowiem szeroka współpraca międzynarodowa i pomoc z zewnątrz, aby program taki, który ma dać w rezultacie pełne zatrudnienie, mógł być w ogóle wykonany. Ta pomoc międzynarodowa nie może się bynajmniej ograniczyć do pierwszych miesięcy po ustaniu działań wojennych i do dostarczenia najniezbędniejszych do życia i pracy towarów, a więc żywności, odzieży, lekarstw, surowców przemysłowych i narzędzi produkcji.

Pomoc ta jest oczywiście niezbędna, będzie miała charakter natychmiastowych dostaw i jest przedmiotem bardzo szczegółowych studiów na terenie Międzyaliackiego Komitetu Powojennego Zaopatrzenia, który działa w Londynie pod przewodnictwem Sir Frederick Leith Ross, oraz nowej organizacji, jaka powstała w Stanach Zjednoczonych pod przewodnictwem Gubernatora Herberta E. Lehmana. Ten okres natychmiastowej pomocy trwać będzie zapewne kilkanaście miesięcy po wojnie i obejmie przede wszystkim doprowadzenie do stanu godnego nazwy człowieka ludzi, którzy cierpią obecnie w niewolniczym systemie gospodarczym, narzuconym przez Niemcy w Europie.

Ważną jest jednak rzeczą, aby już w pierwszym okresie przystąpić do odbudowy gospodarstwa w pełnej świadomości celów, jakie stoją przed Europą Środkowo-Wschodnią. Tych pierwszych kilkanaście miesięcy może w dużym stopniu zaważyć — zarówno przez klimat psychiczny prowadzonej międzynarodowo akcji , jak przez rodzaj i typ dostarczonych artykułów — na przyszłości gospodarczej europejskiego rejonu środkowego. Do tych doraźnych działań nie może się zresztą ograniczyć pomoc zagraniczna dla zaniedbanych gospodarczo przed wojną krajów europejskich. Konieczne będą od początku dokonywane wkłady na inwestcje. Należą do nich przede wszystkim urządzenia, wzmagające techniczną cywilizację kraju, techniczne uzbrojenie terenu, a więc zbudowanie i rozpowszechnienie takich urządzeń, które zachęcają i ułatwiają powstawanie przemysłu. Systematyczny rozwój gospodarczy państw środkowego rejonu Europy wypadnie przeto pobudzić szeroko pomyślanymi inwestycjami podstawowymi charakteru publicznego. Inwestycje te — to eletry-

fikacja, budowa dróg zarówno kolejowych jak szosowych, gospodarka wodna obejmująca wykorzystanie sił wodnych dla celów elektryfikacyjnych, oraz użycie uregulowanych rzek i kanałów jako dróg wodnych, morskie inwestycje portowe, wreszcie budowa magazynów, jak elewatorów zbożowych, chłodni, zbiorników paliwa płynnego itp.

Przede wszystkim podnieść trzeba znaczenie elektryfikacji, która — oparta zarówno o siły wodne jak i o węgiel i torf powinna być przeprowadzona szybko i na wielką skalę. Jest to elementarny warunek powszechnego rozwoju przemysłu na terenie rejonu. Możność korzystania z taniego prądu elektrycznego jako źródła energii, pozwoli na łatwe powstawanie warsztatów pracy, zwłaszcza mniejszych, zarówno na wsi, jak w mieście.

Wykonywanie programu inwestycyjnego wywoła natychmiast rozwój już istniejących gałęzi przemysłu i powstawanie nowych zakładów, przynosząc przeto zamierzone uprzemysłowienie już niemal w pierwszych chwilach rozpoczęcia inwestycji.

Że ta droga jest właściwa i słuszna, wskazuje na to nie tylko zdrowy sens, ale również przeprowadzone doświadczenia. W okręgach, specjalnie obciążonych przed wojną bezrobociem na terenie W. Brytanii, zorganizowane zostały ośrodki znane pod nazwą „Trading Estate" (North Eastern Trading Estate w pobliżu Newcastle, Treforest Estate w Poł. Walii, oraz North Hillington w pobliżu Glasgow). Organizacja ich polega na przeprowadzeniu zasadniczych inwestycyj w szerokiej skali, łącznie z budynkami fabrycznymi i urządzeniami socjalnymi, celem umożliwienia zakładania przemysłu małym już tylko nakładem. Niekiedy dostarczano nawet narzędzi produkcji. Doświadczenie to dało znakomite rezultaty, przyczyniając się do rozładowania bezrobocia przez powstanie nowych zakładów przemysłowych. Na znacznie szerszą skalę przeprowadzone zostało i trwa w dalszym ciągu doświadczenie w Stanach Zjednoczonych, gdzie upośledzony gospodarczo cały okrąg gospodarczy w dolinie rzeki Tennessee, obejmujący swoją powierzchnią nie mniej niż obszar W. Brytanii, jest uprzemysławiany i rozwijany gospodarczo, w oparciu o zasadnicze inwestycje.

Jasną jest rzeczą, że tak pomyślane uprzemysłowienie środkowego rejonu Europy nie może się odbywać w sposób chaotyczny, ale musi być świadomym działaniem. Zgodnie z powszechnie przyjętymi amerykańskimi kryteriami wydajności, działanie takie składać się musi z pięciu zasadniczych elementów. Są nimi określenie celu, środków, plan wykonania i kontrola. Dwie ostatnie czynności mogą być wykonane dopiero po ustaniu działań wojennych. Cel określony został dostatecznie dokładnie. Obmyślenie środków, jak również plan muszą być jednak przygotowywane już obecnie, gdy decydowane są cele przyszłego pokoju po wygraniu wojny.

Prace planowania, dotyczące niektórych krajów środkowego rejonu Europy, zostały zapoczątkowane, a niekiedy posunięte nawet dość daleko. Wiadomo jest na przykład o projektach dotyczących elektryfikacji Polski, o projektach gospodarki wodnej w całym rejonie, o projektach komunikacyjnych również w skali wszystkich krajów rejonu. Ważną jest jednak sprawą, aby program taki był choćby w ogólnych zarysach opracowany w całości, przede wszystkim przez zainteresowanych, a potem uzgodniony ze sprzymierzonymi wielkimi demokracjami Zachodu. Wówczas bowiem dopiero liczyć będzie można na pełną ich pomoc przy realizacji programu, ktory swą wielkością, zasięgiem i niezbędnymi środkami znacznie przekracza skalę regionalną, stając się przedsięwzięciem na miarę światową.

FLORJAN SOKOŁÓW

DEKADA AMERYKAŃSKA

Chory rzuca się w gorączce. Na łożu jego boleści skaczą bakcyle długów, ceł, złota, kontyngentów, i t.d. Tak przedstawiał karykaturzysta jednego z pism londyńskich chorobę światową na wiosnę r. 1933, krótko przed wielką konferencją ekonomiczną. Podpis pod tą karykaturą brzmiał: „*Bakcyle spędziły noc spokojnie, mają się coraz lepiej*". Z chorym było gorzej. Konferencja okazała się jednym z największych fiask, tym większym, że wszystkie mocarstwa brały w niej udział: Niemcy już pod Hitlerem, Sowiety jeszcze przed wstąpieniem do Ligi, no i Ameryka z nowym prezydentem Rooseveltem. Stamtąd, od tej wielkiej demokracji zaoceanowej, do której skarbca wciekało złoto całego świata, oczekiwano zbawienia. Wizyty Macdonalda i Herriota w Waszyngtonie budziły ogromne nadzieje. Ale nadzieje te skamieniały. Mówiono, że sąsiedztwo muzeum geologicznego było zaraźliwe. Tuż obok bowiem odbywały się nieszczęsne narady. Europa była rozczarowana Rooseveltem. Jego nakręcony dolar zaczął skakać, jak derwisz, powiększając ogólny zamęt. Poza tym wśród tej karuzeli udręczeń rozpoczynał się inny taniec już nie tylko „gospodarczy". Popisywał się Hitler ze swoim zespołem. Czyżby Ameryka zupełnie odwróciła się od Europy? Czy Franklin Roosevelt, którego powitała opinia świata niemal jako męża Opatrzności pójdzie w ślady swych poprzedników po udeptanej ścieżce izolacji? Jedni starali się usprawiedliwiać politykę Roosevelta trudnościami wewnętrznymi, inni mówili, że chór zachwytów, podniesiony dokoła jego osoby, był tylko reklamą i bluffem amerykańskim, ale wszyscy sarkali. Dzisiaj widzimy, jak bardzo Roosevelt był niedoceniany. W dalszej części tego artykułu postaram się nakreślić tło wewnętrzne, warunki i atmosferę, w której działał on od chwili objęcia władzy, a teraz przejdę do omówienia interesującej publikacji Departamentu Stanu w Waszyngtonie p.t.: „*Peace and War*", poświęconej dekadzie polityki zagranicznej U.S.A. (1931-1941). Jest to obszerna przedmowa do mającego się wkrótce ukazać zbioru dokumentów dyplomatycznych z tego okresu.

Książka ta daje w skrócie obraz wysiłków Roosevelta i jego rządu, a jednocześnie przegląd najważniejszych wydarzeń, z których jasno wynikało, że świat staczał się po pochyłej równi ku katastrofie. Nie zawiera ona wiele nowych, nieznanych szczegółów, w ogóle nie wchodzi w szczegóły i stanowi raczej konspekt, natomiast uwypukla linię generalną, po której kroczyła, tak często zapoznawana, polityka zagraniczna Roosevelta i sekretarza stanu Cordella Hulla.

„Kierownictwo spraw zagranicznych St. Zjednoczonych — czytamy we wstępnych uwagach — jest funkcją Prezydenta, który zwykle działa przez Sekretarza Stanu. Pełnomocnictwa Egzekutywy w tej dziedzinie są bardzo szerokie. Lecz Prezydent i Sekretarz Stanu bynajmniej nie mają zupełnej swobody kierowania polityką zagraniczną. Ograniczenia jej mogą wypływać bądź z nowych ustaw, uchwalanych przez legislatywę, bądź też z braku ich. Prezydent i Sekretarz Stanu winni być wyrazicielami nie pewnego odłamu społeczeństwa, lecz całego narodu. . . W ciągu znacznej części omawianego w tej książce okresu większość opinii St. Zjednoczonych nie uznawała tezy, że wojna europejska może poważnie zagrozić bezpieczeństwu St. Zjednoczonych i że atak któregoś z państw osi na Amerykę jest w ogóle możliwy. Pod tym względem różniła się ona od poglądu Prezydenta i Sekretarza Stanu, którzy wcześniej doszli do przekonania, że agresywna polityka państw osi, skierowana jest w swych ostatecznych konsekwencjach przeciw U.S.A. i że dlatego winniśmy w naszej polityce zagranicznej udzielać poparcia narodom, które usiłowały powstrzymać

rozwój agresji państw osi. . . Na dalszych stronicach nakreślona jest stopniowa ewolucja St. Zjednoczonych od stanowiska urojonego „bezpieczeństwa na ustroniu" w obliczu sił zagrażających Ameryce do znalezienia się w pierwszych szeregach Zjednoczonych Narodów, które walczą o wspólną sprawę, przeciwstawiając się próbie dominacji nad światem, bezprzykładnej pod względem śmiałości planu i brutalności jego wykonania".

Dekadę (1931-1941) rozpoczął i zakończył akt gwałtu ze strony Japonii. W r. 1931 Japonia opanowała Mandżurię. Dwa lata później Niemcy wystąpiły z Konferencji Rozbrojeniowej i rozpoczęły zbrojenia. W r. 1938 Hitler dokonał inwazji Austrii i rozbioru Czechosłowacji. W pierwszej połowie r. 1939 Hitler zakończył likwidację Czechosłowacji i zagarnął Kłajpedę, podczas gdy Włochy okupowały Albanię. We wrześniu r. 1939 Hitler napadł na Polskę i w ciągu dwóch lat następnych wszystkie niemal państwa Europy pogrążone zostały, lub wciągnięte w wojnę. W r. 1940 Japonia, grożąc użyciem siły, wtargnęła do francuskich Indochin. Wreszcie 7 grudnia 1941 Japonia dokonała staku na St. Zjednoczone, po czym Japonia, Niemcy, Włochy i ich satelici wypowiedziały Ameryce wojnę. Oto szemat tego dziesięciolecia.

W latach poprzedzających wybuch wojny w r. 1939, rząd St. Zjednoczonych podejmował energiczną akcję na rzecz poprawy stosunków międzynarowych i uratowania pokoju świata. Bronił on i stosował zasady polityki „*dobrego sąsiedztwa*" zarówno na zachodniej półkuli, jak i na całym świecie. Usiłował słowem i czynem powstrzymać szybko rozwijające się pogarszanie stosunków międzynarodowych. W zakończeniu tych uwag wstępnych czytamy:

„We wrześniu r. 1939, gdy siły agresji i podboju rozpętały się w całej pełni, rząd U.S.A. starał się wszelkimi możliwymi sposobami zapobiec rozszerzeniu się konfliktu. Po załamaniu się Francji w czerwcu r. 1940, gdy zastępy Hitlera dotarły do brzegów zachodniej Europy, gdy jego „Blitz" uderzył w W. Brytanię i Hitler otwarcie sięgnął po panowanie nad Atlantykiem, tak samo jak Japonia sięgnęła po panowanie na Zachodnim Pacyfiku, rząd St. Zjednoczonych zastosował środki samoobrony, udzielając pomocy narodom, opierającym się agresji i przyspieszając wykonanie swego programu zbrojeń lądowych, morskich i powietrznych".

* * *

W miarę tego, jak wypadki rozwijały się crescendo, polityka U.S.A. musiała stopniowo przystosowywać się do nowych sytuacyj na świecie, wbrew swym tradycjom, choć niezbyt starym, lecz bardzo upartym, i wbrew przeważającym prądom swej opinii publicznej. Przykład Ameryki zarówno w tamtej, jak i w tej wojnie, jest najlepszym dowodem, że wielkie mocarstwo nie może pozostać neutralne, choćby czyniło największe wysiłki w tym kierunku i ponosiło poważne ofiary. Wówczas nie obronił izolacji amerykańskiej Atlantyk, teraz nie uratował jej Pacyfik. Prędzej, czy później musiało nastąpić krótkie spięcie. Pearl Harbour nie był w tym wypadku *deus ex machina*. Gdyby nie japońskie samoloty, niemieckie łodzie podwodne zmusiłyby Amerykę do wzięcia udziału w wojnie po stronie sprzymierzonych. Zasługa Roosevelta polega na tym, że od pierwszej chwili objęcia rządów wpływał on na opinię amerykańską, zwalczając doktrynę izolacjonistyczną, że zawsze kładł nacisk na współpracę U.S.A. z innymi kontynentami i na wynikające z braku tej współpracy niebezpieczeństwa. Czynił to wpradzie na płaszczyźnie gospodarczej, a nie politycznej, lecz jedno ściśle wiązało się z drugim. W wysiłkach tych Roosevelt nie wahał się narażać swej popularności i miał z tego powodu zatargi z własnym stronnictwem, nie mówiąc już o Kongresie, ilekroć w wystąpieniach swych posuwał się po linii scisłejszej kolaboracji Ameryki z Europą. Jednym z paradoksów St. Zjednoczonych jest fakt, że wyprzedzając inne narody w postępie technicznym, były one bodaj najkonserwatywniejszym krajem na świeie, jeśli chodzi o politykę zagraniczną.

147 lat minęło od czasu, kiedy Jerzy Waszyngton wygłosił swą słynną mowę pożegnalną do Kongresu — Farewell Speech a jest ona wciąż jeszcze katechizmem Amerykańskich mężów stanu. ,,Europa powiedział on— posiada szereg własnych interesów, które zupełnie nas nie dotyczą, albo mają bardzo oddalony związek z naszymi sprawami. Musi ona popadać w częste konflikty, których przyczyny są nam zupełnie obce. I dlatego byłoby niemądre z naszej strony, gdybyśmy wplątali się w matnie jej polityki, w kombinacje i kolizje jej przyjaźni i antagonizmów".

W tej awersji do spraw naszego kontynentu był obok prymitywizmu kolo-istów amerykańskich, którzy strzegli krwawo wywalczonych swobód, lęk przed ,,wyrafinowaną" dyplomacją Europy. Nastawienie to znalazło jaskrawszy jeszcze wyraz w historycznym orędziu Prezydenta Monroego w r. 1823, którego doktryna stała się fundamentem polityki amerykańskiej. Występując prze iw mieszaniu się Europy do spraw kontynentu amerykańskiego, Monroe, chciał uchronić kraj swój przed dwoma niebezpieczeństwami: 1) zachłannością mocarstw europejskich, które uważały wówczas resztę świata za teren swej kolonizacji, i 2) ich nieustannymi kłótniami o podział kolonii, w które U.S.A. mogłyby być wbrew swej woli wplątane, gdyby nie odgrodziły się od nich raz na zawsze. Z biegiem lat negatywny charakter doktryny Monroego: ,,*Ręce precz od Ameryki*" przeobraził się w pozytywne dążenie do supremacji na zachodniej półkuli. Stąd obok neutralności wobec Europy, kanonem jej polityki stał się panamerykanizm z U.S.A. na czele.

Publikacja Departamentu Stanu kreśli rozwój polityki zagranicznej U.S.A. zarówno w stosunku do Europy, jak i — bardziej wyczerpująco — w stosunku do Japonii, analizując jej powolne ewolucje od zjawienia pierwszej groźby agresji na Dalekim Wschodzie do ostatecznego ocknięcia się z letargu izolacji po nagłym ataku na Pearl Harbour. Trzeba przyznać, że w danych okolicznościach, przy danym układzie sił w St. Zjednoczonych i nastrojach opinii, Roosevelt podejmował energiczne wysiłki, by z jednej strony wpłynąć na państwa osi, ostrzegając je przed skutkami agresji, z drugiej zaś przygotowywać opinię amerykańską do ewentualności wojny po stronie zagrożonych demokracyj Europy. Porównując politykę jego rządu z polityką rządu brytyjskiego w owym okresie, należy stwierdzić, że Roosevelt i jego Departament Stanu wyprzedzali opinię amerykańską pod tym względem, podczas gdy w Anglii działo się odwrotnie. Opinia angielska w kryzysie abisyńskim i hiszpańskim, a zwłaszcza w kryzysie monachijskim, zajęła na ogół bardziej zdecydowane stanowisko przeciw agresorom, aniżeli żywioły, znajdujące się wówczas u steru władzy. Pamiętać również należy, że Roosevelt całkowicie pochłonięty był w tym czasie walką o realizację swego ,,*New Deal'u*" i że sprawy polityki zagranicznej znajdowały się na dalszym planie, że narażanie sobie potężnej opozycji zbyt radykalnymi i bardzo niepopularnymi posunięciami w kierunku mieszania się do spraw europejskich, mogło doprowadzić do zupełnego bankructwa jego wielkich poczynań na froncie wewnętrznym. Oczywiście opinia amerykańska nie była obojętna na wypadki europejskie i chwilami żywo na nie reagowała, lecz nie oznaczało to bynajmniej, że gotowa jest zerwać z głęboko zakorzenionym instynktem odgradzania się od europejskiego ,,bałaganu", tymbardziej, że oportunizm rządów zachodnio-europejskich w stosunku do państw osi mógł tylko hamować jej moralne odruchy.

W sierpniu r. 1938 krótko przed kapitulacją monachijską amerykański instytut badania opinii publicznej ogłosił ciekawe rezultaty ankiety na temat: ,,Jak postąpi Ameryka w razie wybuchu wojny europejskiej"? Na zapytanie, czy w wypadku wojny Anglii i Francji z państwami faszystowskimi St. Zjednoczone walczyć będą razem z demokracjami, czy też pozostaną neutralne — 54 procent głosów wypowiedziało się za neutralnością,

46 procent — za udziałem ich w wojnie. W r. 1936 identyczna ankieta dała 63 procent głosów na rzecz neutralności. Na pytanie po czyjej stronie będą sympatie Ameryki w razie wojny Anglii i Francji z Niemcami, 65 procent glosów wypowiedziało się wówczas za Anglią i Francją, 3 procent za Niemcami, 32 procent nie zajęło żadnego stanowiska. Natomiast plebiscyt retrospektywny na temat, czy Ameryka dobrze postąpiła, biorąc udział w ostatniej wojnie, dał w r. 1937 rezultat następujący: 70 procent głosów odpowiedziało na to pytanie negatywnie. Olbrzymia większość opinii amerykańskiej uważała to za błąd, który Amerykę drogo kosztował. Lata po tamtej wojnie były okresem tryumfu haseł izolacjonistycznych. „*Świat jest gorszy teraz, niż przed rokiem* 1914 — mówili izolacjoniści — *gorszy zarówno dla Europejczyków, jak i dla nas*".

Po Monachium nawet te żywioły amerykańskie, które skłaniały się ku większej współpracy z demokracjami zachodnio-europejskimi, zaczęły wątpić — nie bez powodu — o słuszności swego stanowiska. Wpływy skrajnych izolacjonistów znowu wzmagały się.

Tym trudniej było Rooseveltowi przeprowadzać skutecznie swą politykę od pierwszej chwili objęcia rządów wyraźnie skierowaną przeciw agresorom. Nie przepuszczał on jednak żadnej okazji, by przed wybuchem tej wojny i w czasie jej — aż do przystąpienia St. Zjednoczonych — czynić wszystko możliwe z początku dla uratowania pokoju, a później dla przyjścia z pomocą narodom sprzymierzonym. Książka, o ktorej mowa, kreśli obraz tych wysiłków w każdym zaostrzającym się kryzysie europejskim. Wiele przeszkód musiał Roosevelt zdobywać, ciągłe walki staczać z Kongresem od rygorów ustawy o neutralności, która uniemożliwiała skuteczną pomoc Ameryki, do Lend and Lease bill'u, zajmowania baz ochronnych, pogotowia zbrojnego i stopniowego przeobrażania Ameryki w arsenał demokracyj.

* * *

Nie wszystkie fakty, podane w tej książce, znane są szerokiej publiczności. Na specjalną uwagę zasługuje czterokrotna interwencja Roosevelta, który starał się wpłynąć na Włochy, by pozostały neutralne. W piśmie odręcznym do Mussoliniego 29 kwietnia 1940 r. Roosevelt podkreślił, że rozszerzenie się terenu wojny będzie miało daleko idące i nieobliczalne konsekwencje nie tylko w Europie, lecz na Bliskim i Dalekim Wschodzie, oraz w Ameryce. Mussolini po otrzymaniu tego pisma oświadczył ambasadorowi amerykańskiemu Phillipsowi:

„Nie można mówić o pokoju w Europie bez uznania stanu rzeczy, jaki powstał w wyniku wojny. Niemcy nie mogą być zwyciężone. Polska została pokonana, ale Niemcy gotowe są dopuścić do powstania nowego niepodległego państwa polskiego. Skłonne są one również przywrócić nowe państwo Czecho-Słowackie. Mapa Europy musi być zmieniona".

Następnie Mussolini zaznaczył, że sytuacja Włoch jako „*więźnia morza Śródziemnego*" jest nie do zniesienia. 14 maja bezpośrednio po inwazji Belgii i Holandii, Roosevelt powtórnie zwrócił się do Mussoliniego, wzywając go, by trzymał się zdala od wojny. Mussolini odpowiedział, że Italia zdecydowana jest pozostać w sojuszu z Niemcami. 26 maja Roosevelt po raz trzeci apelował do Mussoliniego, ofiarując swe usługi, jako mediator, w sprawie zaspokojenia żądań Włoch, oraz przyrzekając gwarancje Ameryki, Anglii i Francji, iż będą one po zakończeniu wojny zrealizowane. Ambasador amerykański nie był dopuszczony już do Mussoliniego dla wręczenia tej noty. Natomiast hr. Ciano oświadczył mu, że Włochy nie mogą przyjąć propozycji Prezydena i w ogóle prowadzić jakichkolwiek rokowań „*niezgodnych z duchem faszyzmu*". 30 maja Roosevelt po raz czwarty zwrócił się do Mussoliniego, ostrzegając go znowu przed udziałem w wojnie. Na to Mussolini przez hr. Ciano odpowiedział, że powziął już decyzje i że wolałby nie otrzymywać dalszych „*napomnień*" od Roosevelta, które mogą tylko „*usztywnić jego stanowisko*".

Roosevelt określił to stanowisko w swej mowie, wygłoszonej 10 czerwca, po napadzie Włoch na Francję słowami: „*Ręka, która trzymała sztylet, wbiła go w plecy sąsiada*".

Z przebiegu tej nieudanej interwencji Roosevelta wynika, że Włochy były całkowicie zaprzedane Niemcom.

Jeden z rozdziałów książki poświęcony jest wymianie depesz między premierem francuskim Reynaud a Rooseveltem. W ostatniej depeszy swej 14 czerwca 1940 r, w dniu wkroczenia Niemców do Paryża, Reynaud donosił; że w tej najbardziej tragicznej chwili w historii Francji musi ona wybierać pomiędzy dalszym oporem a prośbą o zawieszenie broni. Podkreślił on, że klęska Anglii jest możliwa, a nawet prawdopodobna. Reynaud wyraził przekonanie, że jedynym ratunkiem Francji a pośrednio i Anglii byłoby natychmiastowe rzucenia na szalę wojny całej potęgi amerykańskiej. Apel swój do Prezydenta Reynaud zakończył dramatyczną apostrofą:

„Jeśli w najbliższych godzinach Francja nie otrzyma zapewnienia, że St. Zjednoczone niezwłocznie przystąpią do wojny, zmienią się losy świata i zobaczy Pan Francję pogrążającą się i znikającą z powierzchni, jak człowiek, który tonie, rzucając ostatnie spojrzenie ku krajowi wolności, skąd oczekiwał zbawienia".

Roosevelt w obszernej odpowiedzi jeszcze raz potwierdził, że St. Zjednoczone zrobią wszystko, co leży w ich mocy, aby dopomóc sprzymierzonym, dostarczając im sprzętu wojennego, że podwoją swe wysiłki w tym kierunku, że zgodnie ze swą polityką nie uznają nigdy aktów agresji, godzących w niepodległość i całość terytorialną Francji. Musiał jednak w końcu dodać, że te jego oświadczenia nie zawierają żadnych zobowiązań natury wojskowej, gdyż tylko Kongres mógłby je podjąć.

Wojna potoczyłaby się inaczej, gdyby Ameryka już wówczas przystąpiła do niej, ale, niestety, Roosevelt, skrępowany konstytucją, nie mógł uczynić nic więcej.

Po upadku Francji zawarciu zawieszenia broni polityka St. Zjednoczonych wobec Francji i oparta była na następujących przesłankach: 1) niedopuszczenie do wydania państwom osi floty francuskiej i baz francuskich, 2) bliska współpraca z narodem francuskim, aby dopomóc mu w utrzymaniu ideałów wolności i demokracji i w szybkim wyzwoleniu się z jarzma najeźdźcy, 3) wywieranie wpływu przeciw dobrowolnej lub przymusowej współpracy z Hitlerem i hitleryzmem. Owocem starań Ameryki było zobowiązanie dane przez rząd francuski 18 czerwca i powtórzone w akcie zawieszenia broni, że „*flota francuska nigdy nie będzie wydana nieprzyjacielowi*".

Wywiad amerykański działał sprawnie, bo w uwagach o ataku Hitlera na Sowiety jest wzmianka, że rząd amerykański już na początku roku 1941, a następnie w marcu tegoż roku informował rząd sowiecki, iż jest w posiadaniu wiadomości o planowanym przez Niemcy napadzie na Rosję.

Bardzo interesujące są rozdziały dotyczące stosunków między Ameryką a Japonia. W Ameryce zdawano sobie dokładnie sprawę z niebezpieczeństwa japońskiego, lecz nie wyciągano z tego ostatecznych konsekwencyj. Stosowano półśrodki i łudzono się, że mimo wszystko uda się znaleźć jakieś pokojowe rozwiązanie. Japonia świetnie nauczyła się kopiować wzory i metody swych europejskich partnerów z osi. Wykazała nawet dużo własnej pomysłowości, Ameryka zaś powtórzyła błędy demokracyj europejskich, uchylając się od akcji prewencyjnej wówczas, kiedy zło mogło być z łatwością stłumione.

* * *

Roosevelt objął rządy w okolicznościach wyjątkowo trudnych. Krajowi groził nowy krach finansowy. Osiemnaście tysięcy banków amerykańskich zawiesiło wypłaty. Ludność na próżno pukała do ich bram po swe oszczędności. Kurs dolara przestano notować na giełdach. Było to przeszło cztery lata po pierwszym wielkim krachu na jesieni r 1929. Podczas wyborów prezydialnych w r. 1932. Roosevelt contra Hoover

— zwolennicy Hoovera twierdzili, że nie można zmieniać spadochronu w trakcie spadania. Okazało się, że nie tylko można, ale trzeba. Naród amerykański wyczuł to instynktem. Sytuacja była istotnie katastrofalna. Na falach urojonej „*prosperity*“ za rządów Hardinga, Coolidge'a i Hoovera dojrzewał kryzys o niebywałych rozmiarach. Mało kto zdawał sobie z tego sprawę, a najmniej urzędowi eksperci. Instytut badania koniunktur gospodarczych ogłosił w przededniu największego wstrząsu na giełdzie nowojorskiej biuletyn pełem optymizmu. Lecz głęboko pod powierzchnią gromadziły się siły rozkładowe i wypełzały na wierzch, szerząc zamęt w tym najmniej zorganizowanym państwie. Ojczyzna rekordów, kraj superlatywów, demokracja kontrastów. Taką opinię zdobyła sobie Ameryka. Cechy te występowały w owym okresie ze szczególną wyrazistością i często w ujemnym sensie. Najhojniejsza filantropia i największy wyzysk, najdoskonalsze maszyny i najstraszliwsze katastrofy, najwspanialsze warsztaty pracy i największe bezrobocie, najwznioślejsze ideały i najpotworniejsze zbrodnie. Tych przeciwieństw można było naliczyć bez końca. Ameryka zasłynęła cudownymi zdobyczami nowoczesnej techniki, jednocześnie prawem Lyncha, wolnomyślicielstwem i „małpimi procesami“ przeciw teorii Darwina, postępem o bezprzykładnym rozmachu, a jednocześnie zatwardziałym wstecznictwem, oddziedziczonym po pierwszych osadnikach. Purytanie uczyli dzieci amerykańskie, że bogaczowi trudno dostać się do nieba. Dzieci nie wyciągnęły morału z tej nauki, ale dowiedziały się w następnych pokoleniach, że biednemu jeszcze trudniej żyć na ziemi i że od przybytku może zaboleć głowa.

Nie będziemy tu zgłębiali wielu przyczyn, które złożyły się na te kontrasty. Gorączkowe tempo życia, różnorodność elementów napływowych — nie zawsze najlepszych, roztapianych powoli w tyglu amerykańskim, korupcja polityczna, a przede wszystkim bałwochwalstwo pieniądza i szybkiego sukcesu nie mogły oczywiście wzmocnić odporności społeczeństwa na czynniki, wytrącające je z równowagi. Tym się, między innymi, tłumaczy dlaczego w walce z zorganizowanym przestępstwem żadne państwo nie było tak bezsilne, jak U.S.A. przed rządami Roosevelta.

Na ekranie kinematografu wszystkie te kontrasty godziły się jakoś i w końcu cnota zwyciężała. Bohaterowie filmów amerykańskich muszą znaleźć się nieskończoną ilość razy o włos od śmierci, skaczą szczęśliwie z drapaczów nieba na mknące z zawrotną szybkością samochody, z których wdrapują się na aeroplany, równie szczęśliwie dziedziczą milionowe spadki i nigdy nie zabraknie siwowłosego pastora — na ziemi, pod ziemią, czy w powietrzu, który udziela błogosławieństwa młodej parze. Sympatyczny gangster zabierał się do uczciwej pracy. Porwane dzieci zwracane były rodzicom,a zbrodniczy „kidnapper“, oczarowany ciepłem domowego ogniska zrzekał się okupu i niańczył swe niedoszłe ofiary. Autor scenariusza musiał dawać happy end. Jego Napoleon wygrywał bitwę pod Waterloo, jego Maria Stuart wymykała się z rąk kata, a król Lear wpadał w objęcia wszystkich kochających swych córek.

Inaczej było w życiu. To też inny był film Roosevelta od chwili, gdy zasiadł on w Białym Domu, jakkolwiek zawierał wiele momentów wysoce emocjonujących. . . Widzimy tam z początku cyfry, wykresy, diagramy. Cyfry zawrotne, astronomiczne. Krzywa kryzysu w karkołomnych łamańcach. Roosevelt przechodzi do kontrolowanej gospodarki w kraju najbardziej kapitalistycznym, którego bogactwa wyrosły na nieskrępowanej inicjatywie prywatnej. Buduje syntezę, jakiś dziwaczny „sky scraper“ z kilkunastu tysięcy projektów, jakie napłynęły do Waszyngtonu i zbadane zostały przez jedyny trust z którym nie wojuje: trust mózgów. Wydaje coraz to nowe dekrety, lynczuje stare metody, przeraża ortodoksów finansowych, wywraca do góry nogami uświęcone, wygodne tradycje. Płace gonią ceny, ceny gonią płace. Powstaje niebywały zamęt. Obok pry-

mitywnych środków masowej sugestii: parad, pochodów, orkiestr, jakimi się posługuje, doniosłe zmiany w kierunku przebudowy społecznej. Laboratorium nowych idei, jazz-band czy Luna Park? — pytali sceptycy. Wielki front wrogów „New Deal'u" przypuszcza atak po ataku. Wall Street nie próżnuje. Z różnych stron rozpoczyna się krucjata przeciw Prezydentowi. Zdania obserwatorów zagranicznych są podzielone. Nawet najgorętsi sympatycy Roosevelta zaczynają wątpić. Potem następuje bunt farmerów, bunt Congressman'ów, fala strajków robotniczych. Sąd Najwyższy przekreśla najważniejsze zarządzenia Roosevelta, ale znajduje on i na to sposób. New Deal funkcjonuje dalej. Kongres znowu się burzy, głosuje przeciw projektom rządu. Powstają groźni rywale. Ochrypłe głosy małych dyktatorów podważają piramidę nowego regime'u. Ale Roosevelt siedzi mocno, bo kto mu dorówna? I dalej odbywa się wielkie sprzątanie starych nieużytków, które były symbolami dobrobytu w okresach łatwej walki o egzystencję, a stały się nieznośnym ciężarem.

Kryzysy po tamtej wojnie wysunęły we wszystkich krajach podobne problemy organizacji pracy i życia wielkich skupień ludzkich, wytrąconych z równowagi,ponieważ postęp moralny i społeczny nie podążał za postępem technicznym. Był to jak gdyby wyścig żółwia z samolotem. Lecz na tle tysięcy skłóconych interesów demokracji amerykańskiej, w zupełnie odmiennych warunkach od naszego kontynentu, proces ten był w U.S.A. znacznie bardziej skomplikowany.

Roosevelt nigdy nie należał do doktrynerów. Często zmienia swą taktykę, szuka kompromisu, cofa się, gdy nie widzi innego wyjścia. Nieraz przyznawał się do licznych błędów w realizacji „*New Deal'u*". W mowie, wygłoszonej w Filadelfii w sierpniu 1936 r. cytował słowa Dantego: „*Boska sprawiedliwość na różnych szalach waży błędy i grzechy ludzi zimnych i ludzi z gorącym sercem*". I tu właśnie tkwi tajemnica jego sukcesu. W burzliwych i zdawało się chwilami beznadziejnych perypetiach jego eksperymentu, gdy musiał odpierać szturm z wszystkich niemal stron, szerokie masy pracujące nie przestawały w nim widzieć leadera z gorącym sercem, który może się mylić, może robić rzeczy bardzo ryzykowne, a nawet gwałcić przepisy konstytucji, ale jest zawsze demokratą w prawdziwym znaczeniu tego słowa, szczerym obrońcą ludu przeciw trustom i potentatom Wall Street, przeciw różnym królom i królikom feudalizmu amerykańskiego, z zachłannością których walczył od pierwszej chwili. Dlatego lud ten obdarzał go zaufaniem i wybrał Roosevelta po raz drugi w r. 1936 i poraz trzeci w r. 1940.

Tej miary leader o szerokich horyzontach, wielkim sercu i rozumie stanu nigdzie nie może być „izolacjonistą". Roosevelt zdawał sobie dokładnie sprawę, że jego „*New Deal*" nie rozwinie się w całej pełni, mimo olbrzymich zasobów materialnych Ameryki, jeśli odgrodzi się ona od reszty świata, albowiem stoi temu na przeszkodzie zarówno interdependencja gospodarcza państw, jak i ideały moralne postępu ludzkiego.

Nastawienie anty-izolacjonistyczne wyraźniej jeszcze zarysowało się już przeszło dziesięć lat temu wśród najbliższych współpracowników Prezydenta. Henry Wallace, wówczas minister rolnictwa, obecnie wiceprezydent St. Zjednoczonych, który ostatnio występuje jako jeden z najbardziej entuzjastycznych szermierzy międzynarodowego ładu, opierając program swój na głębokich podstawach religijnych, pisał w książce „*Statesmanship and Religion*":

„Trust mózgów należy zastąpić trustem serc. Ewangelia nie jest ekonomicznym nonsensem, lecz przeciwnie jedynym wyjściem z chaosu. Świat dojrzał do spełnienia przykazań Boskich. Nie umieliśmy żyć w okresie dostatku, to też dzisiaj ludzie chodzą głodni i obdarci. Możnowładcy business'u gromadzili w tłustych latach niezmierzone bogactwa kosztem robotników i dlatego popyt nie podąża za podażą, nastąpiła depresja, bezrobocie. Przodkowie nasi, pierwsi pionierzy amerykańscy, którzy wyciosali naród w pustyni, żyli w w ubóstwie. Nic dziwnego, że zwracali się ku psalmom po strawę

duchową i uczynili z pracy i oszczędzania największą cnotę. . . Ale dzisiaj są inne warunki. Walczymy z obfitością. Stare dogmaty nie mogą znaleźć zastosowania w czasach nowożytnych. Musi powstać nowa religia, prawdziwy chrystianizm ekonomiczny. Jezajasz współczesny, widząc dzisiejsze możliwości produkcji, transportu i komunikacji, a obok tego bariery wzniesione przez jedne narody przeciw drugim, gromiłby te krzywdy, wyrządzane bliźnim i ruszyłby w świat z posłannictwem ‚Nowego Ładu'. Winniśmy rozszerzyć nasze horyzonty, objąć wzrokiem dalekie kraje i tak urządzić nasze sprawy gospodarcze, by dobrodziejstwa ich spłynęły nie tylko na obywateli amerykańskich, lecz i na inne narody.. ."

Wallace już w r. 1933 wierzy w wielkie siły moralne, jakie wydobył z narodu amerykańskiego eksperyment Roosevelta i pragnie wyzyskać je dla dobra całego świata. Ostro potępia nacjonalizm ekonomiczny U.S.A. bojąc sie załamania ,,New Deal'u", stworzonego tylko na użytek wewnętrzny.

* * *

,,*Gdyby muchy były jednomyślne, wypędziłyby mnie z łóżka*". Sentencja powyższa , którą Jonatan Swift wkłada w usta Gulliwerowi, odnosi się nie tylko do much i liliputów. Można ją zastosować i do olbrzymów. Zawiera ona jedną z nieprzemijających prawd w stosunkach międzynarodowych. Gdyby przed tą wojną wielkie mocarstwa demokratyczne, a choćby tylko Imperium Brytyjskie i St. Zjednoczone, utworzyły wspólny front przeciw agresorom, nie doszłoby do kastrofy. Za brak takiego frontu znacznie większą odpowiedzialność ponosi izolacjonizm amerykański, niż insularyzm brytyjski. Anglia nie szczędziła trudów i ofiar w dążeniu do zdobycia trwałej przyjaźni z Ameryką. Były to na ogół zaloty jednostronne, flirt bez wzajemności. Przez szereg lat po tamtej wojnie w U.S.A. panowały nastroje przeważnie antyangielskie. Jeszcze za rządów prezydenta Hoovera powstawały we wzajemnych stosunkach obu mocarstw częste zadrażnienia, jeśli nie wyraźne objawy konfliktu. Popularna prasa Hearsta, rozchodząca się w milionach egzemplarzy, systematycznie podżegała szerokie masy przeciw Anglii. Pamiętne są wystąpienia mera Chicago, Thompsona, który zwyciężył w wyborach municypalnych r. 1928, jako nieprzejednany wróg Anglii, wołając na mityngach, że ,,*nigdy nie będzie lokajem króla angielskiego*". Po objęciu władzy przez Roosevelta atmosfera ta zaczęła się zmieniać, ale bardzo powoli. Natomiast w Anglii prąd uznający potrzebę współpracy z Ameryką, nie tylko w imię wspólnych interesów, lecz jako podstawy pokoju światowego, był oddawna głęboko zakorzeniony. Wszystkie bez wyjątku stronnictwa widziały w nim linię wytyczną polityki brytyjskiej. Konserwatyści, liberałowie i labourzyści z jednakową gorliwością zabiegali o względy opinii amerykańskiej. Wprawdzie Anglia była nieraz rozczarowana z powodu stanowiska Ameryki: wynikły tarcia w związku z kwestią długów wojennych, narzekano na Amerykę, jako na sprawczynię fiaska konferencji gospodarczej, a później podczas kryzysu abisyńskiego i krucjaty sankcyjnej na to, że jej neutralność przeszkadzała zbiorowej akcji pod kierunkiem Anglii — ale ilekroć z tamtej strony Atlantyku wykazywano chęć do zbliżenia, opinia angielska z zapałem reagowała na każdą tego rodzaju inicjatywę. Dla Ameryki Anglia poświęciła swój sojusz z Japonią, zrzekła się panowania na oceanach, przyznała U.S.A. parytet morski. Niewątpliwie wzgląd na Amerykę przyspieszył danie wolności Irlandii. Przez szereg lat Anglia płaciła punktualnie swe długi wojenne, słowem czyniła największe wysiłki, by osiągnąć harmonijne porozumienie z U.S.A. — w czym dopomagały jej bardzo dominia. Nawet uchwały ottawskie — przejście Anglii do protekcjonalizmu imperialnego starały się jak najbardziej oszczędzać interesy amerykańskie. Wszystko to jednak miało bardzo słaby oddźwięk i dopiero w czasie drugiej kadencji prezydialnej Roosevelta pod wpływem narastającego niebezpieczeństwa ze strony agresorów, przede wszystkim Japonii, w Ameryce zaczęły wzmagać

się prądy na rzecz współpracy z Anglią i w ogóle większego angażowania się w rostrzygnięciach na terenie międzynarodowym.

Powolna ewolucja tych nastrojów jest psychologicznie zrozumiała. Surowi krytycy, którzy tak pochopnie oskarżali Amerykę, iż wolała trzymać się zdala od konfliktów naszego kontynentu wówczas, gdy nie czuła się bezpośrednio zagrożona, mogliby swe zarzuty z większą słusznością skierować pod adresem mocarstw zachodnio-europejskich. Pewien wybitny dziennikarz amerykański mówił mi krótko przed wybuchem tej wojny: „*Dziwi Pana, że nie chcemy się mieszać do spraw europejskich i narażać się na wplątanie w wojnę. Niech mi Pan lepiej odpowie na pytanie, co wy byście zrobili, gdyby powstał jakiś Hitler na naszym kontynencie i rzucił się na nas? Czy można byłoby tak łatwo poruszyć opinie demokracji europejskich by walczyły o naszą niepodległość*". Istotnie, wydaje się rzeczą bardzo wątpliwą, czy w odwróconej sytuacji przeciętny europejczyk reagowałby inaczej, niż przeciętny Amerykanin. Rozczarowanie sprawiły raczej rządy U.S.A. i demagogia polityczna przed Rooseveltem, które nie starały się opinii tej uświadamiać i urabiać w duchu solidarności międzynarodowej, lecz przeciwnie-zaostrzały w niej instynkty nacjonalistyczne, mimo iż grunt dla krzewienia tej solidarności był bardzo podatny, ze względu choćby na bliskie węzły pokrewieństwa znacznej części ludności U.S.A. ze starą macierzą. To nie masy ludowe, nie doły, lecz szczyty społeczne doprowadziły do ponurych paradoksów. One są głównie odpowiedzialne za zaprzepaszczenie idei Wilsona. Ameryka wynalazła Ligę Narodów, jej dzieckiem był pakt Kelloga. Ligę podrzuciła Europie, i nie zatroszczyła się, by pakt Kelloga stał się czymś więcej, niż platonicznym zaklęciem, lub czekiem bez pokrycia. Srodze zawiedli się ci, co apelowali w jego imieniu do Ameryki. O zbiorowym bezpieczeństwie nie chciała przed Rooseveltem słyszeć nawet jako o oderwanej zasadzie. Opowiadają, że za rządów Hardinga i Coolidge'a, listy z sekretariatu Ligi Narodów do Departamentu Stanu wrzucano nieodpieczętowane do kosza. Wuj Sam zawsze wzruszał się niedolą bliźnich i wydawał setki milionów na cele dobroczynne. Był wrażliwy na hasła ogólno-ludzkie i szczerze pragnął pokoju. Nie jest jego wina, że krótkowzroczność żywiołów rządzących w Ameryce po ostatniej wojnie nie chciała wykorzystać cennych jego zalet dla sprawy lepszej i mądrzejszej, niż urojone bezpieczeństwo na złotych skalach „*prosperity*", bronionej przez dwa oceany.

* * *

Stany Zjednoczone uznały formalnie Sowiety dopiero w listopadzie roku 1933 po piętnastu latach bojkotu dyplomatycznego. W czasie kampanii prezydialnej r. 1932 republikanie zarzucali Rooseveltowi sympatie „bolszewickie". Hoover ostrzegał społeczeństwo amerykańskie przed wyborem swego rywala. „*Trawą porosną miasta nasze* — wołał na mityngach — *jeśli demokraci dojdą do władzy*". Ponure przepowiednie nie sprawdziły się. Miasta nie porosły trawą, lecz w pierwszym swym okresie eksperyment Roosevelta wywołał inne efekty, przypominające niektóre zjawiska znane z doświadczeń gospodarki sowieckiej. Wieś powstała przeciwko miastu, ukazały się słynne „nożyce" dysproporcji pomiędzy cenami produktów rolnych i wyrobów przemysłowych, farmerzy amerykańscy poszli w ślady „kułaków". Oczywiście, analogie te były bardzo powierzchowne, lecz dawały one menerom republikańskim bardzo wdzięczne atuty w rozgrywkach z Prezydentem i utrudniały w pewnym stopniu nawiązanie dyplomatycznych stosunków z Sowietami, jakkolwiek prąd, żądający zerwania z ich bojkotem wzmagał się nie tylko w obozie demokratycznym, lecz i republikańskim. Jedną z najtrudniejszych do zwalczenia przeszkód był opór komisji spraw zagranicznych Senatu. Stanowisko poprzednich rządów U.S.A. było w tej sprawie nieugięte. Handlować z Sowietami, posyłać maszyny, inżynierów, przyczyniać się do powodzenia „piatiletki",

prowadzić w Rosji akcję humanitarną — przeciw temu nie miały one żadnych zastrzeżeń, byle tylko nie uznawać Sowietów *de jure* Wpływowe sfery businessu amerykańskiego uważały, że uznanie takie jest zbyteczne, gdyż bez niego dobrze rozwijają się z Rosją stosunki handlowe i że nawet ten stan „narzeczeński" jest pod pewnym względem korzystniejszy dla Ameryki od „legalizacji związku", gdyż w czasie jego można od Sowietów więcej uzyskać. Ameryka istotnie nie mogła narzekać na złe traktowanie przez Sowiety, mimo nieobecności ambasadora amerykańskiego w Moskwie i sowieckiego w Waszyngtonie. W żadnym kraju niebezpieczeństwo propagandy komunistycznej nie było tak słabe, jak w Stanach Zjednoczonych. Porównywano je z niebezpieczeństwem udaru słonecznego na Grenlandii. Przedstawiciele rządu Sowietów i Trzeciej Międzynarodówki zawsze wyróżniali w oświadczeniach swych Amerykę, jako mocarstwo, które nigdy nie brało udziału w „spiskach antybolszewickich". W okresach największej nienawiści dla „imperializmu burżuazyjnego" Amerykanie cieszyli się popularnością w Rosji, do czego bardzo przyczyniła się ich akcja ratunkowa podczas głodu w r. 1921. Amerykańscy turyści byli pożądanymi goś mi w Sowietach, amerykańscy inżynierowie i instruktorzy położyli wielkie zasługi w ich industrializacji. Rozmach Ameryki, jej bogactwa i postęp techniczny szczególnie apelowały do wyobraźni Sowietów, które szukały tam wzorów do naśladownictwa. To też nic dziwnego, że Sowiety tak gorliwie zabiegały o ostateczne uregulowanie stosunków ze Stanami Zjednoczonymi. Lecz Waszyngton przez długie lata trwał na stanowisku, że „*niemożliwe są stosunki z regime'm, nie uznającym zobowiązań międzynarodowych*". Popierany on był głównie przez sfery bankowe i Amerykańską Federację Pracy (robotnicze związki zawodowe). I dopiero pod rządami Roosevelta Waszyngton uznał *de jure* Moskwę. Warunki, postawione przez Prezydenta świadczą jak bardzo liczył się on z odłamem nieufnej wobec Sowietów opinii. Formuła dotycząca propagandy komunistycznej zredagowana była w sposób niezbyt przyjemny dla kontrahenta sowieckiego. Moskwa musiała złożyć zapewnienie, że „powstrzyma się od propagandy nie tylko bezpośredniej, lecz i pośredniej, nie tylko jawnej, lecz i ukrytej, nie tylko rząd, lecz i organizacje znajdujące się pod jego bezpośrednim, lub pośrednim wpływem, włączając w to wszystkie organizacje, otrzymujące od niego pomoc pieniężną i t.d."

Ponad to rząd Z.S.R.R. podjął również żądania w sprawie wolności sumienia i kultu religijnego obywateli amerykańskich, przebywających w Rosji oraz ochrony ich przed narażeniem się na procesy z oskarżenia o sabotaż i szpiegostwo ekonomiczne, jakie wytoczono w owym czasie inżynierom angielskim. Nie ulega wątpliwości, że ten nowy kurs wobec Sowietów, stał w ścisłym związku z niepokojącą sytuacją na Dalekim Wschodzie. Zagrożenie ze strony Japonii w niemałym stopniu przyczyniło się do tego, że dobiegł kresu paradoksalny stan rzeczy, w którym dwa wielkie mocarstwa, utrzymujące między sobą najlepsze stosunki i prowadzące rozległą wymianę handlową formalnie się wzajemnie nie uznawały.

W ciągu ubiegłej dekady stosunki pomiędzy Stanami Zjednoczonymi A.P. a Unią Sowiecką rozwijały się na ogół pomyślnie, jakkolwiek zawsze cechowała je pewna rezerwa ze strony U.S.A. Praktyczny zmysł amerykański przeszedł jednak do porządku dziennego nad dawnymi formalnymi, czy też ideologicznymi zastrzeżeniami i oparł politykę swą wobec Sowietów na konkretnych faktach, nie wyciągając z nich daleko idących wniosków. Była to polityka bez przesądów, lecz i bez złudzeń. Po przystąpieniu Sowietów do wojny stosunki te, rzecz prosta, mocniej się zacieśniły. Wprawdzie Ameryka nie odczuwa tak bezpośrednio, jak inne narody zjednoczone, wielkiego wkładu rosyjskiego sprzymierzeńca do wspólnego zwycięstwa — wskutek biernej roli Sowietów na Dalekim Wschodzie — ale wobec

tego, że uważa Niemcy za wroga Nr.I., wspaniałe osiągnięcia wojenne Sowietów, ich olbrzymie ofiary, wreszcie fakt iż wytrzymują obecnie cały niemal ciężar nawały niemieckiej, nie mógł nie wywołać dla nich gorących sympatii wśród społeczeństwa amerykańskiego. Niedawne wystąpienia wiceprezydenta Wallace'a świadczą również, że w rządzie Roosevelta panuje głębokie przekonanie o konieczności współpracy z Sowietami po wojnie. Wallace ostrzega przed żywiołami, które chciałyby prowadzić podwójną grę w stosunku do Sowietów. Nawołuje on do radykalnej przebudowy demokracji w duchu prawdziwie chrześcijańskim, uniwersalnym, w duchu wszystkich wielkich religii. Demokracja musi oprzeć się na nowych podstawach nie tylko równości politycznej, lecz sprawiedliwości ekonomicznej. Jeśli nie rozwiąże ona problemu planowej produkcji i nie zwalczy plagi bezrobocia, jeśli stary kapitalizm znowu pokaże swe „kły i pazury", staniemy wobec niebezpieczeństwa trzeciej wojny.

„Przyszły pokój świata — powiedział Wallace — zależy od tego, w jakim stopniu marksizm, stopniowo modyfikowany obecnie w Rosji, i demokracje, które staramy się przystosować do warunków dwudziestego wieku, potrafia żyć z sobą w zgodzie".

* * *

Ameryka powołana jest do odegrania pierwszorzędniej, a może i najgłówniejszej roli w rekonstrukcji powojennej. Ma ona po temu największe możliwości. Wspólnie z imperium brytyjskim stanowić będzie po wojnie największą potęgę materialną, moralną i militarną, zdolną do opanowania chaosu Europy i budowania podwalin nowego ładu wyzwolonych narodów. Ameryka sama jest Ligą Narodów, a raczej ligą wolnych ludzi. Wierzy w nienaruszalne prawa jednostki ludzkiej do życia, bezpieczeństwa i szczęścia, w to, że wolność człowieka jest dobrem, które należy tylko w wyjątkowych wypadkach ograniczać dla wyższego dobra ogółu, a nie złem, które należy tylko w wyjątkowych wypadkach tolerować. Na tem właśnie polega zasadnicza różnica pomiędzy demokracjami a wszelkimi systemami totalizmu.

Jednocześnie Ameryka pod wpływem doświadczeń dwóch wojen i swego własnego kryzysu świadoma jesz dzisiaj, że piękne hasła jej „*Declaration of Independence*" muszą być uzupełnione hasłami ogólnoludzkimi, „*Declaration of Interdependence*" — współzależności wszystkich krajów i narodów — które znalazły częściowy tylko wyraz w Karcie Atlantyckiej. Takie jest stanowisko czynników, które dziś kierunją Stanami Zjednoczonymi A.P. w oparciu o zdecydowaną większość opinii publicznej. Czy opinia ta się nie zmieni? Trudno na pytanie to odpowiedzieć z absolutną pewnością i pozbyć się całkowicie obaw, że nie powtórzy się to, co nastąpiło po tamtej wojnie, że żywioły reakcyjno-izolacjonistyczne znowu nie dojdą do władzy, burząc dzieło Roosevelta, tak jak zniszczone zostało dzieło Wilsona.

Mentalność amerykańska różni się od europejskiej. Nie jest tak silnie dotknięta „kompleksem historycznym". Jej „*blue print mind*" — w najlepszym znaczeniu tego słowa — umysł praktycznej syntezy i trzeźwego planowania, konstrukcyjny i wynalazczy, najlepiej nadaje się do rozplątywania węzłów gordyjskich problemów powojennych. Patrzy on przed siebie i nie ugina się pod balastem nagromadzonych w przeciągu wieków tradycyj myślenia i postępowania. Można, oczywiście, kontemplując sprawy ludzkie pod kątem wieczności, twierdzić, że przyszłość jest tylko przeszłością, w którą wkraczamy przez inne drzwi, ale przecież mądrzej jest nie iść za przykładem żony Lota. Głębszy morał tej opowieści biblijnej polega na tym, że, uchodząc cało z płonących ruin, lepiej nie oglądać się wstecz, bo wszyscy zamienimy się w słupy soli.

ANDRZEJ WALIGÓRSKI

DZIESIĘCIOLECIE NEW DEAL'U

Dziesięć lat temu, dnia 4 marca 1933 r., Franklin Delano Roosevelt objął po raz pierwszy urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych. Chwila była krytyczna. Kryzys gospodarczy jaki trawił kraj od kilku lat, zdawał się sięgać dna. Wbrew prognostykom nauki i zapewnieniom polityków, automatyczna poprawa nie następowała i życie gospodarcze chyliło się ku zupełnemu upadkowi. System finansowy nie tylko był zachwiany, ale formalnie przestał działać z bankami zamkniętymi w 47, na wszystkich 48 Stanów, bezrobocie wzrastało, szerzyła się nędza, masy poczęła ogarniać depresja. Stwarzało to podatny grunt dla różnych nowinek ze świata, jakie poczęły znajdować coraz szerszy posłuch. Rosja Sowiecka, która zakończyła była okres pierwszej pięciolatki, tryumfalnie ogłosiła światu, rozpoczęcie drugiej. Z totalistycznych Niemiec, po niedawnym spaleniu Reichstagu, padać zaczęły coraz częstsze i ostrzejsze obelgi i szyderstwa pod adresem demokracyj, borykających się bezradnie z problemem bezrobocia. Sytuacja, w jakiej znalazły się Stany Zjednoczone, groziła katastrofą, zawalaniem się całego systemu cywilizacji, jaką szczycił się obywatel Nowego Świata. To też całe społeczeństwo, wszystkie jego warstwy i odłamy, — wielki przemysł i finansiera, usiłujące ratować resztki swych oszczędności i stanu posiadania, klasy średnie i robotnicze, zubożeli i zadłużeni farmerzy, bezrobotni — literalnie cały naród domagał się od Rządu jakiejś akcji w kierunku poprawy. W dwa dni po objęciu władzy prezydent zelektryzował społeczeństwo nagłym i śmiałym pociągnięciem, jakim było zamknięcie, bez uprzedniej uchwały Kongresu, banków na terenie całego kraju aż do odwołania, celem zahamowania dalszego runu na banki. Równocześnie rozległ się z Białego Domu głos uspakajający obywateli i zapewniający ich, iż nie powinni obawiać się niczego za wyjątkiem samych siebie. Taki był początek New Deal'u.

Następny rok wytężonej pracy Kongresu i Administracji przyniósł szereg zasadniczych reform, rozporządzeń i nowych instytucyj, w całości ponad 400 nowych „code 'ów". Niektóre z nich były jedynie środkami doraźnej poprawy, czy pomocy publicznej, jak np. szereg ustaw reliefowych. Inne, aczkolwiek pierwotnie zamierzone jako akcja bardziej długodystansowa, nie wytrzymały próby życia, jak np. skasowany przez Najwyższy Trybunał w r. 1935 National Industrial Act (NIRA). Większość tych reform i instytucyj jednakże, w szczególności reformy finansowe, agrarne, inwestycyjne, oraz cała szeroka akcja przedsiębiorczości publicznej przy pomocy wydatków państwowych, nie tylko przetrwały, lecz co więcej stały się jedną z najbardziej istotnych części składowych, zapoczątkowanego przez New Deal, nowego systemu. To samo stosuje się do szeregu reform i nowych urządzeń społecznych, mających na celu poprawę bytu mas oraz stworzenie dla nich nowych warunków bezpieczeństwa publicznego, takich jak Social Security Board, National Labour Relief Board, the Farm Security Administration i innych instytucyj, o których przyjdzie nam jeszcze powiedzieć parę słów.

Reformy te oraz należące tu działy polityki społecznej, sprawy ongiś w Ameryce tak sporne i gorąco dyskutowane i kwestionowane przez szero-

LITERATURA.*

Charles A. Beard and George H. E. Smith, „*The Old Deal and the New*," New York, 1941; Charles A. and Mary R. Beard, „*America in Midpassage*," London, 1939; „*America's Recovery Program*," by A. A. Berle, Jr., John Dickinson, etc., Edited by Clair Wilcox, etc., London, 1934; Professor D. Mitrany, „*The New Deal, An Interpretation of its Origin and Nature*," Agenda, vol. 1, No. 4; artykuły i korespondencje amerykańskie w „*The Economist*."

kie odłamy opinii publicznej, dziś stały się rzeczami ogólnie przyjętymi, trwałymi zdobyczami systemu. Wchodziły one stopniowo, począwszy od drugiej kampanii wyborczej z r. 1936, w skład wszystkich programów politycznych, zarówno New Deal'u jak i oponentów politycznych Prezydenta Roosevelta, a jeżeli zarysowują się tu różnice, to jedynie w zakresie szczegółów ich wprowadzenia w życie. Nie znaczy to, rzecz oczywista, by wszystkie sprawy zostały uzgodnione i wszystkie problemy jakie zostały postawione, rozwiązane. Daleko do tego. Niemniej, w ciągu dziesięciolecia swych rządów New Deal wprowadził w strukturę społeczeństwa amerykańskiego takie zmiany, iż całą tę akcję można śmiało uważać za rewolucyjną. Zadaniem naszym w niniejszym artykule będzie ukazać istotę i sens społeczny tych zmian, zarówno na płaszczyźnie gospodarczej, jak też na płaszczyźnie duchowej — w poglądach, wierze i spojrzeniu na świat jednostki i mas.

Pozwolą Panowie, iż wyjdę tu poza zakres zjawisk ściśle gospodarczych tej, czy innej doktryny, czy kierunku ekonomicznego, i przedstawię zjawiska szerzej, w ich perspektywie historycznej i w ramach szerszego kontekstu społeczno-gospodarczego, w jakim są one zawarte.

Rozwój gospodarczy St. Zjedn. u schyłku XIX w. podobnie jak i rozwój Zachodniej Europy oparty, był na zasadach wolno konkurencyjnego kapitalizmu, z tą jedynie różnicą, iż jego wpływ i skutki w Nowym Świecie były szersze, głębsze i intensywniejsze. Swobodny i niezwykle obfity napływ kapitału, oraz siły roboczej na wielkie przestrzenie, jakie tu stały otworem, pozwalał przy równoczesnym pochodzie techniki, na niemal nieograniczoną ekspansję. Rozwój ten oparty na inicjatywie, przedsiębiorczości i energii jednostki zachował w pełni swój indywidualistyczno-pionierski charakter. Dawał on możność szerszych, aniżeli w Europie, szans eksploatacji zasobów i wytwarzał inne kryteria ich użytkowania. Dawały one jednostce, niemożliwy już na kontynencie Europy, przywilej wyłączności ich posiadania i tytuł do pełnych owoców ich użytkowania. Panującą doktryną, sankcjonującą tego rodzaju praktykę, była wówczas doktryna surowego indywidualizmu — *rugged individualism*, — który nadawał ton całemu życiu amerykańskiemu. Głosiła ona zasadę równych praw i przywilejów, stała na stanowisku jednakowych szans i możliwości dla wszystkich, zarówno w zakresie eksploatacji jak i użytkowania. Wedle tej zasady zbudowane było całe życie amerykańskie, począwszy od Konstytucji i Najwyższego Trybunału, a skończywszy na poszczególnym drobnym przedsiębiorstwie. Przestrzenie i bogactwa naturalne, pozwalające na wciąż nową ekspansję, niemal nie kończące się możliwości rozwoju gospodarczego kraju, utrzymywały i stale podsycały tę zasadę, która stała się kanonem wiary i filozofią obywatela Nowego Świata.

Doktryna ta zrodzona z warunków społeczno-gospodarczych i mająca w nich realne oparcie, dopóki zasoby znajdowały się w obfitości i postępowała ekspansja, poczęła jednakże stale się od nich oddalać w miarę zasadniczych zmian, jakie dokonywały się w strukturze gospodarczej Kraju. System gospodarczy St. Zjedn. szybko począł przekształcać się z rolniczego na przemysłowy. Ze wzrostem bogactwa poczęła się coraz silniej różniczkować struktura społeczna kraju, oraz wyłaniać nowa klasa społeczna nie produkująca dóbr w sposób bezpośredni, lecz czerpiąca swe środki utrzymania z dostarczania różnego rodzaju usług. Zmiany te najlepiej uwydatniają cyfry, ukazujące przesunięcia w rozdziale produktywnie zatrudnionych w poszczególnych działach gospodarki narodowej, w latach 1870 oraz 1930.

	1870 w %	1930 w %
I. *Produkcja*: przemysł	22	29
rolnictwo i surowce	54	23
II. *Usługi* (przemysłowe i osobiste) ..	24	48

Zjawisku temu towarzyszył inny rozwój o decydującym znaczeniu. Było nim stałe wyczerpywanie się możliwości ekspansji. Początkowo, jeszcze z końcem XIX w., zapasu ziemi, później zasobów naturalnych, oraz źródeł energii materialnej. Równocześnie z wyczerpywaniem się możliwości ekspansji w sensie fizycznym, następowało jej stałe ograniczanie i kurczenie się w sensie ekonomicznym, na skutek coraz silniej zaznaczającej się koncentracji w rękach przemysłu, finansów, oraz nielicznych jednostek potęgi gospodarczej. Nadchodziło nieuchronne „zamknięcie się granicy" powiedzenie, któremu amerykańska literatura społeczna nadawała zawsze szczególny sens. Obecnie, na drodze nowej koncepcji gospodarczej, dynamicznej ekspansji ekonomicznej, granice te usiłuje otworzyć ponownie, chociaż w innym sensie i innym zakresie, bo nie tylko dla Ameryki, lecz dla całego świata, plan rekonstrucji powojennej, jaki wychodzi z kół New Deal'nych. Ma to być słowami Sumner Welles'a „*nowa granica — ekspansji jaka nie zna granic, — granica ludzkiego dobrobytu*".

Tym zmianom w systemie gospodarczym, którego rozwój biegł niezwykle szybko nie towarzyszyły odpowiednie przeobrażenia w układzie społecznym. Robotnik, czy przedstawiciel klas średnich nadal hołdował swej filozofii indywidualizmu i równych szans i wedle niej kierował swym życiem, wierząc iż ma on równe dane i możliwości ku temu, by zostać milionerem, chociaż najprostrze obliczenie statystyczne przekonałoby go o złudności tej wiary i pokazałoby mu, iż prawdopodobieństwo to niemal z dnia na dzień maleje. W ten sposób doktryna, która kształtowała jego poglądy i działanie coraz bardziej oddalała się od rzeczywistości, coraz bardziej stawała się teorią, zawieszoną w powietrzu, złudnym i szkodliwym anachronizmem.

Drugim zjawiskiem, potrzebnym nam do zrozumienia charakteru późniejszych reform administracji rooseveltowskiej, jest koncentracja gospodarcza, oraz jej tło społeczne, które wyraźnie odcina Amerykę od podobnych rozwojów europejskich.

Jak wiadomo, w Ameryce business był zawsze na pierwszym planie, wszelka zaś organizacja, czy to polityczna, czy społeczna, nie szła po linii indywidualistycznych upodobań Amerykanina. Zresztą nie było to potrzebne dopóki obfite zasoby stały otworem dla wszystkich. Co więcej, na przeszkodzie wszelkiemu organizowaniu się stało prawo, którego sens i pierwotne zamierzenia wypaczone zostały przez późniejszy rozwój życia gospodarczego. Wprowadzony w r. 1890 Sherman Anti-Trust Act (uzupełniony później przez Claydon Act z r. 1914, i pierwotnie mający na celu wzmocnienie wolnej konkurencji, nie dopuszczał do łączenia się przedsiębiorstw w związki i kartele, oraz wywierania jakichkolwiek ograniczeń w kierunku kontroli cen, czy planowania produkcji. Amerykański ustrój gospodarczy rozwijał się zatem w innym kierunku, jak np. W-kiej Brytanii, czy w Niemczech, gdzie istniała swoboda organizowania się zarówno przedsiębiorców w swe własne związki zawodowe, jak też i warstwy robotniczej, stwarzając w ten sposób konieczne zabezpieczenia społeczne. W Ameryce, przy niezwykle sprzyjających warunkach do koncentracji, wobec braku tych klap bezpieczeństwa, zaczęły powstawać wielkie przedsiębiorstwa korporacyjne, zarówno przemysłowe jak i finansowe. Rozwój szedł tu nie tyle w kierunku normalizacji cen i planowania produkcji, co w kierunku gromadzenia w swych rękach władzy gospodarczej oraz uprawnień monopolistycznych w zakresie kontroli zasobami naturalnymi, patentami, środkami transportowymi, oraz źródłami energii.

W amerykańskiej strukturze gospodarczej poczęły coraz wyraźniej zarysowywać się dwa zasadnicze typy przedsiębiorstw: małe przedsiębiorstwa, oparte na ludzkiej osobowości i stanowiące własność jednostkową, oraz wielkie przedsiębiorstwa, które aczkolwiek również oparte na własności prywatnej, rozrastały się w kierunku bezosobowej instytucji prawnej, w

kierunku gigantycznych koncernów, mających w swych rękach całkowity monopol produkcji i sprzedaży. Pierwszy typ przeważał w rolnictwie, drobnym handlu i wolnych zawodach i innych działach serwisowych; drugi w produkcji przemysłowej — w fabrykach, kopalniach, przemyśle budowlanym i konstrukcyjnym, w transporcie i przemyśle rozrywkowym. Te dwa systemy w ramach jednego organizmu gospodarczego, reprezentujące dwa zgoła odmienne a nawet wykluczające się cele i ideały społeczne nie stanowiły, zwłaszcza przy tak nierównym układzie sił,dodatniego rozwoju. Sprzyjały one dalszej koncentracji bogactwa i władzy gospodarczej. Dochody około 200 największych (milionowych) przedsiębiorstw wynosiły w r. 1925 65% ogółu, w 1926 — 70%, 1927 — 71%, 1928 — 72%, w r. 1929 sięgały do 80%. Koncentracja własności i kontroli w rękach nielicznych jednostek powodowała stałe kurczenie się bogactwa. Obliczono np., iż w latach 1925-1929 ogólny dochód wszystkich przedsiębiorstw wzrósł w St. Zjedn. o 15%, przy czym dochody największych trustów wykazywały zwyżkę o 40%, podczas gdy dochód pozostałych mniejszych przedsiębiorstw obniżył się o 15%. Dane te odnoszą się do okresu największej prosperity; w latach kryzysowych tendencja do koncentracji wystąpiła jeszcze wyraźniej, zarówno w kierunku własności i produkcji jak i też rozdziału. Spośród 460.000 przedsiębiorstw zarejestrowanych w r. 1933, 200 największych korporacji (nie finansowych), posiadało w swych rękach 19—21% bogactwa narodowego, 46—51% zasobów przemysłowych, oraz 60% nieruchomości — ziemi, budynków, urządzeń itp. W niektórych działach produkcji przemysłowej, jak np. w przemyśle samochodowym, tytoniowym, koncentracje te były jeszcze większe, sięgając 90%. Dodać należy również, że tego rodzaju koncentracja bogactw i władzy pociągała za sobą nie tylko fatalne skutki gospodarcze, lecz także i społeczne, gdyż potężne grupy monopolistyczne, kierując się przede wszystkim motywem swych własnych zysków i korzyści i częstokroć wywierające szkodliwą presję w tym kierunku, nie zawsze postępowały zgodnie z interesem publicznym.

Fakty te oczywiście były znane, lecz na ogół nie przenikały one do świadomości ogółu. Zarówno cały rozwój Ameryki z lat przedwojennych, jak też i okres kolosalnej ekspansji gospodarczej w pierwszym dziesięcioleciu po wojnie 1914-1918, nie stwarzał w tym kierunku ani potrzeb, ani odpowiednich bodźców społecznych. Zwłaszcza lata największej prosperity 1925-1929, dzięki swemu kolosalnemu natężeniu wytwórczości, nowym zdobyczom techniki i masowej produkcji, zdawały się przynosić rozwiązanie wszelkich problemów ekonomicznych. Przy tak wielkich postępach techniki i produkcji, żądania wyższych płac i skróconych godzin, zwiększonych wymagań oświaty, hygieny, czy innych potrzeb społecznych mogły być zaspokojone. Bo istotnie ten okres największego nasilenia kapitalizmu, okres niebywałego dorobku, w którym wielkie zagadnienie, jakie dominowało w myśli ekonomicznej XIX w., jak wyprodukować dla wszystkich, zdawało się być rozwiązane. Ale był to okres rozwoju jednostronnego, kładącego jedynie podwaliny pod obfitość techniczną pozostawiającą nierozwiązaną całą stronę ludzką, społeczną. Cały ten wielki potencjał techniczny, jaki doszedł tu do punktu szczytowego należało jeszcze uspołecznić, powiązać z człowiekiem, należało jeszcze uczynić przedsiębiorstwo jednostką społeczną, uwłaszczyć robotnika, czy farmera, jakby to określił prof. Grabski, uwalniając go spod władzy koncentracji wielko-kapitalistycznej, oraz udostępnić mu szereg tych zdobyczy społeczno-kulturalnych, do jakich w gruncie rzeczy zamykał mu drogę istniejący system.

Kataklizmem społecznym, który pierwszy w Ameryce wstrząsnął tą budową wielko-kapitalistyczną, był kryzys gospodarczy z r. 1929; uspo-

łecznieniem jego zdobyczy, zamianą jego potencjału technicznego na rzeczywistości społeczne, miał się zająć dopiero New Deal.

Kryzys w Ameryce był nie tylko kataklizmem gospodarczym, ale był przede wszystkim wielkim wstrząsem psychicznym, jaki przygotował grunt dla późniejszych zmian wprowadzonych przez New Deal. Fakty koncentracji bogactwa i potęgi gospodarczej, jakie poprzednio oczywiście były znane, lecz które nie miały, że tak powiem, społecznego ciężaru gatunkowego, kryzys wydobył z podręcznika ekonomii, czy tablic statystycznych i powiązał z losem mas. Ukazał on indywidualnemu człowiekowi — czy był nim farmer, którego gospodarstwo przejął bank, czy dzierżawca, których liczba wynosiła niemal połowę ogółu farmerów — czy był nim wykwalifikowany robotnik, który pozbawiony został pracy i musiał emigrować na wieś — całą ich zależność od władzy finansowej stosunkowo nielicznych jednostek. Masy nagle zrozumiały jak złudna i zawodna była ta cała wielka *prosperity*, jak niedoskonałe były podstawy systemu gospodarczego zbudowane na indywidualiźmie, w którego kulcie i tradycjach go wychowano. Był to wielki wstrząs psychiczny a zarazem przebudzenie, które-podobnie jak w Polsce-zmusiło masy do przemyślenia swej pozycji społecznej i stosunku do innych warstw i ukazało całą grozę i tragizm ich położenia. Masom nagle otwarły się oczy na prawdziwy sens doktryny indywidualistycznej, oraz wyznawanej zasady „*equal opportunity*". Samo życie nadało inny, ujemny sens powiedzeniu „*rugged individualism*" na długo przedtem, zanim sprawę tę wzięły w swe ręce agendy propagandowe Administracji, które poczęły systematycznie urabiać opinię publiczną w tym nowym poglądzie.

* * *

Przechodzę obecnie w najogólniejszym zarysie poszczególne działy gospodarki narodowej, jakie potrzebne nam będą do scharakteryzowania New Deal'u. W pierwszym rzędzie wspomnieć należy o reformach finansowych i bankowych prez. Roosevelta. Nie wchodząc tu w szczegóły — co wymagałoby osobnego opracowania, zaznaczę jedynie ogólnie, iż reformy te obejmujące uzdrowienie pieniądza, oraz uspołecznienie bankowości, dewaluację dolara, kontrolę dewiz itp., przekształciły całkowicie strukturę finansową państwa. Rząd roztoczył całkowitą kontrolę nad emisją i regulowaniem obrotu pieniężnego, pozostawiając ją jednakże w rękach prywatnego banku emisyjnego, którego funkcje całkowicie podporządkował swym potrzebom fiskalnym. Zdobywszy te uprawnienia Rząd począł się kierować zupełnie nowymi kryteriami w zakresie polityki monetarnej i kredytowej, aniżeli to miało miejsce w okresie standartu złotowego. Pieniądz podporządkowany został polityce gospodarczej i społecznej rządu, który przy pomocy wydatków państwowych prowadzi roboty publiczne, formuje poprawę gospodarczą, czy innego rodzaju akcję uruchomiania sił produkcyjnych.

Na podkreślenie zasługuje fakt, iż rząd przejąwszy de facto prywatny system bankowy, miał w swym ręku władzę upaństwowienia banków, lecz cofnął się przed tym krokiem, nawet pomimo nacisku w tym kierunku ze strony niektórych sfer. Opanowawszy panikę i wzmocniwszy banki, rząd oddał je z powrotem w ręce prywatnych właścicieli, aczkolwiek zatrzymał w swym ręku kontrolę nad emisją pieniądza.

Reformy New Deal'u, zmierzające do spowodowania poprawy w przemyśle, posiadają różnorodny charakter i rozpadają się wyraźnie na dwa odrębne okresy. W pierwszym, obejmującym lata 1933-1935, akcja rządu zmierza przede wszystkim do złagodzenia skutków kryzysu, stagnacji i bezrobocia. Rząd stojąc na stanowisku jedności narodowej usiłuje współpracować z zainteresowanymi sferami, przemysłowymi i finansowymi, oraz ze światem pracy w zakresie zwalczania kryzysu. Dążenia te znajdują w pierwszym okresie swój wyraz głównie w N.I.R.A., A.A.A., i T.V.A.

Reformy tego okresu nastawione były przede wszystkim na potrzeby wewnętrzne i prowadzone były w niemal całkowitej izolacji od gospodarki światowej. Nie tyle kładły nacisk na rynki eksportowe, co przede wszystkim dążyły do rozbudowy rynków wewnętrznych, do czego drogą miało być wyrównanie siły nabywczej poszczególnych klas, zwiększenie siły nabywczej mas robotniczych i farmerskich, oraz powolne i raczej kompromisowe dążenie do przebudowy struktury gospodarczej w kierunku bardziej równomiernego rozdziału. Jako środki mające doprowadzić do tych celów, przyjęto w pierwszym okresie ograniczanie produkcji zarówno przemysłowej jak i rolnej, godzin pracy itp.,czyli t.zw. ekonomię niedostatku (*scarcity economics*). Miało to być krokiem wstępnym do zamierzonego celu zwiększenia produkcji oraz spowodowania ogólnego ożywienia gospodarczego.

Na podkreślenie zasługuje duży stopień autonomii w zakresie swych własnych spraw i problemów, jaką otrzymał przemysł w tym planie ujętym w ramy *National Industrial Recovery Act* (*N.I.R.A.*). Pozostawiono mu wolną rękę w zakresie eliminowania niezdrowej konkurencji, co czynić miał on za pośrednictwem wyłonionych przez siebie trybunałów, w skład których wchodziły organizacje zawodowe przemysłowców, oraz przedstawiciele związków robotniczych. W ten sposób przemysł miał przyjąć na siebie szereg zobowiązań społecznych: czuwanie, by konkurencja była uczciwa, by płace i warunki pracy uległy polepszeniu, by ilość zatrudnionych ulegała zwiększeniu, oraz by gospodarka w zakresie eksploatacji zasobów naturalnych była bardziej racjonalna. Rząd ograniczył swe ingerencje do roli arbitra oraz obrońcy interesów konsumenta.

Równocześnie rząd popierał organizowanie się świata pracy. W ramach N.I.R.A. robotnicy uzyskali prawo organizowania się w szersze, ogólnonarodowe związki pracy, a nie tylko, jak to miało miejsce poprzednio do rozbudowy swych związków, w obrębie jednego przedsiębiorstwa (*Company Unions*), oraz prawo zawierania umów zbiorowych. Rząd nosił się z zamiarem wprowadzenia ustawy o minimum płac. W całości, Administracja zmierzała wówczas do stworzenia zorganizowanej gospodarki narodowej, działającej za pośrednictwem związków zawodowych, organizacji robotniczych, związków farmerów i kooperatyw rolnych i innych organizacji, obejmujących zarówno producentów jak i konsumentów. Nie miała to być ani faszystowska reglamentacja prywatnej wytwórczości, ani jej nacjonalizacja, jaką wprowadził ustrój komunistyczny, lecz miał to być system najbardziej zbliżony do szeroko pojętego kooperatywizmu, z zachowaniem podstaw demokracji politycznej oraz jej rozbudowa w kierunku demokracji społecznej. Plan ten rzucony został z dużym rozmachem, w nastroju entuzjazmu mas, oraz przy poparciu sfer przemysłowo-finansowych, obawiających się powrotu deflacji i wszystkich jej złych skutków.

Plan ten zakończył się niepowodzeniem, i ostatecznie w 1935 r. skasowany został przez Najwyższy Trybunał. Jako przyczyny jego niepowodzenia podawane bywają najczęściej: brak doświadczenia kraju w zakresie planowania gospodarczego, egoizm tych sfer przemysłowych, które wykorzystując swe nowe uprawnienia i kryjąc się przepisami i ustawami podnosiły ceny i zapewniały sobie osobiste korzyści, z całkowitym pominięciem szerszych wskazań społecznych planu, brak należytego przywództwa i organizacji świata pracy, oraz brak doświadczenia mało jeszcze wówczas wyrobionej administracji.

O ile jednakże New Deal w pierwszym okresie swej działalności, ograniczał się do reform połowicznych i był kompromisem ze starym porządkiem rzeczy, jego charakter ulega zasadniczej zmianie po r. 1935. To też za właściwy New Deal należałoby dopiero uważać reformy i politykę Administracji w drugim okresie. Dopiero po r. 1935, gdy połowiczne środki nie dały rezultatu, na pierwszy plan wysuwa się zagadnienie pełnego zatru-

dnienia, co łączy się z pewnymi usiłowaniami Administracji, zerwania z dotychczasową polityką autarkii gospodarczej i zwrotem w kierunku internacjonalizmu. New Deal przestaje być jedynie pomocniczym instrumentem zasilania prywatnej przedsiębiorczości, lecz staje się coraz bardziej autonomiczną polityką gospodarczą — coraz bardziej wyraźnym i trwałym środkiem stabilizacji społecznej i poprawy. Zmianie tej towarzyszy ogromne zwiększenie się kontroli władz centralnych, oraz coraz silniejszy konflikt ze sferami prywatno-kapitalistycznymi, który potęguje się w miarę postępującej socjalizacji, ku ktorej Administracja coraz wyraźniej obecnie zdąża.

W kilku słowach jedynie wspomnę o zagadnieniu bezrobocia, gdyż są to problemy na ogół znane. Stan bezrobocia, który w okresie dobrej koniunktury przed 1929 r. wahał się w granicach 2 milionów, osiągnął z końcem 1932 r. kolosalną liczbę 12-15 milionów, to znaczy 1/4-1/3 czynnie zatrudnionych pozostawała bez pracy. W r. 1940 wynosił on jeszcze 9 milionów, dopiero niedawno zagadnienie to zostało całkowicie rozwiązane w ramach gospodarki wojennej.

Zagadnienie to administracja rooseveltowska usiłowała rozwiązać na płaszczyźnie szerszej aniżeli tylko akcja reliefowa, do jakiej niemal wyłącznie ograniczył się prez. Hoover, w pierwszych okresach przesilenia. W pierwszych latach wysiłki rządu w tym kierunku szły po linii planowania gospodarczego, wielkich inwestycyj publicznych, oraz reform w zakresie gospodarki przemysłowej i rolnej, o jakiej przed chwilą była mowa. Dopiero w późniejszym okresie, po r. 1935, gdy cyfra bezrobocia nie ujawniała tendencji zniżkowej, rząd podjął szerszą inicjatywę w tym kierunku, przede wszystkim na drodze uruchomienia robót publicznych, finansowanych przy pomocy wydatków państwowych. Prace te, prowadzone w ramach takich instytucji, jak *the Works Project Administration*, *The Civilian Conservation Corps* i innych, objęły szereg dziedzin użyteczności publicznej, takich jak budowę i konserwację dróg, mostów i tam; prace wodne i elektryfikacyjne, budowę gmachów publicznych, regulację ulic, urządzenia zdrowotne, sanatoria, lotniska; specjalny ich dział objął urządzenia rekreacyjne, drogi i ścieżki turystyczne, parki, boiska, tereny narciarskie, teatry, domy ludowe itp. Czerwono-biało-niebieskie tabliczki, oznaczające pracę w ramach W.P.A. znane były powszechnie na terenie całego kraju. Liczba zatrudnionych w tej formie wahała się zależnie od koniunktury gospodarczej, osiągając najwyższy punkt — 3.271.000 z końcem r. 1938. Instytucja ta zniesiona została dopiero z końcem 1942 r., gdy uznano, iż pełne zatrudnienie w związku z wysiłkiem wojennym czyni akcję państwa w tym zakresie nieaktualną.

Wspomnieć należy o stronie moralnej tego rodzaju akcji. Jedną z pozytywnych zdobyczy New Deal'u było zdjęcie piętna moralnego człowieka, który bynajmniej nie z własnej winy, lecz na skutek czynników od niego niezależnych, pozbawiony został pracy i w systemie amerykańskim niemal wykluczony ze społeczeństwa. Człowieka takiego dawna doktryna równych szans dla wszystkich, całkowicie dyskwalifikowała i zgodnie z zasadami darwinizmu, skazywała na zagładę. Była ona może słuszna, a może nawet społecznie wskazana, w epoce gdy szanse były naprawdę równe i indywidualizm był wielkim motorem społecznym; obecnie jednak stawała się ona całkowitym przeżytkiem i wymagała rozszerzenia oraz wzbogacenia nowymi treściami i nową zasadą bezpieczeństwa społecznego. Administracja rooseveltowska zdawała sobie również w pełni sprawę z trudnego zagadnienia, jakim stawała się demoralizacja robotnika, w jaką mógł popaść, znajdując się stale na publicznym utrzymaniu. Argument ten zresztą wysuwały stale sfery nastawione opozycyjnie do New Deal'u, wśród których podnosiły się coraz częstsze głosy, iż taka polityka nie tylko demoralizuje pracownika, lecz także sprzeciwia się tradycjom amerykań-

skiej wolności. Pracy, a nie zasiłku, domagał się bezrobotny. To też wszelkie wysiłki Administracji roosveltowskiej szły w tym kierunku, starano mu się otworzyć drogę do nowych szans skierowania go do pracy pożytecznej, którąby przywróciła i zachowała jego integralność moralną i pozwoliła mu spędzić z pożytkiem dla siebie i innych czas, zanim nie nastąpi poprawa i nie otworzy się miejsce w prywatnym przedsiębiorstwie.

Szczególne starania roztoczono w tym zakresie na odcinku młodzieżowym, gdzie tego rodzaju akcji nadano jeszcze szerszy zasięg, łącząc ją z możliwościami kształcenia się. Celowi temu służyła instytucja *Civilian Conservation Corps*, w obrębie której młodzież nie tylko znajdowała pracę, za którą otrzymywała minimalne wynagrodzenie $30 miesięcznie, ale również otrzymywała fachowe wykształcenie, przygotowujące ją do objęcia stanowiska w społeczeństwie, gdy tylko na to pozwoli lepsza koniunktura. W ten sposób około 300.000 młodych ludzi rocznie otrzymywało wykształcenie na koszt państwa; w całości około 2 milionów osób przewinęło się przez tę instytucję.

Inną formą podsycania życia gospodarczego, oraz zatrudniania były prace i projekty, zmierzające do rozszerzenia podstaw użytkowania publicznego, oraz udostępnienia masom ich zdobyczy. Należą tu takie prace i inwestycje, jak budowanie dróg, regulacja rzek, irrygacja, budowa zakładów wodnych i eksploatacjia naturalnych źródeł energii. Sama *Rural Electrification Administration*, na przykład, zaopatrywała w elektryczność 300.000 farm. Klasycznym przykładem jednakże takich prac na szerszą skalę jest wspomniany już Zarząd Doliny Rzeki Tennessee, obejmujący szereg prac inwestycyjnych, celem wszechstronnego rozwinięcia tego gospodarczo zacofanego rejonu, obejmującego siedem stanów. Zabezpieczenie przed powodziami, nawigacja rzeczna, rozbudowa zasobów hydroelektrycznych łączyły się tu z programem konserwacji rolnej, rozwojem przemysłu, rzemiosła i spółdzielczości, z akcją budownictwa, oświatową, oraz szeregiem innych prac, mających na celu wszechstronne podniesienie dobrobytu materialnego ludności.

Rząd wreszcie przychodził z bezpośrednią pomocą niektórym gałęziom przemysłowym, udzielając im kredytów i gwarancji, *The Finance Reconstruction Corporation*, na przykład udzieliła ponad 10 miliardów kredytu w latach 1933-1939, finansując przemysł budowlany, prace elektryfikacyjne, budowę okrętów, przemysł lotniczy i inne. Zasadą rządu jednakże było, iż inicjatywa prywatna zachowuje pierszeństwo nad inicjatywą publiczną. Rząd zatem nie tylko nie usiłował przejmować odnośnych branż, lecz co więcej starał się rozciągnąć inwestycje publiczne na takie działy produkcji, które nie stanowiły konkurencji dla przedsiębiorstw prywatnych, lecz których przedsiębiorczość prywatna nie była w stanie, przy dzisiejszych wymogach objąć, lub na takie gigantyczne instytucje użyteczności publicznej, które charakterem swym przypominały formy gospodarki socjalistycznej. Pomimo tego jednakże akcja ta spotykała się z bardzo silnymi protestami ze strony kół przemysłowych, z którymi rząd idący wyraźnie po linii interesu i potrzeb mas, popadał w coraz to silniejszy konflikt.

Z chwilą poprawy gospodarczej odzyskującemu siły i ufność w siebie wielkiemu przemysłowi, coraz bardziej ciąży jarzmo interwencjonizmu rządowego, które sam sobie nałożył w chwili, gdy go potrzebował. Pojawiają się coraz częstsze krytyki pod adresem rządu, jego polityki inflacyjnej, nadużywania kredytów publicznych, głosy wskazujące na niebezpieczeństwo chronicznie nie zbalansowanego budżetu, oraz na stały wzrost długu państwowego. Rząd jednakże nie jest w stanie wstrzymać tej akcji zasilania życia publicznego i kredytów publicznych. Jej chwilowe wycofanie w chwili pomyślniejszej koniunktury gospodarczej i doprowadzenie do równowagi budżetowej w r. 1937, przejawia się tak gwałtownym wzrostem bezrobocia, iż Administracja zmuszona jest podjąć tę akcję na nowo

w zwiększonym zakresie w r. 1938. Coraz silniej utrwala się przekonanie, wśród mas, iż system gospodarczy oparty na wolnym przedsiębiorstwie starego typu, nie jest w stanie wywiązać się ze swych zadań. Coraz pełniejsze prawo obywatelskie zdobywa pogląd, iż ingerencja władz w życie gospodarcze, ilekroć tego zachodzi potrzeba, jest jednym z naturalnych zadań rządu. Warty zanotowania jest cały ten nowy światopogląd, oraz silnie utrwalające się wśród mas ich nowe ustosunkowanie się do rządu, jakiemu dały one pełny, demokratyczny wyraz, w wyborach do drugiej i trzeciej kadencji prezydenckiej Roosevelta.

Wielkie znaczenie posiadały również wprowadzone przez New Deal reformy w zakresie opieki i ubezpieczeń społecznych, objęte ustawą *Social Security Act* z r. 1935 i później znacznie rozszerzone w 1939 r. Obejmowały one takie dziedziny, jak ubezpieczenie przed bezrobociem, ubezpieczenie na starość, opiekę nad matką i dzieckiem, ochronę małoletnich, pomoc państwową dla niezdolnych do pracy itp. W znacznej mierze wyrównały one zaległości Ameryki w tej dziedzinie i zrównały ją z szeregiem państw europejskich, posiadających o wiele dawniejsze tradycje w tym zakresie. Na marginesie tej ustawy rozpoczęto również szeroką akcję obrony małego człowieka przed arbitralnością bogactwa i potęgi gospodarczej, która obejmowała m.in. akcję oddłużeniową, oraz udzielanie drobnego kredytu, celem ochrony mienia szerokich mas, obrony przed wywłaszczeniem domów robotniczych, farm itp. Łączyła się z tym cała wielka akcja propagandowa i wychowawcza, prowadzona za pomocą prasy, książek i broszur, tłumaczących obywatelowi sens i znaczenie zmian społecznych jakie się dokonują, oraz w tym związku nowe cele i zadania, pojawiające się przed rządem.

* * *

Zagadnienia rolne stanowiły jeden z ważniejszych odcinków polityki New Deal'u. Kryzys gospodarczy, który wystąpił tu niezwykle silnie, powodując całkowity upadek rolnictwa amerykańskiego, posiadał jednakże inny charakter, aniżeli w przemyśle. Od szeregu lat bowiem działały tu procesy i gromadziły się siły, które nadawały przesileniu rolniczemu charakter o wiele bardziej trwały i strukturalny. Kryzys wydobył je na powierzchnię i doprowadził do stanu nasilenia, jakie równało się zupełnej katastrofie rolnictwa amerykańskiego.

Problemy rolnictwa amerykańskiego otaczane były szczególną troską prezydenta, którego działalność w tym zakresie datowała się jeszcze z czasów sprawowania urzędu Gubernatora Nowego Yorku. Na długo przed kryzysem, problemy te były przedmiotem gruntownych studiów, szeregu amerykańskich ekonomistów rolnych, z których szereg później znalazło się w najbliższym otoczeniu prezydenta, jak M. L. Wilson, George Peek, Rexford Tugwell, oraz przede wszystkim, obecny wice-prezydent Henry Wallace. Farmerzy zresztą stanowili być może element ideowo najbliższy, trochę zawieszonej w powietrzu grupie inteligencji, jaką była Administracja, w którym znajdowała ona przychylny oddźwięk dla wielu swych reform i inowacji społecznych.

O ogromie kryzysu w rolnictwie amerykańskim świadczyć może fakt, iż na skutek katastrofalnego spadku cen artykułów rolnych i nadwyżek, jakich w ogóle nie można było sprzedać, dochód społeczny farmerów szacowany w r. 1929 na $12 miliardów, spadł w r. 1930 przeszło o połowę— do 5 1/2 miliardów, co wobec wzrastających ciężarów podatkowych, mnożących się bankructw i wywłaszczeń stanowiło całkowitą katastrofę dla rolnictwa amerykańskiego. W okresie największego nasilenia około 5 milionów rolników zmuszonych było do korzystania z pomocy publicznej w tej, czy innej formie.

Akcja pomocy dla rolnictwa w pierwszej początkowej fazie, objęta była wspomnianym już *Agricultural Adjustment Act*, który na drodze restrykcji

produkcji dążył do podniesienia i stabilizacji cen i w ten sposób usiłował odbudować siłę nabywczą oraz zwiększyć dochód społeczny farmerów- Plan ten, wchodzący w skład szerszej akcji rekonstrukcji pierwszego okresu, kierował się zatem podobnymi motywami i tendencjami co planowanie w innych gałęziach produkcji. W odniesieniu do akcji w ramach *N.I.R.A.* plan rolny dał o wiele lepsze rezultaty. Studia przygotowawcze, poruszanie się na znajomym terenie, mniejszy opór czynników zainteresowanych — aczkolwiek i na tym odcinku akcji Administracji przeciwstawiał się Najwyższy Trybunał, oraz interesy wielkiego przemysłu i finansiery — oraz większa współpraca zainteresowanych farmerów — wpłynęły na jego powodzenie.

Podobnie jak i na innych odcinkach życia gospodarczego akcja Administracji w późniejszym okresie nie ma ściśle ustalonych wytycznych, aczkolwiek obejmuje ona szeroki zakres działania. Obejmuje ona przede wszystkim szeroko zakrojoną akcję oddłużenia rolnictwa, któremu rząd udziela dużych kredytów celem emancypacji spod władzy kapitału — niemal połowa gospodarzy rolnych była dzierżawcami, co skłaniało niektórych autorów do określania tego stanu jako ,,stała pańszczyzna" (*The permananet serfdom*). Rząd rozpoczyna szeroko zakrojoną akcję stabilizacji cen i ochrony ich przed fluktuacjami zewnętrznymi przez budowę elewatorów i gromadzenie zapasów. W ramach operującej dużymi kredytami *Rural Resettlement Administration*, rząd rozpoczął akcję przesiedlania z terenów dotkniętych erozją, bardziej racjonalnego użytkowania ziemi oraz budownictwa wiejskiego i planowania wzorowych osiedli. Rząd począł przejmować nadwyżki produktów rolnych, które rozdzielał w ramach akcji reliefowej, lub za pośrednictwem pomysłowych bonów żywnościowych, mających na celu, obok zamierzeń natury czysto gospodarczej również i cele społeczne. Bardziej racjonalny rozdział artykułów żywnościowych, docierających obecnie do rodzin klas o najniższych dochodach, pozwolił nie tylko na usunięcie nadwyżek, lecz przyczynił się do poprawy stanu zdrowotnego ludności, wśród której, jak okazały badania, olbrzymi procent był nienależycie dokarmiany. Powiązanie zagadnień gospodarczych z problemami medycyny społecznej, zwłaszcza w zakresie należytego odżywiania, weszło w ten sposób w skład akcji społecznej New Deal'u, stając się jednym z najbardziej charakterystycznych punktów tego kierunku społecznego.

W ramach New Deal'u wreszcie pojawiła się nowa i interesująca filozofia społeczna, znajdująca swój wyraz głównie w pismach N. W. Wilsona, szukająca nowych podstaw dla rozwoju narodowego w oparciu o naukowo postawione rolnictwo. W oparciu o ziemię i pracę na niej, szukała ona rozwiązania przeciwko szkodliwym przerostom industrializmu, oraz domagała się przebudowy podstaw życia domowego i rodzinnego. Wspomnieć należy jedynie o usilnej akcji rządu w kierunku rozbudowy organizacji rolnych i kooperatyw wiejskich, w których rząd znalazł chętnego i wydajnego partnera w zakresie swej akcji pomocy dla rolnictwa i przebudowy życia wiejskiego.

Niezmiernie charakterystycznym dla nowych tendencji, jakie wnosił New Deal w życie amerykańskie, była akcja Administracji w zakresie bardziej racjonalnych metod *eksploatacji dóbr naturalnych* oraz wysiłków w kierunku ich *konserwacji.* W tym zakresie wysiłki Administracji rooseveltowskiej odcinają się wyraźnie od dawniejszych metod. Wolna konkurencja i prywatna eksploatacja, kierując się przede wszystkim motywem zysku, prowadziła do wręcz rabunkowej eksploatacji, zarówno w zakresie użytkowania ziemi, czy eksploatacji lasów, czy też bogactw mineralnych. W latach kryzysowych około 1/6 terenów uprawnych w Stanach Zjednoczonych nie nadawało się w gruncie rzeczy dla celów rolniczych na skutek kompletnego wyjałowienia ziemi, wywołanego zaniedbaniami w nawożeniu i

pielęgnacji roli, czy zbytnią komercjalizacją rolnictwa, oraz jednostronną uprawą roślin przemysłowych, jak np. bawełny. Podobnie dzikim był wyrąb lasów, w skali powodującej poważne trudności w nawadnianiu i nawet zaburzenia w opadach. Rezultatami było tak dalekie wyniszczenie drzewostanu, iż kraj tak bogaty w ten surowiec, zmuszony był sprowadzać go z zagranicy. W zaniedbaniu znajdowała się gospodarka wodna oraz wyzyskanie energii wodnej dla celów przemysłowych. Podobnie wręcz rabunkowa była gospodarka w zakresie wydobycia węgla i ropy naftowej.

Nie wszystkie te zaległości potrafiła, rzecz prosta, usunąć Administracja rooseveltowska, nie mniej wnosi ona ustosunkowanie się do bogactw naturalnych zupełnie nowe. Jej akcja w tym kierunku obejmuje zarówno bezpośrednie przejmowanie przez władze centralne eksploatacji, jak też i roztaczanie kontroli nad zasobami, znajdującymi się w posiadaniu prywatnym. Największe rezultaty osiągnięto w rolnictwie, gdzie akcja rządu objęła reklamację, zalesianie, rozwijanie łąk i pastwisk, oraz melioracje terenów nawiedzonych erozją. Z działalnością tą łączy się rozwijanie terenów gospodarczo zapóźnionych i ich zasobów, ujęte w ramy wielkich projektów regionalnych, o których już poprzednio wspomniano.

Większość tych prac i projektów, to jednakże zamierzenia na dłuższą metę, wymagające szeregu planów i studiów przygotowawczych. Nauka coraz bardziej zaczyna wkraczać w dziedzinę praktycznej polityki, co staje się rysem charakterystycznym New Deal'u. W otoczeniu prezydenta znajduje się stale grupa ekonomistów, współpraca pomiędzy nauką uniwersytecką a New Deal'em jest bardzo ożywiona, ośrodkiem zaś dla badań o charakterze bardziej bezpośrednim, staje się powołany przez prezydenta w r. 1933 *National Resources Planning Board*, stanowiący zarazem centralę dla wielkiej liczby biur naukowych i instytutów badawczych, działających na terenie St. Zjedn. Ta działalność badawcza łączy się z akcją propagandową, prowadzoną bardzo żywo na tym odcinku, zdążającą z jednej strony do wychowania obywatela w nowym duchu, z drugiej zaś stanowiącą skuteczny środek, za pomocą którego Administracja jest w stanie przeciwstawić społeczny punkt widzenia poglądom grup zainteresowanych, broniących swego stanu posiadania i przywileju społecznego i co więcej, stałe przeprowadzanie reformy wbrew sprzeciwom i oporowi tych grup.

Cała ta akcja rządu powoduje rzecz prosta, wzmocnienie władzy centralnej oraz powolną przebudowę całej struktury administracji kraju. Pomiędzy prezydentem a poszczególnymi departamentami, wyrastać zaczyna cała sieć nowych agend administracyjnych, delegowanych do specjalnych zadań. W ten sposób powoli i na drodze ewolucyjnej, poczyna przeobrażać się cała struktura administracyjna państwa, czyniąc to bez żadnych raptownych zmian, oraz w ramach istniejącej Konstytucji. Łącznie z tym dokonują się istotne i pożądane zmiany w charakterze personelu administracyjnego. Dawny typ urzędnika amerykańskiego, biurokraty o małym stopniu wykształcenia fachowego i na ogół małej przedsiębiorczości (gdyż najlepszy element odpływał poprzednio do, o wiele bardziej popłatnego, businessu), ustępuje coraz bardziej nowemu człowiekowi. Do Waszyngtonu napływać zaczyna obecnie najlepszy element z czołowych uniwersytetów amerykańskich, element doskonale wykształcony i bardzo często nie pozbawiony ideologicznego zacięcia, stwarzając po raz pierwszy bodajże w dziejach Ameryki, kadry doskonale wyszkolonej fachowej administracji. Coraz częściej zwłaszcza od czasu wojny, zdarza się również iż napływa do niej również i wybitny przemysłowiec, który całe swe doświadczenie fachowe i zdolności organizacyjne, nabyte w prywatnym przedsiębiorstwie, składa na rzecz dobra ogółu. I na tym odcinku New Deal wprowadził zasadnicze zmiany.

* * *

Spróbujmy obecnie zebrać pokrótce rezultaty naszej analizy oraz wyciągnąć parę wniosków stąd wypływających.

1. New Deal był ruchem społecznym, jaki wyrósł z podłoża naturalnego, zmian gospodarczych i przeobrażeń duchowych, spowodowanym w Ameryce kryzysem. Zarówno w swych aspektach gospodarczych, jak i społecznych, tkwi on głęboko w podstawach historycznych. New Deal nie był zerwaniem z historią i tradycją, lecz jej wyraźną kontynuacją.

2. New Deal aczkolwiek wniósł nowe rewolucyjne treści światopoglądowe, nie był rewolucją w sensie radykalnych zmian w układzie klasowym. Struktura klasowa społeczeństwa amerykańskiego wraz z jej nierównościami społecznymi i koncentracją bogactwa pozostała, aczkolwiek New Deal poczynił tu znaczne wyrwy, przygotowując grunt pod dalsze zmiany.

3. New Deal nie posiadał żadnej określonej doktryny społecznej, którą stosował jako program dla swej akcji. Wyrastał on z życia i jego potrzeb, był raczej praktyką społeczną aniżeli teorią, czy programem.

4. Jako taki, New Deal nie daje się łatwo nagiąć do istniejących doktryn gospodarczych i ideologii politycznych. Łączy on szereg elementów kapitalizmu z socjalizmem, nie będąc żadnym z nich wyłącznie.

New Deal, zachowujący własność prywatną, jest przeciwstawieniem się kapitalizmowi, zarówno wolno konkurencyjnym, implikującym automatyczny powrót do równowagi rynkowej, czy praktyk prywatno-monopolistycznych. Ale New Deal nie jest również socjalizmem, w sensie pełnego użytkowania publicznie władanych zasobów produkcyjnych, celem zaspokojenia potrzeb całego społeczeństwa, aczkolwiek prowadził on do co raz szerszej socjalizacji wielu odcinków życia społecznego.

New Deal'izm—na płaszczyźnie politycznej—wyraźnie odcina się zarówno w środkach jak i celach od znanych dziś powszechnie doktryn politycznych. Niema potrzeby rozwijania tego punktu.

5. Czy zatem New Deal można wogóle uważać za jakąś doktrynę społeczną, czy był to jedynie splot przypadkowych działań o charakterze oportunistycznym, jak to się czasami określa, ,,kapitalizmu w naprawie". Wydaje mi się, że tak. ,,New Deal" jest autonomiczną doktryną, teorią akcji społecznej. Jest on ciągle jeszcze w stadium krystalizowania się, niemniej daje się tu już zauważyć szereg określonych cech.

Będąc teorią akcji społecznej, nie jest on jedynie interwencjonizmem, jedynie doktryną gospodarczą, lecz także par excellence społeczną, implikującą nierozerwalny splot tych dwóch momentów.

New Deal należy uważać za ruch dążący do stworzenia nowych podstaw społeczno-gospodarczych demokracji. U jego podstaw leży przeświadczenie, iż współczesne państwo obowiązane jest stworzyć dla obywateli pewne minimum warunków dobrobytu materialnego i zabezpieczenia społecznego.

* * *

Wyraźnie wyodrębniają się środki, przy pomocy których państwo usiłuje osiągnąć te cele, jakie stwarzają potrzeby naszego stulecia. Są nimi:

a) Polityka gospodarcza, implikująca zwiększoną ingerencję państwa w życie gospodarcze narodu, w szczególności za pośrednictwem robót publicznych, stwarzających bardziej harmonijny stosunek pomiędzy konsumpcją, oszczędnością, inwestycjami i stopą procentową, zbliżającą praktykę New Deal'u do teorii Lorda Keaynes'a.

b) polityka społeczna, której charakterystyczną cechą jest coraz dalej sięgająca ingerencja państwa w zakresie bezpieczeństwa społecznego (ochrona pracy, ubezpieczenia, zabezpieczenie na starość, organizacje i kooperatyzm), oraz dziedziny, którąby można nazwać dziedziną ,,konsumpcji społecznej" (odżywianie, hygiena i zdrowie, pomieszczenie i oświata).

Charakterystycznym momentem jest ścisły związek, jaki zachodzi pomiędzy środkami gospodarczymi, a społecznymi, nie tylko w zakresie zwiększania spożycia, lecz również podstaw planowania (stabilizacja konsumpcji i wydatków — czego przykładem jest rozdział mleka dla dzieci szkolnych). Doktryna ta, na ogół ograniczała się do polityki wewnętrzno-państwowej, nie stając się dotychczas podstawą regulowania stosunków międzynarodowych.

Jej naturalnym rozwojem jest rozszerzenie podstaw w drodze wyjścia z terenu wewnętrzno-państwowego, na szerszą arenę międzynarodową. Tendencje w tym kierunku obserwujemy wyraźnie w postaci planów rekonstrukcji powojennej, jakie wysuwają koła amerykańskie, a jakie znane są nam z „czterech wolności" Karty Atlantyckiej, prez. Roosevelta oraz szeregu enuncjacji Administracji. Zawarty w nich program—pracy dla wszystkich, pełniejszego wyzyskania ludzkich i materialnych zasobów, New Deal'u dla świata, czy Rewolucji przemysłowej w skali globalnej itp., nie jest niczym innym, jak tylko rozszerzeniem i próbą przeniesienia na teren międzynarodowy programu, zastosowanego na terenie amerykańskim.

Oxford, w marcu 1943.

DOMINIK SZCZERBIC

WIEDZA A ANGIELSKA POLITYKA ŻYWNOŚCIOWA

I.

Demokracją nie są ani puste słowa, ani rewolucje. Napuszone frazesy: „homes fit for heroes" — grały jeszcze podczas ubiegłej wojny. Dziś nikt się na to w Anglii nie da nabrać. Każda obietnica bez podkładu czynu spotyka się ze stanowczą odprawą. Z drugiej strony Anglik z usposobienia nie uznaje gwałtownych przemian. Całkiem prozaicznie — nie po Mickiewiczowsku — zrozumiał, że „gwałt się gwałtem odciska" a rewolucja prowadzi tylko do jeszcze większego ucisku. Więc po prostu na kupiecki sposób — „krakowskim targiem" — wywalcza sobie postęp na przekór reakcji okopanej tutaj potężnie za szańcem partii konserwatywnej. Nie jest to efektowne, nie ma błyskotliwości i polotu, nie ma fantazji zawadiackiej. Jednym słowem: nie przemawia do . . . Polaków. Ale też nie mają te reformy przemawiać do Polaków. W przeciwieństwie do faszyzmu, angielski typ demokracji *naprawdę* nie jest artykułem eksportowym.

Nie będziemy nigdy Anglikami. Co najwyżej obnosić będziemy „prawdziwie angielską elegancję z Kocmyrzowa" po rozmaitych strattońskich ghettach. Ale choć nie można żywcem przenosić angielskich sposobów — ściśle związanych z angielskim usposobieniem — na glebę polską, tym niemniej mają te reformy i dla nas swoją naukę.

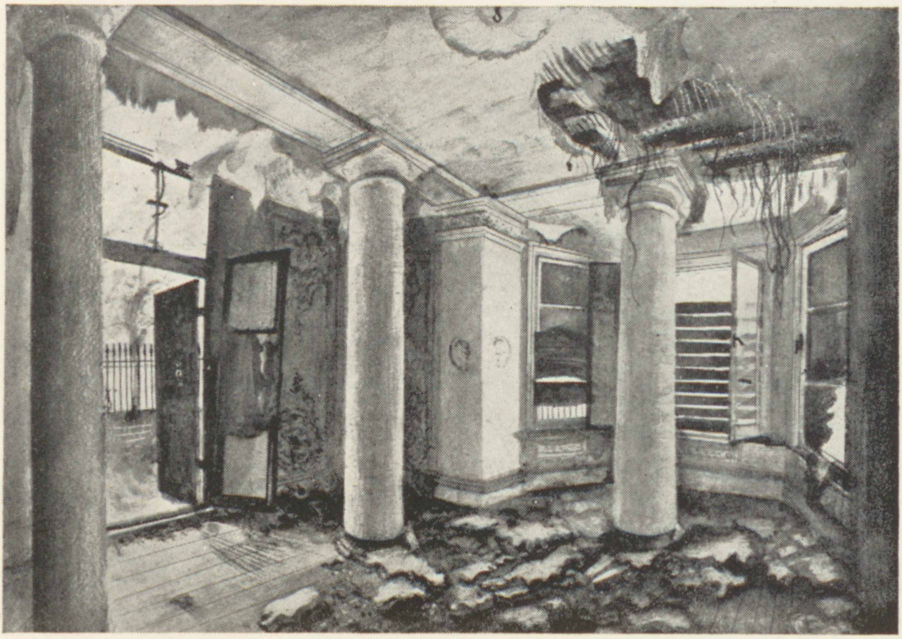
Na naszych oczach dokonał się niemal niespostrzeżenie olbrzymi przewrót. Jedna z tych reform angielskich efektywnych, choć nie efektownych. Łączy się ten przewrót z tak czcigodną i nierewolucyjną postacią, jak Lord Woolton, ale jak każdy przewrót ma długą historię i kulisy znacznie głębsze i często znacznie mniej „respectable".

U źródła tego przewrotu leży niebywały postęp badań naukowych, chemii organicznej i biologicznej oraz rozwój nauk społecznych.

Człowiek współczesny nie jest laikiem w bardzo wielu sprawach, które dotąd były wyłączną dziedziną specjalistów. Zasób ogólnych wiadomości, jakie w najrozmaitszych sprawach posiadamy, jest olbrzymi nawet, jeśli się



Janina Konarska „Klementyna“



Janina Konarska Wojna w salonie



Janina Konarska Park Crescent



Tadeusz Potworowski — Wnętrze z odaliską



Tadeusz Potworowski — Zabawa ludowa pod Sztokholmem

go porówna z tym, co wiedzieli inteligentni ludzie niedawniej jak 20 lat temu. Gazety, czasopisma, radio, reklama handlowa, kino i inne środki współczesnej propagandy uświadamiają nas w bardzo wielu sprawach, choć trzeba dodać, nie zawsze w sposób ścisły i rzetelny. Ponieważ jednak pewien mój przyjaciel — rodak rzecz jasna — uważa, że można być inteligentnym a nie wiedzieć co to jest chemia organiczna lub radioaktywność, ale nie można być inteligentnym jeśli się nie wie, jaka jest różnica pomiędzy Krasińskim a Krasickim i ponieważ bardzo mi zależy na tym, aby ów mój przyjaciel zrozumiał ten artykuł — więc postaram się na wstępie dać podkład chemiczno-biologiczny tym moim, raczej społecznym, rozważaniom.

Gdy mimo odkryć Pasteura i postępu hygieny — aseptyki i antyseptyki — ludzkie cierpienia się nie zmniejszyły w sposób widoczny, zauważono że istnieje jakiś ścisły związek pomiędzy nędzą a chorobą. Poczęto tę sprawę badać i stwierdzono, że błąd polega na tym, że ubogich ludzi nie stać na odpowiednie odżywianie się — a złe odżywianie stoi w bezpośrednim związku z najrozmaitszymi chorobami i dolegliwościami. Nasuwa się pytanie, co to jest odpowiednie pożywienie?

Człowiek potrzebuje pożywienia, aby wytworzyć energię i aby wytworzyć ciało. Początkowo sądzono, że dla zaspokojenia tych potrzeb wystarczają trzy podstawowe produkty: węglowodany, tłuszcze i proteiny. Są to przeważnie bardzo skomplikowane związki organiczne, które w organiźmie bądź to spalają się (utleniają), — dając ciału energię cieplną, która przemienia się w ruchy ciała, — bądź to poprzez zawiłe reakcje chemiczne przetwarzają się na te produkty, które są potrzebne dla budowy ciała. Jest to t.zw. metabolizm. (Katabolizm=proces rozkładu na prostsze związki, anabolizm=synteza bardziej złożonych związków).

Węglowodany, czyli cukry, są to związki zawierające węgiel (C), wodór (H) i tlen (O). Najprostszy z nich to glukoza, bardziej skomplikowanym węglowodanem jest cukier buraczany, czy trzcinowy, jeszcze bardziej skomplikowanym jest krochmal, czy mąka. Węglowodany są głównie źródłem energii, służą jednak także do budowy ciała. Są np. konieczne przy anaboliźmie tłuszczów.

Tłuszcze składają się także z węgla, wodoru i tlenu. Spożywamy dwa rodzaje tłuszczów: zwierzęce i roślinne. Ich wartość odżywcza jest duża i służą one zarówno do wytwarzania energii, jak i do wytwarzania ciała. Oba rodzaje tłuszczów są równowartościowe, jednak tłuszcze zwierzęce zawierają często witaminy A i D, o czym jeszcze pomówimy.

Proteiny stanowią największą część tkanki mięsnej. Składają się one jak węglowodany i tłuszcze: z węgla, wodoru i tlenu, jednak oprócz tego, w skład ich budowy wchodzi azot (N), siarka (S) i fosfor (P). Są to związki organiczne jeszcze bardzo mało znane, o wysokiej wadze molekularnej, dochodzącej do 70.000 i więcej. Proteiny rozłamują się w organiźmie na amino-kwasy (katabolizm). Te proste stosunkowo ciała przenikają do krwi, są rozprowadzane po ciele i w odpowiednich miejscach dokonuje się powrotna synteza (anabolizm) tych amino-kwasów na proteiny mięśni itp. Są dwa rodzaje protein: zwierzęce t.zw. pierwszorzędne i roślinne t.zw. drugorzędne. Proteiny pierwszorzędne lepiej i łatwiej „przemieniają się w ciało“, jednak dla pełnej i zdrowej diety człowiek koniecznie potrzebuje obu. Proteiny posiadają również poważną wartość cieplną.

Przez jakiś czas sądzono, że dostarczając organizmowi pewne ilości węglowodanów, tłuszczów i protein umożliwi się człowiekowi normalny rozwój. Tak jednak nie jest, choć powyższe związki stanowią ponad 95% naszego ciała. Inne składniki są potrzebne do życia — może do zawiłego metabolizmu — proteina może do innych metabolizmów. A więc przede wszystkim trzeba organizmowi rozmaitych składników mineralnych: głównie sodu, chloru, wapnia, fosforu, żelaza i jodu, ale także magnezu, siarki, miedzi, manganezu, kobaltu i cynku. Następnie rozmaitych organi-

cznych związków t.zw. hormonów i enzymów, przeważnie wytwarzanych przez organizm i wreszcie witamin.

O witaminach słyszy się tyle bałamutnych rzeczy i są one dziś tak ważnym czynnikiem w każdej polityce żywnościowej, że nie odbiegniemy od tematu jeśli je nieco obszerniej omówimy.

Nazwą witaminy oznacza się cały szereg organicznych związków chemicznych posiadających swe wzory chemiczne tak samo ściśle określone, jak np. sól (NaCl), choć bardziej skomplikowane. Choć od dość dawna podejrzewało się ich istnienie, znane są stosunkowo krótko. Zainteresuje może fakt, że nazwę ,,witaminy" wymyślił Polak dr. Funk, pracujący w Londynie w 1913 r. Dziś cały szereg witamin nie tylko najdokładniej znamy, ale umiemy je robić na skalę fabryczną, wiele jednak witamin pozostaje wciąż jeszcze nieznanych. Określa się witaminy popularnie literami A, B, C, D i t.d. Określenie to pochodzi jeszcze z czasów, gdy znano już działanie witamin, ale nie znano samych substancji.

Witamina A — często jest t.zw. prowitaminą zwaną carotene, która dopiero w organiźmie ludzkim przetwarza się na witaminę. Znajduje się tę witaminę wzgl. prowitaminę, w tranach rybich, we wątrobie cielęcej, w maśle, w serze, w szpinaku, żółtku, pomidorach, świeżym mleku i t.d.

Witamina B jest właściwie zbiorem całego szeregu witamin nazwanych B_1, B_2, B_3 i t.d. Najważniejsza z nich—to witamina B_1 zwana aneurin—znajduje się głównie w drożdżach i w pewnych częściach ziarna zbożowego (w kiełku). Riboflavina znajdująca się w serwatce, w wątrobie, drożdżach i t.d., kwas nikotynowy, pyridoxyna, stanowią inne witaminy z serii B.

Witamina C t.zw. ascorbic acid znajduje się głównie w cytrynach, pomarańczach, grape-fruit'ach, w czarnych porzeczkach, kapuście, brukselce, kalafiorze i t.d.

Witamina D istnieje jako prowitaminy D_2 — ergosterol i D_3 — dehydrocholesterol, które pod wpływem promieni ultrafioletowych przetwarzają się na witaminy. Witaminę D znajduje się głównie w tranach rybich w maśle, w mleku, w tłuszczu baranim, w śledziach, sardynkach, łososiach i t.d. Wytwarza się ona także w organiźmie ludzkim (w skórze) pod wpływem słońca, lampy kwarcowej i innych źródeł promieni ultrafioletowych.

Jaka jest dokładnie chemia, czy mechanizm działania witamin, nie wiemy. Wiemy natomiast, że brak ich powoduje bardzo groźne choroby a niedobór cały szereg dolegliwości, które powodują niedorozwój organizmu, czy poszczególnych jego części.

Brak witaminy A — na szczęście bardzo rzadki — powoduje choroby oczu, ślepotę nocną itp. Choroby te zanikają, jeśli się spożywa produkty zawierające witaminę A. Znaną jest rzeczą, że piloci nocni R.A.F. zażywają regularnie odpowiednie dawki tej witaminy.

Brak witaminy B powoduje groźną chorobę zwaną Beri-Beri, która grasuje pośród ubogich ludów, żywiących się głównie ryżem łuszczonym. Niedobór powoduje migreny. Zastrzykami witaminy B_1 leczono w Ameryce delirium tremens. Rozmaite idiosynkrazje, nerwowość i t.d. przypisuje się również niedoborowi witaminy B_1. Ciekawą rzeczą jest, że im więcej się je, — zwłaszcza węglowodanów — tym więcej trzeba witaminy B_1. Brak riboflaviny powoduje katarakty oczne u szczurów. Brak kwasu nikotynowego powoduje straszną chorobę zwaną pellagra, która jest bardzo powszechna w krajach, których ludność żywi się kukurydzą.

Brak witaminy C powoduje — a raczej powodował szkorbut, tę klęskę wszystkich wypraw żeglarskich dawnych czasów. Niedobór, nawet drobny, jest szkodliwy dla zdrowia. Powoduje nieodporność na przeziębienia i inne choroby zakaźne, krwawienie nosa i t.d.

Brak witaminy D powoduje rachityzm u dzieci a choroby kości u dorosłych.

Badania witamin, jak cała zresztą chemia biologiczna, nie postawiły jeszcze kropki nad i. Każdy niemal dzień przynosi nowe przyczynki do tej nauki, której rewolucyjny postęp porównać można z odkryciami Pasteura, Marii Curie i Carnota. Myśl ludzka raz jeszcze zatryumfowała nad materią i tylko dziw bierze, że człowiek, który stworzył epos chemii organicznej i cuda mechaniki, nie umiał i nie umie nadal zastosować swych odkryć dla swego własnego dobra w sposób godny ludzkiego rozumu i Boskiej woli.

II

Gdy te badania chemii biologicznej poczęły nabierać kształtu, zainteresowała się nimi socjologia. Zrazu naiwnie — po Verne'owsku, mówiono o diecie proszkowej, o stosowaniu niekompletnych doświadczeń w jakiś utopijny, bliżej nieokreślony, sposób. W miarę narastania wiedzy poczęto jednak wysuwać bardziej uchwytne projekty. Obliczono więc przede wszystkim minimum ludzkich potrzeb. Tyle a tyle kalorii, tyle a tyle protein, węglowodanów, wapnia, witamin i t.d. potrzeba człowiekowi, aby wyżył. Inni, bardziej ludzcy i bardziej szczodrobliwi, obliczyli optimum ludzkich potrzeb t.zn. tyle a tyle kalorii, protein, witamin i t.d. potrzeba człowiekowi dla najzdrowszego i pełnego życia. Już nie „aby wyżyć", ale dla „najzdrowszego" życia. Bardzo pięknie i bardzo wzruszająco. Tylko, że . . . nikt jakoś nie zatroszczył się przez długie, długie lata, aby to minimum — nie mówiąc już wcale o optimum — komukolwiek zapewnić. Słowa bywały, jak zwykle, szczodrobliwe, ale czyny. . .

I wówczas uczeni chemicy i biologowie raz jeszcze udowodnili, że sucha nauka bywa bardziej ludzka, niż trzeźwi realiści zwani socjologami. W Ameryce dokonano następującego doświadczenia. Przez parę lat hodowano pewną ilość myszy na optymalnej diecie. Odhodowano szereg pokoleń tych myszy. Odznaczały się one dużym zdrowiem i żywością, rozmnażały się obficie i łatwo i dożywały sędziwego, jak na myszy, wieku. I wówczas — po paru latach — polepszono najmłodszej generacji tych myszy ich „optymalną" dietę, przez dodanie zieleniny, wątroby i mleka. I oto te doskonałe okazy mysie jeszcze poprawiły swoją rasę. Przeciętna ich waga wzrosła, żyły dłużej, rzucały więcej młodych, choroby zakaźne były rzadsze. Okazało się, że można było poprawić „optymalną" dietę. Nie jest to, rzecz jasna, dowodem, że tak samo musi być u ludzi, niemniej jednak otwiera zawrotne perspektywy.

W roku 1937 wyszła w Anglii książka Sir John Boyd Orr'a p.t. Food, Health and Income (MacMillan & Co., Ltd., 1937). Książka ta — stosunkowo suchy zbiór statystyk i wykresów — wywołała swego rodzaju rewolucję pojęć. Hipokryzja angielska jest dziwna, jak dziwnym jest dla nas wszystko, z czym się na tej wyspie spotykamy. Zamyka ona oczy na krzywdę Irlandii, czy Indii a rozpala ludzkie namiętności w sprawie „Catering Bill'u". U nas bywało odwrotnie. Protestowano przeciw Berezie, a nie zauważono, że „Grypa szaleje w Naprawie". Jesteśmy czuli aż do przewrażliwienia na sprawy polityczne — a jesteśmy ślepi (czyżby brak jakiejś witaminy A?) na sprawy społeczne, które dostrzegamy tylko wtedy, jeśli zahaczają o politykę. Anglicy nie gorączkują się zbytnio polityką — może dlatego, że są mistrzami w tej grze — ale głęboko i poważnie interesują się sprawami społecznymi. Walka klasowa jest tu walką społeczną a nie rozgrywką polityczną i to po obu stronach barykady. Nic więc dziwnego, że książka Sir John Boyd Orr'a tak głośnym odezwała się echem.

Przeprowadził on badania nad związkiem jaki zachodzi pomiędzy dochodem jednostki, jej pożywieniem i jej zdrowiem. Podzielił ludność Anglii na 6 grup zależnie od dochodu.

Grupa	Tygodniowy dochód na głowę	Przypuszczalne wydatki na jedzenie	Ilość ludzi w grupie	
			Ilość	Procent
I	Do 10 sh	4 sh	4.500.000	10
II	10-15 „	6 „	9.000.000	20
III	15-20 „	8 „	9.000.000	20
IV	20-30 „	10 „	9.000.000	20
V	30-45 „	12 „	9.000.000	20
VI	Ponad 45 „	14 „	4.500.000	10

Podział ten z grubsza odpowiada rzeczywistości. Na podstawie analizy 1.152 budżetów rodzinnych, oraz na podstawie innych bardzo przekonywujących danych statystycznych, stwierdził, że tylko 50% ludności Anglii posiada dostateczny dochód, aby zapewnić sobie optymalną dietę t.j. taką, jaka zdaniem naukowców jest potrzebna do zdrowego i pełnego życia. A zatem 50% ludności Wielkiej Brytanii — najbogatszego kraju na świecie — nie miało w 1937 r. wystarczającego dochodu, aby się normalnie i zdrowo odżywiać. Zaś 10% ludności nie stać było nawet na zapewnienie sobie minimalnej diety. Następująca tabela bardziej szczegółowo określi wynik badań Sir John Boyd Orr'a. Jest to ogólne zestawienie spożycia wyżej wymienionych zasadniczych produktów żywnościowych—w owych sześciu grupach ludności.

	Grupa 1	Grupa 2	Grupa 3	Grupa 4	Grupa 5	Grupa 6	Przeciętne zapotrzebowanie jednostki
	gr.	gr.	gr.	gr.	gr.	gr.	gr.
Proteiny:							
roślinne ..	40,9	43,5	44,0	43,8	42,8	40,5	—
zwierzęce ..	22,5	32,5	39,6	45,6	51,6	57,8	—
Razem ..	63,4	76,0	83,6	89,4	94,4	98,3	68,0
Tłuszcze:							
roślinne ..	20,9	17,9	14,5	13,3	12,2	11,1	—
zwierzęce ..	50,7	80,9	95,1	107,3	118,3	130,4	—
Razem ..	71,6	98,8	109,6	120,6	130,5	141,5	98,0
Węglowodany: ..	348	381	395	403	406	396	—
Składniki mineralne:							
Wapień ..	0,37	0,52	0,61	0,71	0,83	0,95	0,6 — 0,9
Fosfor ..	0,81	1,04	1,17	1,28	1,42	1,54	1,23
Żelazo ..	0,008	0,0099	0,011	0,012	0,0127	0,0137	0,0115
Witaminy:							
(jednostki Shermana)							
A ..	1.548	2.500	3.248	4.030	4.420	5.750	3.800
C ..	57	78	90	108	126	158	95
(jednostki międzynarod.)							
A ..	774	1.250	1.624	2.015	2.210	2.875	1.900
C ..	837	1.134	1.314	1.577	1.832	2.323	1.400
Kalorie: ..	2.317	2.768	2.962	3.119	3.249	3.326	2.810

Z powyższego zestawienia wynika, że grupie 1 brak wszystkich składników koniecznych dla pełnego zdrowia. Grupa 2 ma dostateczną ilość protein i tłuszczów a brak reszty. Tak samo grupa 3. Te trzy grupy stanowią 50% ludności wysp brytyjskich. Jak źle muszą wyglądać te sprawy w innych, uboższych i mniej kulturalnych krajach.

Inne tablice statystyczne pokazują fakty bardziej szczegółowe. Spożycie chleba i ziemniaków jest stosunkowo jednolite we wszystkich grupach. Spożycie mleka, masła, jaj, owoców, jarzyn, mięsa i ryb wzrasta z dochodem, a różnice są nieraz przerażające. Statystyki Sir John Orr'a nabierają jednak specjalnie ponurego wyrazu, jeśli się je przymierzy do dzieci. Brak witamin

i składników mineralnych w wieku dziecięcym i młodzieńczym waży ciężko na normalnym rozwoju i na późniejszym zdrowiu człowieka dojrzałego.

Słynny przegląd socjologiczny dokonany w mieście York (B. Seebohm Rowntree: Poverty and Progress. A Second Social Survey of York. Ed. Longmans, Green & Co., 1941) stawia ten problem jeszcze wyraźniej. Przegląd ten, dokonany bez żadnego związku z pracami Sir John Orr'a, wykazuje, że choć w okresie badanym klasa robotnicza miasta York wykazywała przeciętnie 31,1% ludzi żyjących w nędzy (według standartów minimalnych), to odsetek ten badany pod kątem widzenia wieku przedstawiał się następująco:

Z osobników poniżej roku życia	.. ..	52,5% żyło w nędzy
„ „ od 1—4 „ „	.. ..	49,7% „ „ „
„ „ „ 5—14 „ „	.. ..	39,1% „ „ „
„ „ „ 15—24 „ „	.. ..	23,7% „ „ „
„ „ „ 25—44 „ „	.. ..	28,8% „ „ „
„ „ „ 45—64 „ „	.. ..	20,7% „ „ „
„ „ powyżej 65 lat „	.. ..	47,5% „ „ „

Zestawienie p. Seebohm Rowntree opiera się na minimalnym zapotrzebowaniu t.j. jak wyjaśniliśmy poprzednio na takim, które wystarcza dla życia, choć nie dla zdrowia. W świetle statystyk Sir John Orr'a procent dzieci które nie mają optymalnej diety — t.j. wystarczającej dla zdrowia — byłby o wiele wyższy, niż owych 50% które Sir John Orr obliczył, jako przeciętną ludności wysp brytyjskich. Cyfry te są tym smutniejsze, że niewystarczająca dieta w młodości odbija się na zdrowiu i życiu dorosłego człowieka. Stwierdzono np., na podstawie badań zakrojonych na bardzo szeroką skalę (badano 66.000 dzieci), że dzieci 13 letnie należące do grup zarobkowych 3-6, są przeciętnie o 2,4 incha wyższe, niż dzieci 13 letnie grup 1-4. Odnośnie innych skutków wadliwej diety jak np. rachityzmu, ilości chorób zakaźnych, złych zębów itp. nie ma przekonywujących statystyk, jednak ogólne obserwacje pozwalają przypuszczać, że i w tych wypadkach nędza — a więc także niedostateczna dieta — ujemnie wpływa na zdrowie.

Rzecz jasna, że z powyższych stwierdzeń nie wynika, iż za wszystko ponosi winę złe odżywianie się. Nędza ludzka to nie tylko brak jedzenia. To także nieodpowiednie mieszkanie, niedostateczna odzież, depresja psychiczna i t.d., — wszystko sprawy, które wpływają na zdrowie i szczęście człowieka.

Złe odżywianie się nie jest również *wyłącznie* wynikiem nędzy. Są i inne powody. A więc przede wszystkim przyzwyczajenie. Człowiek jest bardzo konserwatywny, jeśli chodzi o jedzenie i zwyczaje zakorzenione od pokoleń, nie łatwo się dają wytrzebić. Weźmy dla przykładu przesąd który sprawia, że Anglicy uważają, iż żyto nie nadaje się do spożycia ludzkiego, albo przesąd, który istniał w niektórych warstwach społeczeństwa polskiego przeciw spożywaniu baraniny, albo cały szereg zakazów religijnych u żydów, czy muzułmanów. Najważniejszym z tych przyzwyczajeń to nadmiar spożycia wysokogatunkowych przetworów zbożowych. Obliczono, że w Stanach Zjednoczonych spożywa się 25% kalorii w postaci białej mąki. Dalszych 20% konsumuje się jako cukier (110 funtów cukru na głowę rocznie). Jeśli dodać do tego drobniejsze — choć wciąż jeszcze pokaźne ilości kukurydzianki, ryżu, żelatyny, tapioki itp., okaże się, że 50% spożycia stanowią w Stanach Zjednoczonych produkty niemal zupełnie pozbawione witamin i składników mineralnych.

Inny powód złego odżywiania się związany jest ze skomercjalizowaniem przemysłu artykułów spożywczych. Klasycznym przykładem jest znowu sprawa chleba. Zboże, jak wiadomo, zawiera za wyjątkiem witamin C i

D, niemal wszystkie składniki konieczne dla zdrowia. Znajdują się one jednak wyłącznie w kiełku ziarna, który współczesna maszyneria młynarska, wyrabiająca 73 procentową mąkę — odrzuca. Nie wchodząc w zbyt odległe od naszego tematu powody tego procesu przemysłowego, musimy stwierdzić, że wpłynął on w dużej mierze na przyzwyczajenia ludzkie. Fakt, że—zwłaszcza na Zachodzie—dostarczano ludności od lat tylko białą mąkę, sprawił, że ludzie przyzwyczaili się do białego chleba, który w świetle współczesnych badań okazał się niewystarczającym i w pewnym sensie szkodliwym artykułem spożywczym.

Sprawa, która wpływa na sposób odżywiania się, to także reklama, której wyrafinowane metody tak zręcznie kierują poczynaniami współczesnego człowieka. Reklama nie była zresztą tylko ujemnym czynnikiem. Jej twórcza rola w „rewolucji" Lorda Wooltona rehabilituje poniekąd jej grzechy.

Choć badania naukowe rozświetliły mrok wstydliwie otaczający nędzę ludzką i jej groźny wpływ na przyszłość Wielkiej Brytanii, zadanie jakie czeka reformatora, czy rewolucjonistę, nie jest ani łatwe, ani proste. Opinia publiczna Anglii podjęła tę sprawę w sposób imponująco rzeczowy i trzeźwy. Przed wojną jeszcze starano się zaradzić złu. (Najnowsze badania Sir John Orr'a wykazały spadek odsetka niedożywionych z 50% w 1937 r. na 33% w 1939 r. O ile to jednak było wynikiem akcji społecznej a o ile wynikiem ogólnej poprawy koniunktury, trudno osądzić.) Z reform żywnościowych dokonanych przed wojną należy wspomnieć dwie: 1) jodynizację soli w Stanach Zjednoczonych i niektórych krajach europejskich 2) wzmocnienie mleka w Stanach Zjednoczonych przez dodanie 400 jednostek międzynarodowych witaminy D na „quart".

Badania Sir John Boyd Orr'a niewątpliwie leżą u podstaw wielu przemian społecznych, jakie się od wybuchu wojny w Anglii dokonały. Jak pies puszczony na trop zwierzyny, sumienie Brytyjczyków nie zawróciło z raz obranej drogi. Najnowszym etapem tego ruchu jest Raport Beveridge'a.

III

Prof. J. C. Drummond, D.Sc., F.I.C., jest profesorem biochemii na uniwersytecie londyńskim. Obecnie jest również doradcą naukowym Lorda Wooltona: „*Scientific Adviser*, *Ministry of Food*", jak brzmi jego oficjalny tytuł. Prof. Drummond wygłosił w październiku u.r. 3 odczyty w *Royal Institute of Public Health and Hygiene* p.t. „*Problems of War-time Nutrition*". Po raz pierwszy autorytatywnie przed najpoważniejszym gronem ekspertów z całego Imperium, Anglia określiła cele, zakres i wyniki swej wojennej polityki żywnościowej. Jest ona zasadnicza, daleko idąca i wybiegająca poza ramy doraźnej wojennej potrzeby. I choć — podkreślam to raz jeszcze — nie można wyciągać żadnych wniosków, któreby dały się zastosować w Polsce, niemniej ważne jest, abyśmy te sprawy poznali. Aby użyć porównania z biologii: doświadczenia robione na zwierzętach także nie są dowodem,że wyniki można zastosować u człowieka.

W pierwszym rzędzie z odczytu prof. Drummond'a wynika jasno, że za poczynaniami Ministry of Food stał dokładnie przemyślany i przestudiowany plan. Anglia podczas ubiegłej wojny o włos ominęła katastrofę i z tej nauki gruntownie skorzystała. Jakiekolwiek niedociągnięcia wyszły na jaw w przygotowaniu obecnej wojny — nie było między nimi poważnych niedociągnięć na froncie żywnościowym. Nie wolno przy tym zapomnieć, że Anglia nie liczyła się prawdopodobnie z okupacją Danii a nawet Holandii, a na pewno nie liczyła się z zajęciem Francji, które to państwa w budżecie żywnościowym wysp brytyjskich grały bardzo poważną rolę.

W chwili wybuchu wojny miała Anglia olbrzymie zapasy zboża i tłuszczów — a więc tych produktów, które zapewniają człowiekowi większą

część potrzebnych mu kalorii. Miała także wypracowany do najdrobniejszych szczegółów system racjonowania. A że autorem tego systemu był Sir William Beveridge więc możemy wierzyć, że plan był gruntowny. Ale to nie wszystko. Ludzie, którzy planowali politykę żywnościową Anglii, z całą świadomością wykorzystali odkrycia chemii biologicznej i rewolucyjne stwierdzenia Sir John Orr'a. „Ze studiów (Orra i innych) wynikało jasno, że trafne jest powiedzenie René Sanda, że" zdrowie można kupić". Ponieważ dzieci są głównym powodem ubóstwa — im większa rodzina tym większy był stopień niedożywienia. Środki żywnościowe, zawierające składniki najważniejsze dla zdrowia, są najdroższe. Każdy przegląd dowodził tego samego: (I to nie tylko w Anglii, ale także w każdym europejskim państwie, w którym przeprowadzono podobne badania) — ubogie rodziny nie spożywały dostatecznej ilości pierwszorzędnych protein, wapnia, żelaza i całego szeregu witamin. Innymi słowy: mleko, jaja, mięso, owoce i niektóre jarzyny były zbyt drogie, aby ci ludzie mogli je kupować w odpowiednich ilościach" (Prof. Drummond).

Jeśli ludzi nie stać na odpowiednie pożywienie, albo jeśli nie umieją, czy nie chcą zeń korzystać — i jeśli z drugiej strony już nie tylko ze względów społecznych, czy humanitarnych, ale po prostu z konieczności wojennej należy utrzymać naród na tej wyżynie zdrowia i tężyzny, która jest konieczna do prowadzenia i wygrania wojny — należy ludziom dać to wszystko czego im potrzeba. Common-sense. To prawda, ale jak wiele przesądów, czy interesów stoi w rażącej sprzeczności z tym „common-sensem". Bądźmy sprawiedliwi i sportowo przyznajmy Anglikom punkt za dobrą grę.

Anglia jest krajem przemysłowym. Większą część swych produktów rolnych i żywnościowych importowała. Wojna zmusiła ją do reaktywowania rolnictwa. „Produkcja krajowa w tej wojnie wymagała nie tylko troskliwego planowania z punktu widzenia spożywczego, ale także dużej zręczności w utrzymaniu zdrowej, rolniczej równowagi. Równowagi pomiędzy mlekiem i mięsem, między pastwiskami a uprawą, między zbożem, burakami i ziemniakami a rozmaitymi gatunkami jarzyn". Prof. Drummond przytoczył pouczający przykład. W roku 1941 Anglia dosłownie „zalana była marchwią". Ministry of Food rozwinęło dużą akcję reklamową, aby nakłonić ludność do jedzenia tej marchwi i wielu sądziło, że propaganda jest wynikiem tego nadmiaru i że jest koniunkturalna. Tak nie było. Zarówno nadmiar marchwi jak i propaganda były „according to plan". Marchew jest najtańszym i najtrwalszym źródłem witaminy — a raczej prowitaminy A — carotenu. Witamina A leczy ślepotę nocną. Sapienti sat.

Nie tylko witamina A jest ważną podczas wojny. Inne witaminy też są konieczne w zwiększonych ilościach jeśli się uwzględni wzmożone natężenie pracy we fabrykach, biurach, wojsku i t.d. Ministry of Food miało dwie drogi wyjścia, aby temu zaradzić. Albo wzmóc produkcję i konsumpcję artykułów rolnych zawierających witaminy, albo wzmocnić niektóre artykuły spożywcze przez dodanie sztucznych witamin. Zdecydowano się na pierwszą ewentualność, z dwu powodów: 1) Choć postęp, jaki się dokonał w tej dziedzinie wiedzy jest olbrzymi, choć znamy dziś najdokładniej ponad 18 witamin a ponad 12 umiemy wytwarzać na skalę przemysłową, to jednak niektórzy wciąż jeszcze sądzą, że wiedza nasza nie jest kompletna.

2) „Nie chcieliśmy wpoić w ludzi myśli, że należy zażywać codziennie proszek, czy pigułkę, aby być zdrowym" (Prof. Drummond). To było bardzo ludzkie i bardzo mądre podejście. Punkt drugi za dobrą grę.

Trzeba było jednak nauczyć ludzi co i jak mają jeść. Znamy wszyscy wysiłek propagandowy Ministry of Food. Nie obarczał on umysłu „człowieka z ulicy" ciężką naukową terminologią i mimo to — a może

dzięki temu — wywołała ta akcja propagandowa olbrzymi przewrót w sposobie odżywiania się przeciętnego Anglika. Obaliła cały szereg przesądów. Nauczyła wiele nowych i rozsądnych sposobów. Jest to nie tylko wojenna korzyść. Jest to poważne osiągnięcie wychowawcze.

Poważnym problemem witaminowym była kwestia owoców. Import owoców — których Anglia nie produkuje w wystarczających ilościach — wymaga dużego tonażu, z drugiej strony brak witaminy C jest niesłychanie groźny. Jednak Anglia tym razem nie była tak bezbronna niewiedzą, jak podczas ubiegłej wojny. Dziś wiemy, że duże ilości witamy C znajdują się w owocach i jarzynach krajowych: w czarnych porzeczkach, brukselce, kalafiorze, kapuście, szpinaku, water-cress i t.d., a braki — zwłaszcza u dzieci — zaspokojono importem skoncentrowanych soków owocowych i syntetyczną witaminą C.

Kwestię witaminy B rozwiązano, mimo oporu interesów prywatnych młynarstwa, przez wprowadzenie t.zw. „national loaves", t.j. chleba z mąki 85% mielonej specjalnym kanadyjskim sposobem, który rzekomo eliminując kiełek, nie niszczy jego elementów wartościowych. Do mąki tej dodaje się węglan wapnia w stosunku 7 uncji na 280 funtów. Jest to wynikiem bardzo inteligentnej i bardzo postępowej myśli naukowej, ale wytłumaczenie przerasta, niestety, ramy zakrojone dla tego artykułu. I ta innowacja pozostanie na stałe, gdyż bardzo wielu ludzi przyzwyczai się do 85% chleba.

„Powiedziano mądrze, że wprowadzenie ograniczeń spożycia podczas wojny nie jest koniecznie dowodem słabości gospodarki narodowej albo jej ubóstwa. Możnaby dodać, że skuteczne przeprowadzenie tych ograniczeń świadczy o gospodarczej sile narodu", powiedział prof. Drummond w swym odczycie. I choć Anglicy nie grzeszą na ogół skromnością w uznawaniu własnych zalet, tym razem jest to jeszcze „under-statement". Skuteczne przeprowadzenie „rationing'u" świadczy nie tylko o sile gospodarczej narodu, ale i o jego mądrości i inteligencji. Ogólne zasady angielskiego „rationing'u" są znane każdemu z codziennego doświadczenia, nie zawsze jednak znamy wytłumaczenie pewnych zarządzeń. Np. sprawa mleka! Przed wojną ludność uboższa konsumowała znacznie mniej mleka na głowę, niż warstwy bogatsze. Dziś mimo „rationing'u" mleka spożywa się w Anglii 35% więcej mleka świeżego, niż w 1939 r. Jest to tylko częściowo wynikiem tego, że zlikwidowanie bezrobocia udostępniło mleko wszystkim. Jest inny powód. Dostarcza się obecnie mleko za darmo, albo za zniżoną opłatą, dzieciom do lat 5 i matkom karmiącym. Daje się dzieciom w szkołach mleko na śniadanie. Daje się mleko robotnikom pracującym w pewnych działach przemysłu. Ci wszyscy „potrzebujący" dostają swoje zwiększone racje zawsze — zimą i latem — a za to inni bywają ograniczani.

Brak jaj, które jedyne bodaj z naszych normalnych środków żywnościowych zawierają witaminę D w pokaźniejszych ilościach, został wyrównany przez dodanie witaminy D do margaryny. Wprawdzie nie jest to powodem rationing'u, ale było powodem do ustalenia pewnej sztywnej proporcji pomiędzy racjami masła i margaryny.

Inny cel ma — ten tak zwłaszcza Polaków zastanawiający — fakt, że mimo rationing'u można wszędzie bez ograniczeń jadać w restauracjach. Nie wszyscy wiedzą jednak, że ta „wolność kuponowa" nie jest ograniczona do wytwornych lokali West-Endu. Każda większa fabryka ma swoją kantynę, która daje tanie (około 1 sh) i dobre obiady. Prócz tego istnieją setki t.zw. „Communal Feeding Centres", w których taki sam tani i dobry obiad każdy może dostać. Dzieci w szkołach także dostają swoje bezkuponowe obiady. Te „dodatkowe" obiady mają podwójny cel. 1) Mają umożliwić potrzebującym dodatkowe odżywianie się. 2) Kuchnie tych restauracji i kantyn są przeważnie pod ścisłą kontrolą Ministry of Food,

które baczy, aby obiady te zawierały wszystkie ważne i potrzebne składniki — zwłaszcza witaminy.

Wszystkie te innowacje, zmiany i badania wydają się niektórym nieważne dzisiaj, w czasie walki, która się toczy o życie. Wydaje się, że Goebelsowski slogan „nie trzeba nam masła, ale trzeba armat" nabiera jakiegoś specjalnego znaczenia. To prawda, że należy naprzód wygrać wojnę, ale cóż po wygranej, jeśli nie będzie dla kogo wygrywać pokoju. Cóż po wygranej, jeśli zdrowie młodzieży angielskiej zostanie bezpowrotnie zniszczone. I dlatego ta troska Anglików o witaminy, o wapień i żelazo. Anglicy nie są marzycielami. Ich reformy to nie planowanie nieosiągalnych celów i nierealnych zamierzeń, ale praktyczny plan Beveridge'a wyrażony w funtach, szylingach i pensach, ale „Catering Bill" Bevina, ale manipulacja „pointami" i racjami Lorda Wooltona.

ALEKSANDER PISKOR

W CIENIU „CZARNEGO SMOKA"

(*Rozdział z książki w języku angielskim pt. „First Alert in Tokyo".*)

"SANNO-JOI"*

Natura podobno jest niczym innym, jak pierwszym przyzwyczajeniem — i jeśli z tego punktu widzenia ktoś stara się scharakteryzować Japończyków, to musi dojść do przekonania, że podczas swej długiej historii i wielowiekowej izolacji nabyli oni nie tylko wiele specyficznych form życia codziennego, ale wdrożyli się także do pewnych stałych pojęć i zasad, o których nie mogą zapomnieć nawet w zmienionych warunkach. „Najazd" ludzi Zachodu na Japonię początkowo oburzył i wzburzył jej obywateli — i ówczesna japońska opinia publiczna, która składała się głównie z udzielnych baronów i klasy wojowników, stanowiąc nie więcej niż 15% ogółu ludności, wypowiedziała się początkowo za dalszą izolacją kraju. Hasło „sanno-joi", nakazujące: „lojalność w stosunku do cesarskiego dworu oraz wypędzenie cudzoziemców", rozeszło się po całym kraju i było głoszone przez wielu agitatorów. Ale dwór w swoich zapasach z szogunatem zdecydował się ostatecznie na współpracę z cudzoziemcami — i gdy pozycja jego ustaliła się, cesarz Meiji specjalnym dekretem polecił zmianę dotychczasowego nastawienia. Dyscyplinę japońskiego społeczeństwa można tylko podziwiać—prąd: „uczmy się od cudzoziemców, ponieważ oni są silni, i naprawmy n.sze braki", stał się wkrótce niemniej popularny niż poprzedni. W tej zmianie decydującym czynnikiem były nie osiągnięcia nauki Zachodu, ale jej konsekwencje, zapewniające narodom europejskim i amerykańskim taką siłę, wobec której Japończycy musieli się przyznać do własnej niemocy.

Estetyzującemu narodowi, żyjącemu u stóp pięknej góry Fuji, nie tyle zaimponowały „czarne okręty" ile ustawione na nich armaty. W 1862 roku niejaki Richardson, angielski obywatel, został bestialsko zamordowany przez samurajów pod Yokohamą — w odpowiedzi na co angielska flota zupełnie na serio zbombardowała Kagashimę na wyspie Kyushu, ponieważ zamachy na cudzoziemców nie ustawały, a ówczesny rząd japoński zwlekał z udzieleniem należytej satysfakcji. Od tej pory Japończycy zaczęli uwielbiać Wielką Brytanię i przez wyspy przeszła prawie fala zachwytu — jakie

* Pisownia nazw geograficznych, japońskich imion i wyrazów podana jest według ogólnie przyjętej transkrypcji angielskiej. W związku z tym „sanno-joi" wymawia się naturalnie „sanno-dżoi", Meiji — Meidżi, Choshu — Czoszu itp. Wyjątek jednak został uczyniony dla wyrazów, które są już „przyswojone" przez polską pisownię, jak np.: gejsza, szogun (nazwa dawnych dyktatorów Japonii), Szanghaj i inne.

silne, dzielne i stanowcze państwo, warto od niego chociażby się nauczyć, jak należy bombardować! W tym samym roku nierozumny przywódca klanu Choshu ustawił baterie na brzegu morskim i wpadł na — fatalny dla niego w skutkach — pomysł ostrzeliwania amerykańskich, francuskich, i holenderskich okrętów, które przepływały przez cieśninę Simonoseki. W odpowiedzi na to eskadry amerykańska i francuska zmusiły ogniem swych dział do milczenia lądowe baterie — i znów prestiż cudzoziemców poszedł w górę. Oczywiście ludzie biali po pewnym czasie doszli do przekonania, że działali zbyt pośpiesznie i zbyt gorączkowo — i następnie wstydzili się tych jedynych, brutalnych postąpień w stosunku do Japonii — ale w znacznej mierze właśnie dzięki temu Japończycy zaczęli ich cenić.

Restauracja Meiji nie była jedynie reformą polityczną, lecz także szeregiem zasadniczych zmian w strukturze społecznej oraz w życiu ekonomicznym kraju — i towarzyszyły jej zarówno zachwyty, jak i przekleństwa. Zwłaszcza warstwa wojowników w pewnej chwili ujrzała się zagrożona w swym stanie posiadania, ponieważ powstała i rosła nowa armia, rekrutowana na podstawie ogólnego poboru. Japońska nazwa „ronin" oznacza wojownika, który nie posiada ani jakiegoś określonego pana, ani jakiegoś stałego zajęcia — i wobec tego wędruje po kraju w poszukiwaniu przygód i zarobków. W nowych warunkach zycia namnożyło się bardzo dużo podobnych bezrobotnych samurajów — i wywoływali oni jeszcze jeden silny ferment w życiu narodu. Znaczna część ich zajmowała wrogie stanowisko w stosunku do dwóch głównych, popierających restaurację Meiji, klanów: Choshu, ktory w ciągu wielu lat dominował w armii, i Satsuma, który podobną rolę odgrywał w marynarce. Narastająca przeciwko tym klanom — z różnych powodów i z różnych stron — opozycia oczywiście deklarowała swą niezachwianą wiarę w boską osobę cesarza i jego niemniej boskie cnoty, podkreślała „nadprzyrodzone" wartości narodu Yamato, a zarazem — stosując zwykły chwyt demagogiczny — reklamowała swoją „miłość dla ludu" i przedstawiała siebie jako ostoję wszystkich nieszczęśliwych i pokrzywdzonych.

Mniej więcej wraz z proklamowaniem nowoczesnej konstytucji japońskiej w 1889 roku, reakcja w stosunku do wciąż zwiększających się cudzoziemskich wpływów zaczęła gwałtownie przybierać na sile. Po przeszło 20 latach postępowej restauracji państwa, odżyło nagle „sanno-joi", które znajdowało zupełnie jawnie coraz więcej zwolenników. Agitatorzy tego hasła bowiem musieli w swoim czasie zamilknąć,ale nie znaczy to, aby przestali istnieć. Cały ruch zeszedł jedynie w podziemia i stał się wyrazem narodowego szowinistycznego radykalizmu. Naturalnie jego nowa wersja nie była podobna całkowicie do dawnej — liczyła się ona z zaszłymi przemianami i podkreślając wrodzoną wyższość Japończyków nad innymi narodami tłumaczyła, że cudzoziemcy są niebezpieczni, a ich idee — zgubne, że naprawdę nie są oni tak bardzo silni i wobec tego nie należy ich stale szanować i podziwiać, i że przez nich Japonia musi znosić „upokorzenia" różnych niekorzystnych traktatów. Podobna reakcja przeciw prędkiej i forsownej europeizacji kraju była niewątpliwym objawem mocno zakorzenionego konserwatyzmu narodowego, którego żaden dekret nie mógł skasować — jedynie dzięki energii cesarza Meiji i jego doradców nie weszła ona od razu do japońskiego programu ekonomicznego i politycznego.

W tym odrodzeniu się i wzroście japońskiego szowinistycznego nacjonalizmu ogromny udział wzięły różne tajne, półtajne i jawne stowarzyszenia patriotyczne, które wprawdzie nigdy nie sprawowały bezpośredniej władzy państwowej, ale decydująco wpłynęły na wychowanie ostatnich pokoleń w kraju „wschodu słońca". Zapoczątkowane one zostały przeważnie przez roninów, skupiały następnie wszelkich malkontentów, wynajdowały jakieś frapujące hasła i gromadziły zwykle liczne rzesze dalszych zwolenników. W żadnym kraju i bodaj nigdy w historii nie odgrywały organizacje

tego rodzaju tak wielkiej i zasadniczej roli, jak w Japonii, a ich wpływ przetrwał — z pewnymi wahaniami — do dnia dzisiejszego. Zasady kierujące ich działalnością składały się z górnych haseł patriotycznych, swoistej interpretacji historii, reguł religijnych, przesady na temat „ducha" narodu i jego „misji", kultu cesarza, odblasków najprzeróżniejszych europejskich społecznych doktryn oraz teroryzmu i intryg. W tym ideowym konglomeracie często nie można nawet się zorientować — wystarczy pamiętać, że jego główną cechą był zawsze narodowy szowinizm i przesadny imperializm, chociaż niektóre stowarzyszenia — idąc za modą XIX wieku — z wielkim tupetem określały siebie jako „liberalne".

W bardzo krótkim czasie stowarzyszenia patriotyczne wzrosły, wzmocniły się, pozakładały swoje szkoły do kształcenia „prawdziwych" patriotów, niektóre zaś z nich odkryły, że za pomocą terorystycznych metod można zdziałać bardzo wiele. Zamachy na niewygodnych przeciwników politycznych spotkały się oczywiście z represjami ze strony policji, ale zarazem wzbudziły spory, ogólny zachwyt. Samopoświęcenie się ma niewiarogodny urok dla Japończyków, a ponieważ najczęściej zamachowcy mówili sami o sobie jako o największych patriotach i nie unikali konsekwencji swych czynów—wyrastali od razu do roli bohaterów. I w miarę upływających lat niektóre stowarzyszenia polityczne — dzięki tym i innym metodom — stały się prawdziwymi, mniej lub więcej zamaskowanymi potęgami politycznymi w życiu kraju.

Te wszystkie organizacje jednak nigdy nie były instytucjami stałymi — rozrzucone po całym kraju, posiadały one od kilkuset do kilkuset tysięcy, a nawet paru milionów członków, rozwijały się, zlewały się, rozłączały się, jedne znikały i powstawały inne. Ich szumne, mistyczne i wzniosłe nazwy były dobierane odpowiednio sugestywnie i zachęcająco dla szerszego ogółu. Warto wymienić chociażby najważniejsze i najbardziej typowe stowarzyszenia: „Ducha Wielkiej Japonii", „Cesarskiego Sztandaru", „Wspaniałej Cnoty", „Narodowych Zasad", „Wielkiego Zjednoczenia", „Obrony Cesarza", „Naprawy Administracji i Dyplomacji", „Narodowych Tradycji" — i przede wszystkim: „Czarnego Smoka". Podobnie możnaby cytować przez szereg stronic, ale ciekawsze od nazw są cele tych patriotycznych instytucji. Na liście celi bowiem w pewnych kombinacjach powtarzają się stale zwroty: imperializm, realizacja „ducha Japonii", przewodnictwo myśli, naprawa dyplomacji, wytępienie anty-japońskich prawicowych i lewicowych poglądów, odbudowa „moralnej Japonii", określenie narodowości, współpraca ras azjatyckich, zwalczanie europejskich idei, wykazanie oryginalności japońskiej rasy — i w wielu ujęciach po prostu: patriotyzm, będący naprawdę posuniętą do najdalszych granic gloryfikacją imperialistycznych marzeń roninów.

Jedna z tych patriotycznych organizacji, „Towarzystwo Czarnego Smoka", pozyskało największą sławę, która przeniknęła nawet za granicę tworząc całą serię zawrotnych, często zupełnie fantastycznych legend. Za tym towarzystwem bowiem i szeregiem innych stoi osobliwy człowiek, zupełnie słusznie uważany za największego apostoła „sanno-joi" oraz starego, tradycyjnego wojowniczego ducha Japonii. Idee jego tryumfują, szczególnie od czasu japońskiej okupacji Mandżurii, a zrealizowały się w znacznym stopniu wraz z japońskimi zwycięstwami na początku wojny na Pacyfiku. Nazywa się on oczywiście: Mitsuru Toyama.

LUDZIE Z FUKUOKI

Miasto nie jest ani ładne, ani interesujące: podobnych można znaleźć w Japonii setki. Miasta japońskie w ogóle nie wiele różnią się między sobą — największą atrakcją jest jedynie ich położenie. Samoloty pasażerskie, lecące z kontynentu azjatyckiego, lądują obecnie stale na wielkim lotnisku cywilnym koło Fukuoki na wyspie Kyushu. Na pasażerów

czekają tam zwykle reporterzy wielkich tokijskich dzienników oraz stale: policja, żandarmeria i straż celna. Za pokojowych czasów cudzoziemcy mogli z największą łatwością zwiedzić pobliskie miasto. Atrakcje jego przedstawiały się standartowo: japońskie hotele, tradycyjne gejsze i tradycyjna dzielnica rozkoszy — poza tym wiele podobnych domów i wiele podobnych ludzi. Ale nie wolno lekceważyć tego miasta — w Tokio i gdzie indziej można jeszcze stale usłyszeć, gdy jeden Japończyk mówił z szacunkiem o drugim: „on jest człowiekiem z Fukuoki". Wtajemniczeni wiedzą wtedy wszystko: mowa jest o kimś, kto na pewno zajmuje wyższe stanowisko państwowe lub gra główną rolę w jakimś patriotycznym stowarzyszeniu.

Jaka straszna rzecz: początek nowej epoki! Wraz z nastaniem restauracji Meiji, wyspa Kyushu szczególnie się zaroiła od bezrobotnych roninów, a ich centrum stało się spokojne dotychczas miasto Fukuoka. Wśród wspomnień „dawnych dobrych czasów", patriotycznej frazeologii i marzeń o wielkiej Japonii, zaczęły tam powstawać pierwsze patriotyczne organizacje i stamtąd niebawem zapromieniowała na cały kraj silna propaganda nacjonalistyczno-imperialistyczna. Zwłaszcza idee Shoin Yoshidy, którego przed kilku laty upadający szogunat skazał na karę śmierci, krzewiły się bujnie i zyskiwały licznych zwolenników. Autor tych idei był „postępowym Japończykiem", a głosząc konieczność skupienia całej władzy w rękach cesarza zalecał — w czasach, gdy państwo przechodziło wyraźny kryzys słabości — nawrót do planów Toyotomi Hideyoshi i powiększenie Japonii przez kraje sąsiednie, wśród których figurowały: Korea, część Mandżurii, Kamczatka, Formoza i Filipiny. Zorganizował on nawet coś w rodzaju szkoły, poniósł śmierć z powodu zatargu z szogunem — i z tego powodu stał się narodowym bohaterem.

Szczególny wpływ wywarł on na dwóch wielkich twórców nowoczesnej Japonii, ks. Hirogumi Ito i ks. Aritomo Yamagata, z których zwłaszcza pierwszy był jego najwierniejszym wielbicielem i uczniem. Inni, mniej znakomici uczniowie Shoin Yoshidy, dotarli z czasem również do wrzącej patriotycznie Fukuoki i zostali przychylnie wysłuchani przez tamtejszych rozpolitykowanych roninów. W kilkanaście lat po wstąpieniu na tron cesarza Meiji — ze zlania się paru mniejszych organizacji — powstała w tym mieście słynna i osławiona, z pewnością historyczna „Genyosha", która ze szczególną energią — obok propagandy „sanno-joi" i całego szeregu innych feudalnych doktryn, przystosowanych do nowych czasów — zaczęła nie tylko głosić, ale także realizować imperialistyczne idee niefortunnego bojownika w walce z szogunatem. Oficjalne cele stowarzyszenia brzmiały wcale dostojnie: „szanuj Dwór Cesarski", „kochaj Ojczyznę", „broń praw narodu"; metody zaś były o tyle oryginalne, o ile za oryginalną uznaje się akcję terorystyczną i wszelkiego rodzaju intrygi.

Bardzo wielu roninów staczało się coraz niżej i wraz z wykolejonymi członkami innych warstw społecznych, stworzyli oni ogromne bandy „soshi", czyli włóczęgów i awanturników, które stały się wielką plagą w życiu Japonii, w drugiej połowie zeszłego stulecia. Niebawem sprytni przewódcy polityczni spostrzegli, że ten element można wykorzystać tworząc z niego doskonałe bojówki, bardzo pożyteczne podczas różnych domowych nieporozumień, sporów i zabiegów o władzę. „Genyosha" poszła dalej — i bodaj jej przypada zaszczyt zapoczątkowania na większą skalę tego, co obecnie jest znane pod nazwą „*piątej kolumny*" i co uchodzi — zupełnie niesłusznie — za wynalazek faszystowsko-hitlerowski.

Japońska organizacja patriotyczna jednak była skromna, nie reklamowała wcale swoich pomysłów i metod, jedynie wysyłała do Korei coraz liczniejsze zastępy „turystów", rekrutujące się z odpowiednio pouczonych i dobranych awanturników, którzy niezwłocznie przystąpili do „pracy". W ciągu szeregu lat agenci „Genyoshy" i inni „soshi" rządzili się na pięknym

półwyspie bardziej, niż mogli to robić w swoim kraju, porozumiewali się i sprzymierzali z miejscowymi rewolucjonistami i wywrotowcami, i za pomocą wielu terorystycznych aktów doprowadzili państwo do stanu zupełnej dezorganizacji i największego chaosu. Ich dziełem np. było zamordowanie w 1895 roku królowej, dokonane przy wybitnym współudziale japońskiego posła, akredytownego przy koreańskim dworze, a następnie opanowanie pałacu królewskiego w Seulu i uwięzienie króla. Król wprawdzie zdołał po jakimś czasie uciec do rosyjskiego poselstwa, co stanowi osobliwy wyczyn niezależnego władcy w swym własnym państwie, ale losy Korei zostały rozstrzygnięte. W piętnaście lat po wojnie japońsko-chińskiej w 1894-95 roku, będącej w znacznej mierze również dziełem przedsiębiorczej japońskiej „*piątej kolumny*", kraj „spokojnego poranku" stał się nie tylko faktycznie, ale także oficjalnie częścią składową cesarstwa „wschodu słońca".

Założyciel i przewódca „Genyoshy", młody patriota i mieszkaniec Fukuoki, Mitsuru Toyama, wykazał we wszystkich przedsięwzięciach nie tylko hart ducha i ciała, ale także doskonały zmysł organizacyjny i zdolność tłumaczenia wzniosłych idei czynami dnia codziennego. Sprawy koreańskie nie były jego jedynym zajęciem, gdyż skomplikowane wewnętrzne życie polityczne Japonii nastręczało również wiele okazji do odpowiedniego działania, przy czym stosowanie na tym polu tych samych metod, które były używane w Korei, zapewniało wcale nienajgorsze rezultaty. Zwłaszcza sprawa należytego „wychowania" narodu stała się pilna — i w związku z tym „Genyosha" — już na początku swego istnienia — zorganizowała w Fukuoce słynne „seminarium patriotów". Uczelnia ta funkcjonowała świetnie — wyszedł z niej liczny zastęp ludzi, którzy z czasem zajęli wpływowe stanowiska w różnych dziedzinach japońskiego życia. Sama organizacja jednak — po zakończeniu wojny z Chinami — została w odpowiedniej chwili rozwiązana przez założyciela.

Centrum życia patriotycznego bowiem stało się — w miarę upływających lat — Tokio, i tam z likwidującej się „Genyoshy" powstało — pod protektoratem jej przewódcy — wiele podobnych i pokrewnych organizacji, wśród których, do roli jej najukochańszego dziecka, wyrosło „Kokuryu-kai", co dokładnie znaczy „Towarzystwo Czarnego Smoka". W ten sposób „ludzie z Fukuoki" osiedlili się na stałe w stolicy i poprowadzili dalej swą patriotyczną robotę. Nie byli osamotnieni—od dawna mieli w całym kraju bardzo licznych zwolenników i naśladowców.

TOWARZYSTWO CZARNEGO SMOKA

Nie należy lękać się tej nazwy. W dosłownym tłumaczeniu bowiem brzmi ona: „towarzystwo rzeki Amur", ponieważ Japończycy za Chińczykami, mianem czarnego smoka ochrzcili wielką rzekę na kontynencie azjatyckim, płynącą między Mandżurią a Syberią. Sama organizacja zaś nigdy nie była tajna, natomiast bardzo często jej pracę skrywał mrok tajemnicy, wstęp zaś do niej nie nastręczał żadnych trudności, jeśli kandydat należał do japońskiego lub jakiegokolwiek innego azjatyckiego narodu. Riohei Uchida, wierny uczeń i współpracownik Mitsuru Toyamy, założył ją na samym początku 1901 roku i od tej pory — jako jej prezes — bezpośrednio nią kierował, a sam kierowany był przez swego mistrza. Jakież cele przyświecały szanownemu towarzystwu rzeki Amur? Właściwie nic nowego: dziedzictwo po „Genyoshy" i silne domaganie się, aby Japonia rozpoczęła pochód na azjatycki kontynent. W wyobraźni założycieli bowiem, romantyczna rzeka Amur miała stanowić ideał granicy japońsko-rosyjskiej i dlatego jej imię weszło do nazwy organizacji. Gdy z czasem ten ideał przestał wystarczać, zwłaszcza po zwycięskiej wojnie z Rosją w 1905 r., „Czarny Smok" zaczął szeroko propagować hasła panazjatyckie, domagając się zjednoczenia narodów Azji pod japońskim przewodnictwem i całkowi-

tego usunięcia z tej części świata „białego niebezpieczeństwa“. Ta propaganda była również — w miarę możności — realizowana w czynach, i teroryzm, praktykowany w rozgrywkach politycznych, wytworzył towarzystwu fatalną opinię za granicą, a wspaniałą wewnątrz kraju. Mitsuru Toyama nigdy nie raczył być ani prezesem, ani członkiem „Czarnego Smoka“—swoim zwyczajem, nabytym po latach ogromnej praktyki, wołał stać formalnie na uboczu i spełniać rolę najwyższego patrona i protektora organizacji.

Karierę „Towarzystwa Czarnego Smoka“ należy uznać za fantastyczną. Organizacja ta zadebiutowała — w życiu japońskiego cesarstwa — według najlepszych tradycji „Genyoshy“, wkrótce zaś nie tylko całkowicie w nie weszła, ale także w dość znacznym stopniu je opanowała. Czym można to wytłumaczyć? Zdaje się jedynie tym, że jej dążenia i cele znajdowały coraz bardziej życzliwy oddźwięk wśród większości narodu. Ujemne opinie zagranicy o tym stowarzyszeniu uznawano przeto w Japonii za wybitnie krzywdzące. Jak można nie podziwiać ludzi, którzy tak ofiarnie pracują dla cesarza i narodu, i są tak silni, że mogą — w miarę potrzeby — zgładzać swych przeciwników: zdrajców sprawy narodowej? Na zamówienie japońskiej propagandy, hinduski pisarz, Amar Lahiri, pracujący stale dla Japończyków, w ten sposób np. przedstawia — w swej książce „Mikado's Mission“, wydanej w języku angielskim w 1940 roku w Tokio — rolę „Czarnego Smoka“ w związku z „incydentem mandżurskim“:

„Wybitny angielski pedagog, który zna doskonale Japonię, poinformował niedawno cały świat, że japońskie koła wojskowe poleciły „Towarzystwu Czarnego Smoka“ „stworzyć“ incydent „dla przyśpieszenia zajęcia Mandżurii“. Ani japońskie koła wojskowe, ani „korpus“ Toyamy nie mogą jednak brać odpowiedzialności za „epizod“ w Mukdenie i jego rozszerzenie się z Szanghaju do Jeholu. . . O ile chodzi o „Towarzystwo Czarnego Smoka“, to jest ono naprawdę organizacją, która pragnie rozszerzyć „Dai Nippon“ — Wielką Japonię we wszystkich kierunkach, ale czyni to w sposób pokojowy i nie jest wcale „tajnym narzędziem“ kół wojskowych. Przewódca jej, Toyama, należy do starej feudalnej szkoły — pragnie on jedynie zapewnić narodowi pomyślność i pilnuje, aby niebezpieczne elementy nie przedostały się do narodowego życia. Towarzystwo przeto nie jest „podziemną organizacją“, a Toyama nie jest „super-gangsterem“, jak to oświadczył ostatnio pewien wybitny amerykański dziennikarz. Toyama jest radykalnym nacjonalistą, jego organizacja zaś składa się z ludzi, pragnących odrodzić i ulepszyć japońskie życie. Nie stara się ona wcale wpływać na politykę rządu i jest głównie zajęta mobilizacją narodowego ducha w celu uchronienia sztandaru „wschodzącego słońca“ przed jakimkolwiek niebezpieczeństwem. Prawdą jest, że młodzi wojskowi są członkami stowarzyszenia. Ale z tego powodu nie należy robić alarmu, ponieważ otwarte jest ono dla wszystkich i należą do niego oprócz oficerów: politycy, uczeni i przemysłowcy. „Czarny Smok“ jest stowarzyszeniem, które buduje naród, dlatego nie zamierza ono ani podporządkowywać sobie Chin, ani opanowywać wszystkich dziedzin japońskiego życia“.

W tej opinii za prawdę należy oczywiście uznać wszystko: zarówno to, co hinduski pisarz na służbie japońskiej twierdzi o „Czarnym Smoku“ i jego patronie, jak i to, czemu zaprzecza — z zastrzeżeniem, że Mitsuru Toyama nie był nigdy specjalnie kierowany przez japońskie koła wojskowe, lecz sam wywierał na nie wpływ bardzo duży. Propaganda bowiem, wychodząca z patriotycznych stowarzyszeń, trafiała do przekonania ogromnej ilości oficerów i podoficerów, i stopniowo ukształtowała opinię japońskich sił zbrojnych. Już podczas wojny rosyjsko-japońskiej w 1904 i 1905 roku nawiązało się „braterstwo broni“ między armią a „Towarzystwem Czarnego Smoka“, gdyż jego liczni agenci działali na tyłach nieprzyjaciela jako

wywiadowcy, propagatorzy i organizatorzy sabotażu. W następnych latach wysłannicy organizacji rozprószyli się po Mandżurii, Mongolii i Chinach, uwijali się stale dookoła rewolucji chińskiej i chińskich wojen domowych, odwiedzali Filipiny, Syjam, Indie i inne kraje azjatyckie — nawiązując wszędzie kontakty z różnymi radykalnymi organizacjami i głosząc bez przerwy ewangelię „wschodu słońca" i okropności „białego niebezpieczeństwa".

Była to praca bardzo poważna prowadzona na szeroką skalę przy poparciu innych ugrupowań, a zwłaszcza kół wojskowych, wymagająca planowania i znacznych wydatków pieniężnych. Jakże niemądrzy są czasem premierzy, ministrowie, doradcy cesarza, przemysłowcy, a nawet niektórzy generałowie i admirałowie! Z tych lub innych powodów sprzeciwiali się oni nieraz świetnym pomysłom „Czarnego Smoka" i innych patriotycznych stowarzyszeń—i wtedy jedynie Mitsuru Toyama mógł ich przekonać i dojść z nimi do porozumienia. Gdy jednak jakiś dostojnik zastygał w uporze, wówczas, po burzliwej rozmowie, uprzejmy patron „Czarnego Smoka" musiał go żegnać życzeniem: „Mam nadzieję, że pana nic złego nie spotka". Niestety — w tych wypadkach życzenia starego patrioty na ogół rzadko się spełniały—i to zapewniało mu duży posłuch nawet u najwyższych czynników rządzących. W pracy dla dobra cesarza i narodu bowiem nie należy się liczyć z ofiarami: świadczy o tym cały szereg zamachów politycznych, dokonanych w Japonii — w ciągu jej nowożytnych dziejów — na różnych mężów stanu, parlamentarzystów i przemysłowców. Naturalnie — jedynie część ich można zapisać na rachunek „Czarnego Smoka", ale dostatecznie „imponujące" są już wyczyny tej organizacji na kontynencie azjatyckim.

W 1928 roku pan i władca Mandżurii, marszałek Chang Tso-lin, wracał specjalnym pociągiem z Pekinu do Mukdenu. W chwili, gdy przejeżdżał pod wiaduktem — niedaleko stacji przeznaczenia — nastąpił przeraźliwy wybuch bomby, który zniszczył kilka wagonów i zabił pokaźną ilość pasażerów. Dyktator nie żył, a wraz z nim zginęło wiele towarzyszących mu osób, w tej liczbie szereg japońskich oficerów. Wiaduktu pilnowali japońscy żołnierze i bomba miała podobno wszelkie znaki „made in Japan" — ale: czy armia „wschodu słońca" mogła zorganizować ten zamach, skoro jej oficerowie znajdowali się w pociągu? Ta sprawa nigdy nie została całkowicie wyjaśniona i ostatecznie spoczęła w ogromnym lamusie tajemnic Wschodu. W cztery lata później, podczas wojskowych uroczystości z okazji dnia urodzin cesarza Hirohito, obchodzonych w Szanghaju, na trybunę generalicji padła bomba. Zabiła ona kilku japońskich oficerów, oderwała nogę dowodzącemu generałowi i wybiła jedno oko admirałowi Kichisaburo Nomurze, ówczesnemu dowódcy floty, późniejszemu ministrowi spraw zagranicznych, a ostatnio ambasadorowi Japonii w Waszyngtonie. Oficjalnie ogłoszono wtedy, że zamachowcem był Koreańczyk i to stanowiło również wytłumaczenie przyczyn jego postępku.

W szereg lat potem, gdy o tych tragediach już zapomniano, poważny Japończyk, który wiedział, jeśli nie wszystko, to przynajmniej bardzo dużo, zwierzał mi się w Tokio, jakich ofiar wymaga patriotyzm. „Czarny Smok" słusznie postąpił w obu wypadkach — powiedział — armia sama niezdolna była do zorganizowania zamachu na Chang Tso-lina, a bez tego przecież nie mielibyśmy Mandżurii. Podobnie należało zrobić wielką prowokację w Szanghaju, aby skłonić nasz rząd już w 1932 roku do wojny ze słabymi wtedy Chinami. Niestety — te ostatnie ofiary były daremne. Do wojny doszło dopiero w pięć lat później, gdy Chińczycy znacznie się wzmocnili". Parę podobnych przykładów wystarcza do zorientowania się, jak bezwzględnie była realizowana japońska idea „wyjścia na kontynent", a chociaż akcja na tym polu nie była wyłącznym monopolem „Czarnego Smoka", doczekał się on publicznego i oficjalnego uznania.

W końcu 1940 roku „Towarzystwo Czarnego Smoka“ obchodziło w Tokio jubileusz swego czterdziestolecia — i na uroczystość tę przybył cały gabinet pod przewodnictwem premiera, ks. Fumimaro Konoye, liczny zastęp obecnych i dawnych członków stowarzyszenia, oraz wielu sympatyków. W celebrującym tłumie można było zobaczyć: słynnych generałów i admirałów, zasłużonych polityków i wybitnych businessmenów, znanych literatów, uczonych i dziennikarzy, młodych oficerów i urzędników. Na głównym, honorowym miejscu siedział szanowny 85-letni starzec—i właśnie przed nim ks. Konoye wygłosił przemówienie sławiąc jego patriotyczną działalność, patronowaną przez niego organizację, oraz miasto, w którym zrodziła się „Genyosha“ i które — wraz z całą prowincją — pozyskało sobie zaszczytne miano „ojczyzny patriotów“.

Dla nikogo z zebranych nie było sekretem, że już od kilku lat bezpośredni wpływ „Czarnego Smoka“ i jego przywódcy na rozwój politycznych wydarzeń stale się zmniejszał, ale ten fakt nie miał żadnego związku ani ze znaczeniem, ani ze świetnością celebrowanego jubileuszu. Siedzący na honorowym miejscu starzec był sławiony jako zasłużony wojownik o właściwe drogi, którymi powinno kroczyć cesarstwo, i jako najszczytniejszy symbol najszczerszego patriotyzmu. Prasa już dawno wyszukała dla niego specjalne, zaszczytne miana: „super-patriota“, „wielki starzec Japonii“, oprócz paru popularnych okresleń, jak np. „prorok“ lub „apostoł“ „Yamato Damashi“ — ducha Japonii — co zostało niezwłocznie podchwycone przez całe społeczeństwo. Jeśli zaś wpływy jego i patronowanych przez niego organizacji malały, działo się to dlatego, ponieważ prowadzone przez nich dzieło zostało w ostatnich latach oficjalnie przejęte przez rząd i siły zbrojne cesarstwa. Dotychczasowi spracowani i starzejący się działacze odchodzili już na najbardziej szanowną emeryturę, a poza tym wyrosło nowe, młode pokolenie, które radykalizmem i imperialistycznym rozmachem zaczęło zaćmiewać swych mistrzów i nauczycieli. Dramatyczna walka idei bowiem, która rozegrała się w Japonii w trzech pierwszych dziesięcioleciach bieżącego stulecia, na początku piątego — była już ukończona i kraj „wschodu słońca“ wkroczył w cień „Czarnego Smoka“.

„ZABIJ BUDDĘ“

Wpływami Mitsuru Toyama nie można oczywiście tłumaczyć wszystkiego co stało się lub dzieje się w Japonii, ale niewątpliwie były one w ciągu ostatnich 50 lat bardzo silne, skoro zapewniły mu najbardziej szanowną, chociaż nieoficjalną pozycję „drugiej osoby po cesarzu“. Kariera ta naturalnie nie została dokonana na poczekaniu — i zwyczajem japońskim przyszła dopiero w starszym wieku. Najogólniejszy jej zarys można znaleźć w japońskim „Who's Who“:

„TOYAMA, Mitsuru — Nacjonalista, doradca organizacji patriotycznej „ Dai Nippon Seisan-to“, urodzony dn. 12 kwietnia 1855 r. w Fukuoka-ken, drugi syn Mensaku Tsutsui, adoptowany przez Gentaro Toyamę, poślubił Mine, starszą córkę Wachu Toyamy. Kariera: zorganizował „Genyoshę“ (prawicowe ugrupowanie), połączył organizację patriotyczną „Kyushu Kokken-to“ z „Yasukazu Yasuba“, „Kamon Furusho“ i „Tomafusa Sassa“; założył dziennik „Fukuryo Shimpo“ i stale głosił zasady imperializmu. Adress: 12, Tokiwamatsu, Shibuya-ku, Tokio. Telefon: Aoyama 5317“.

Wiadomości te oczywiście są niewyczerpujące, ale o Mitsuru Toyama istnieje ogromna japońska literatura panegiryczna, z której można wyłowić szereg interesujących szczegółów. Początek dziejów „super-patrioty“ jest wybitnie skromny: ojciec, ubogi samuraj, mieszkający w prowincji Fukuoka, a ludzie, którzy — japońskim zwyczajem —zaadoptowali młodego chłopca, należeli do tej samej klasy społecznej i nie mogli zapewnić przybranemu synowi ani większego wykształcenia, ani jakiegokolwiek majątku. Dora-

stający młodzieniec wychowywał się przeto na zebraniach różnych miejscowych ugrupowań patriotycznych, chłonął m.in. idee Shoin Yoshidy, hasła „sanno-joi", wpadał w zachwyt nad "kodo", czyli „cesarską drogą", innymi zaś „drogami": czystym, państwowym „szinto" i kodeksem „buszido" nie mógł początkowo się przejmować, ponieważ nie zostały one jeszcze wynalezione. W tej patriotycznej i religijnej atmosferze czuł się wybitnie dobrze, i aby zwiększyć hart ducha zaczął stosować zasady buddyjskiej sekty „Zen", którym poddawali się z zamiłowaniem—podczas japońskiego średniowiecza — waleczni samuraje. Już po przekroczeniu dwudziestki Mitsuru Toyama zdołał się wybić, zwrócić na siebie uwagę towarzyszy i zająć wśród nich czołową pozycję. Ale dopiero w wieku 35 lat żarliwy patriota mógł sobie pozwolić na kupno zwyczajnego japońskiego jedwabnego kimona, takiego, jakie posiadają liczne tysiące jego rodaków.

Największą potęgą w życiu jest bezsprzecznie wiara i formująca ją religia. Japońscy patrioci, a zwłaszcza teroryści, wiele sił czerpali z nauki sekty „Zen", głoszącej, że człowiek może robić wszystko — łącznie z popełnianiem zbrodni — jeśli nie czyni tego z pobudek egoistycznych, lecz dla realizacji wyznawanych idei. „Zabij Buddę" — tak brzmi jedno z podstawowych przykazań sekty i oznacza, że jej wyznawca, w pełni uświadomiony i uduchowiony, ma obowiązek usuwać wszelkie przeszkody ze swej wzniosłej i transcedentalnej drogi, nawet w tym wypadku, gdyby taką przeszkodą stał się założyciel religijnego systemu we własnej osobie. Wpływ tej nauki był olbrzymi nie tylko na bardzo znaczną ilość japońskich polityków, ale także na masę zwykłych obywateli. Z niej właśnie Toyama czerpał swą siłę i z czasem uwierzył, że żyje i działa dla wyższych celów, dlatego wszystkie swoje decyzje i posunięcia uważał za usprawiedliwione.

Argumenty? Dyskusje? Wolność przekonań? To nie prowadzi do pomyślnych skutków, lecz wytwarza ogólny zamęt — i Mitsuru Toyama prędko zrozumiał, że patriota, realizujący swój plan budowania państwa, ma prawo,a nawet musi uciekać się do siły w celu „przekonania" opornych. Teroryzm w rozgrywkach politycznych nie stanowi zresztą nowego wynalazku — znany on jest na całym świecie już od najdawniejszych wieków, a szczególnie na Wschodzie wciąż się cieszy wielką popularnością. Metoda zaś nie odznaczała się żadną specjalną nowością: jeśli towarzystwo patriotyczne zdoła urządzić udałe zamachy jedynie na paru przeciwników, to wszyscy inni — bojąc się — zaczynają je szanować i z nim się liczyć. Każdą akcję należy oczywiście organizować mądrze — i na tym właśnie polu zabłysnął talent przyszłego „wielkiego starca Japonii". Początkowo angażował się on bezpośrednio: tworzył stowarzyszenia, łączył je lub rozłączał, stał oficjalnie na ich czele, zakładał wydawnictwa dla propagandy swoich poglądów, potem zrozumiał, że musi obrać inną taktykę. Po mądrość należało sięgnąć do starego japońskiego przysłowia, które powiada, że ten, kto posiada władzę i ujawnia ją publicznie, jest głupcem. I w pewnej chwili — zwłaszcza po rozwiązaniu zasłużonej „Genyoshy" — Mitsuru Toyama zaczął działać jedynie pośrednio: nie był już więcej ani założycielem, ani kierownikiem patriotycznych stowarzyszeń, nie wydawał pism, i zadawalniał się jedynie stanowiskiem . . . doradcy.

Kariera wszystkich wybitnych ludzi — niezależnie od ich wartości moralnych — uwarunkowana jest wielką ilością różnych czynników, które wszystkie razem nazywają się „socjologiczną koniunkturą". Japonia w drugiej połowie XIX i na początku XX wieku stała się niewątpliwie doskonałym polem do działania wszelkich „patriotów", ponieważ głosili oni idee, drogie większości społeczeństwa. Nawet postępowi, rządzący reformatorzy często sympatyzowali z nimi, ale nie mogli do tego publicznie się przyznać, uważali zresztą ich akcję za przedwczesną. Wielki ks. Ito był np. uczniem Shoin Yoshidy — dlatego pracę „Genyoshy" w Korei uważał za korzystną: przynajmniej w ogólnym wyniku, jeśli nawet nie

zgadzał się z niektórymi jej metodami. Gdy znowuż przed 1904 rokiem zajmował on stanowisko premiera, Mitsuru Toyama zaczął wywierać na niego silną presję, połączoną z całkiem niedwuznacznymi groźbami, domagając się wojny z Rosją. Wytworzyła się sytuacja tragi-komiczna: zasłużony ,,genro" również uważał tę wojnę za konieczność, ale początkowo opierał się jej, ponieważ uważał siły japońskie za niewystarczające. Dzięki temu wszystkiemu sława przywódcy patriotycznego z Fukuoki rozchodziła się po kraju — nikt, nawet przeciwnicy, nie wątpili w szczerość jego intencji i wszyscy zaczynali w nim widzieć to, co napisał o nim później pewien japoński pisarz: ,,Mitsuru Toyama stał się prawdziwym sumieniem Japonii — i już od czasu epoki Meiji ofiarnie wskazywał japońskiej polityce właściwe kierunki rozwoju".

Dwa razy w życiu — za czasów młodości i na wstępie pełni dojrzałego wieku — Mitsuru Toyama znalazł się na krótko w więzieniu. Działo się to jednak w zeszłym stuleciu — od początku obecnego, gdy jego sława i wpływy ugruntowały się, stał się on nietykalny. Nawet jeśli ślady jakiegoś zamachu terorystycznego prowadziły do jego domu, nawet jeśli skrywał się u niego ścigany przestępca, wszechpotężna japońska policja lub żandarmeria nie śmiały kontynuować pościgu i uważały swą misję za skończoną. ,,Czarny Smok" zresztą prawie zawsze unikał bezpośredniego i oficjalnego angażowania się w jakąkolwiek akcję terorystyczną — te prace wykonywały różne dalsze dobudówki lub związane ideowo, małe i tajne organizacje o przejmujących nazwach, jak np. ,,Braterstwo Krwi", ,,Żołnierze Boga" i inne. Toyama zaś w swej odwadze był stale rozważny.

Liczni ,,patrioci" ustawicznie zgłaszali się do niego z pokorną prośbą o pozwolenie na ,,usunięcie" jakiegoś ,,szkodnika". Rozważał on dokładnie całą sprawę, i po tym albo wyrażał swoją zgodę, albo odrzucał propozycję. Amatorów do roli wykonawców wyroków było jednak stale więcej, niż ewentualnych ofiar — to też wybrani cenili zaszczyt, pościli, przechodzili rytualne oczyszczenie, organizowali całą akcję i następnie spełniali swą misję biorąc na siebie całkowitą odpowiedzialność. To pomagało japońskim policjantom, prokuratorom i sędziom utrzymać fikcję, głoszącą o niewinności głównych inicjatorów, ich szczytna ideowość bowiem była uznawana nie tylko przez większość narodu, ale także przez ,,oficjalną sprawiedliwość".

Nadaremnie jednak szukamy wielkich czynów ,,wielkiego starca Japonii". Podobnie, jak terorystyczne przedsięwzięcia, toną one we mgle tajemniczości i nikt właściwie nie umie ich dokładnie wyliczyć. Toyama bowiem stale trwał w cieniu — nie pisał książek, nie wygłaszał zbyt często publicznych przemówień, nie reklamował ani siebie, ani swoich sukcesów, nie przyjmował dziennikarzy i nie udzielał wywiadów. Wszystko za niego czynili inni: jedni uczniowie pisali artykuły i całe prace, które szerzyły wyznawaną przez niego ideologię, drudzy — wchodzili do rządu, dowodzili wojskiem, wykładali w szkołach, stawali się przemysłowcami lub . . . ,,usuwali szkodników". Japońskim zwyczajem na niego spływała chwała za powodzenie ich akcji, za klęski zaś i pomyłki cierpieli sami wykonawcy. W tym właśnie tkwiła wielkość tego inspiratora — i w miarę, jak się on starzał, coraz bardziej promieniał jego tytuł: ,,sensei" — nauczyciel — będący najbardziej dostojnym mianem, jakie Japończyk może otrzymać od Japończyków.

Wysokie stanowiska rządowe? Nikt nie potrafił na nie skusić mądrego patrona ,,Czarnego Smoka". W ciągu swego długiego życia mógł on wiele razy zostać członkiem parlamentu, parem, ministrem, może nawet premierem, parokrotnie ofiarowywano mu tytuł barona i najwyższe odznaczenia — wszystko odrzucał i trwał w swym stylu jako zwyczajny Toyama-san — pan Toyama. Nie popełnił on nigdy błędu wielu opozycyjnych działaczy politycznych, którzy rwą się do rządów, aby je osiągnąć i zawieść

pokładane w nich nadzieje. Opozycja jego zresztą była co najmniej osobliwa: deklamująca najwyższą lojalność w stosunku do boskiego cesarza i skierowana przeciw różnym ministrom i innym dygnitarzom — zapewniała mu niezależność, możność krytyki i usprawiedliwienie terorystycznych aktów. Taktyka Toyamy była celowa — zakulisowe wpływy bowiem w kraju „wschodu słońca" są trwalsze od oficjalnych.

Stale przekonywał się o słuszności tej tezy. Do jego skromnego domu już od wielu lat — po porady i na narady — przyjeżdżają ministrowie,oraz dygnitarze wojskowi i cywilni, a premierzy uważają sobie za zaszczyt, gdy przyjmuje ich zaproszenie na obiad, o czym rozpisuje się zwykle cała prasa. Raz, lub dwa razy na rok, Mitsuru Toyama odwiedza nieoficjalnie pałac cesarski i rozmawia z samym potomkiem bogini słońca, chociaż o tym w gazetach panuje cisza. Gdy przemawia, tysiączne tłumy pragną go słyszeć, ale zdarza się to ogromnie rzadko. Na publicznych zgromadzeniach bowiem zasiada jedynie na honorowym miejscu, słucha innych, a sam milczy; i dopiero na koniec spełnia swój stały przywilej: wznosi trzykrotne „;banzaj" na cześć cesarza. Na najdalszych wyspach cesarstwa wieśniacy z pewnością nie znają nazwiska premiera, ale dobrze wiedzą, kim jest „wielki starzec Japonii". I tak bez żadnych oficjalnych dekoracji i zaszczytów zrodziła się o nim — już za jego życia — legenda.

Ten groźny i bezwzględny człowiek — jeśli wierzyć japońskim biografom — w prywatnym życiu jest najpotulniejszym barankiem, tak że jedyny kłopot polega na trudności rozpoznania granicy między jego „prywatną" a „publiczną" działalnością. Zainicjowanie zamachu na niedobrego ministra jest jedną sprawą, a zgniecenie dokuczliwego komara drugą — i Mitsuru Toyama należy właśnie do tych rzadkich ludzi, którzy postanowili nie zabijać nawet gryzących ich owadów. „Serce jego jest wielkie, jak góra i dobre, jak przeczyste jezioro" — pisze o nim jeden z wdzięcznych uczni. Od wczesnej młodości „prorok" częs*o pości, w lecie chodzi przeważnie boso, odbywa pielgrzymki do różnych świątyń i tkwi w rytualnych misteriach. Każdego pogodnego poranka można go zobaczyć przed świątynią Meiji w Tokio — składa tam hołd pamięci cesarza-reformatora i raportuje duchowi zmarłego władcy swoje patriotyczne osiągnięcia. Dawniej ten spacer odbywał na piechotę, ale od kilkunastu lat ministerstwo spraw wewnętrznych ofiarowało do jego dyspozycji dużą, wytworną, czarną limuzynę, którą ostatecznie przyjął — głównie ze względu na swój podeszły wiek — po początkowych protestach.

Dawna nędza Mitsuru Toyamy należy naturalnie do zapomnianej przeszłości. Z czasem znalazł się on w posiadaniu sporego majątku osobistego, którego źródła nie są dokładnie wyjaśnione, ale mimo to nie zmienił swego skromnego trybu życia. Pieniądze zresztą od wielu lat przestały być dla niego problemem: przychodziły stale i łatwo. Jeden rozkaz, wydany sekretarzowi, i następnie parę telefonów do odpowiednich ludzi — i już nazajutrz sumy, od tysięcy do milionów, znajdowały się do jego dyspozycji. Szły one zresztą całkowicie na różne patriotyczne cele — i ofiarodawcy, nawet gdy byli zmuszani do „gestów" niedwuznacznymi groźbami — uznawali czystość intencji — i gdzieś w głębi swego sumienia przyznawali patronowi „Czarnego Smoka" „wyższe prawo" do bezprawnych szantaży. Dla ogółu narodu „wielki starzec Japonii" stał się naturalnie typem rodzimego Robin Hooda, czułego na wszelką niesprawiedliwość społeczną, odbierającego doczesne dostatki od „złych" bogaczy i rozdzielającego je wśród ludzi „wartościowych, lecz pokrzywdzonych". Jeden z japońskich pisarzy opisał nawet, w jaki sposób sędziwy mistrz rozdaje pieniądze swym biednym uczniom i sympatykom. Któżby chciał liczyć przyniesione z banku grube paczki banknotów? Toyama jedynie rozdzierał banderole, brał do ręki plik banknotów, oceniał ich wartość, stosownie do ciężaru, i wręczał potrzebującym. „Trudno wymagać — pisze

biograf — aby ten zasłużony i przepracowany patriota mógł się bawić w kasiera lub buchaltera".

Jest rzeczą ciekawą, że wielu cudzoziemców, przejeżdżających przez Japonię lub nawet w niej mieszkających, wcale „nie zauważyło" tego człowieka. Stosunkowo niewielka ilość Europejczyków i Amerykanów mogła z nim zawrzeć znajomość i dowiedzieć się od niego samego o jego poglądach — do tej liczby należy zaledwie kilku zagranicznych korespondentów. Na opinii zagranicy zresztą nigdy mu specjalnie nie zależało, ale zdziwił się bardzo, gdy się dowiedział, że nie jest tam wcale „szanowany" i że za wyznawanie doktryny „zabij Buddę" można na Zachodzie osiąść na stałe w więzieniu, lub być „zabitym" przez kata na podstawie prawomocnego sądowego wyroku. Cudzoziemskim dziennikarzom nie opowiadał wiele o sobie, lecz próbował ich przekonać, że Japonia spełnia ważną religijno-historyczną „misję" — i w ten sposób usiłował oddziałać na światową opinię. Poza tym unikał „białych barbarzyńców" słusznie uważając, że nie są oni zdolni do zrozumienia wzniosłości jego zasad.

Ażeby osiągać sukcesy należy posiadać jakieś większe osobiste wartości. Rzeczywiście: Mitsuru Toyamę bezsprzecznie można określić jako „wybitną indywidualność". Możliwe, że jego postawa wyrosła dopiero z czasem i że uzyskał on szaloną pewność siebie, ponieważ osiągnął pozycję, na której uśmiechanie się, mówienie frazesów, pochlebstw, lub nawet zdawkowych grzeczności, oraz schlebianie innym — są zbyteczne, a mówiącego stać na absolutną szczerość wobec każdego. Podobny brak zwykłej japońskiej etykietalnej fasady nie powinien nikogo wprowadzać w błąd — indywidualizm Mitsuru Toyamy bowiem jest „wytworem" rodzimym i wynikł ze spotęgowania się wielu najistotniejszych cech, właściwych mieszkańcom kraju „wschodu słońca". Takie przynajmniej odniosłem wrażenie, gdy na wiosnę 1940 roku, przestąpiłem po raz pierwszy próg domu patrona „Czarnego Smoka", wprowadzony przez Japończyka, który był wyższym urzędnikiem „Gaimusho", czyli japońskiego ministerstwa spraw zagranicznych. Ze świetnej książki Upton Close'a „Behind the Face of Japan" wiedziałem już, że Mitsuru Toyama ma „twarz anioła". Gdy go jednak zobaczyłem, zacząłem się poważnie obawiać, że mój znakomity amerykański kolega ma raczej błędne wyobrażenie o tym, jak wyglądają lub powinni wyglądać aniołowie.*

* W następnym numerze „Nowej Polski": „Pomniki Mitsuru Toyamy" (dokończenie cyklu).

KSAWERY PRUSZYŃSKI

DWAJ LUDZIE

Było to prawdopodobnie w pierwszej dekadzie września 1941, w Moskwie, dobrze po południu. Zajęcia nasze w ambasadzie przeciągały się wtedy dosyć późno, stołówka dopiero zaczynała funkcjonować, dość że z Władysławem Broniewskim (jeśli się nie mylę), znaleźliśmy się w restauracji Metropolu, prawie po wyjściu wszystkich normalnych gości. W jednym tylko końcu sali, nader głośno, rozprawiali Polacy; pamiętam, był między nimi książę Eustachy Sapieha, wypuszczony z Łubianki przed paroma dniami, prof. Leon Kozłowski, który potem z Buzułuku wydostał się do Berlina, bodaj Michał Tyszkiewicz (mąż Ordonki), świeżo przybyły z dalekiej północy. Przyszli tak samo późno jak my, i tak samo zabrali się do jakiegoś kapuśniaku, czy solanki.

Myśmy zaledwie rozpoczęli obiad, kiedy na salę weszło dwóch innych ludzi. Najwidoczniej nie byli Rosjanami; nie wyglądali także na cudzoziemców. Byli, na pierwszy rzut oka, owym odrębnym (a rzadkim) rodzajem człowieka w Rosji, który dopiero wyszedł z więzienia.

Broniewski wpatrzył się w nich i poznał. Oni go też poznali. (Wtedy nieraz ludzie znający się niegdyś doskonale, potrzebowali wiele wysiłku, aby poznać się.) Po chwili podeszli wszyscy do naszego stolika. Dowiedziałem się ich nazwisk:

— Henryk Ehrlich,

— Wiktor Alter.

Wiedziałem już, że obaj przywódcy „Bundu" zostali dziś właśnie wypuszczeni, byli u nas, widzieli się z ambasadorem, sam nie widziałem ich jeszcze. Przyznam się nawet, że nie byłem tak bardzo ciekawy ich widzenia. Z wielu żydowskich partyj politycznych jakie znałem, „Bund" był mi na pewno najmniej znany.

Nie wydawał mi się zbyt interesujący. Konserwatyzm chasydzki był zawsze nader egzotyczny, sjonizm ze swymi palestyńskimi tęsknotami miał coś romantycznie nierealnego, rewizjonizm ze swymi koszulami — (nie pamiętam już jakiej barwy koszule nosili ci faszyści żydowscy?) — był w tym narodzie niespodzianką. „Bund" robił z daleka wrażenie jednej z sekt wyznania marksowskiego, pokłóconej z komunizmem sowieckim, a nie zespolonej w jedno z PPS-em polskim. Pojęcie „Bundu" nie kojarzyło się ani z tradycyjną bożnicą, ani z palestyńskim kibucem. Widziało się tylko ową nędzną miazgę ludzką z Gęsiej, Franciszkańskiej, Żelaznej Bramy, owych szewczyków i krawczyków nędzniejszych od najnędzniejszego proletariatu fabrycznego, mrowie zalegające w świąteczne popołudnia brudne rynki Sieradza, Końskich, Garwolina, Mławy, czy Zawichostu, z biednego Dzięcioła, czy nędznego Wołkowyska, Mostów, Lidy, Kostopola. To był „Bund".

Typ człowieka wychodzącego z więzienia w tym kraju był mi już także dobrze znany z tylu twarzy, jakie widziało się od tych kilku dni. Ludzie tacy byli albo dziwnie podnieceni, rozgorączkowani, niespokojni, albo też przeciwnie osowiali, trzymający się kątów, nie patrzący w oczy. Więzienie wymaglowało ich w bardzo rozliczny sposób: ale zawsze wydatnie. Przypomniałem sobie, że Broniewski siedział jakiś czas w jednej celi na Łubiance z Alterem i Ehrlichem i że opowiadał o nich coś takiego, czego sobie nie mogłem w danej chwili przypomnieć. Ale choć nie mogłem, widok tych dwojga mówił teraz za siebie. Oni byli inni.

Inność nie polegała na tym, że byli jeszcze cichsi, czy jeszcze bardziej podnieceni. Polegała na tym, że nie byli tymi dwoma latami wytrąceni ze swej równowagi. Prawda, nie znałem ich przedtem, tak że to wrażenie mogło być mylne. Niewątpliwie musieli się postarzeć, a także podupaść

na zdrowiu. Ale ich strona psychiczna pozostała tym wszystkim nie-dotknięta zupełnie, tak, jakby między-nią a ich ciałami, nie istniał żaden związek. Nieomal mogłem myśleć, że nie byli w więzieniu w ogóle. Tylko ubrania — nowe zupełnie i nader liche — wskazywały, że odziano ich właśnie dzisiaj i po kąpieli i obfitym śniadaniu, wypuszczono z murów Łubianki.

Przyzwyczaiłem się już dawniej do tego, że przewódcy lewicowi mają w sobie znacznie więcej z inteligenta, czy intelektualisty, niż przeciętni prawicowi przewódcy, ale znowu wodzowie owego „Bundu", tych szewczyków z Franciszkańskiej, chałupników z Bałut, związkowców z Muranowa, nie wyglądali wcale na to czym, w moim prostackim pojęciu, powinni byli być. W ich słowach i ruchach była jakaś powściągliwość jaką w zeszłym stuleciu łączono z „dobrym urodzeniem", a którą niejeden z nas na emigracji nauczył się łączyć z obyczajem angielskim. Ich pewność siebie była jakaś spokojna, daleka od agresywności. Ich rozmowa nie zmieniała się w perorowanie. Ich słuchanie nie parowało obojętnością. Było czujne, uważne i życzliwe. Robili wrażenie ludzi, którzy są poza i ponad sobą samymi, i którzy z jakiejś dalszej nieco perspektywy oceniają i siebie, i wszystko. Być może, że i wtedy w więzieniu, i w czasie tygodni spędzonych w celi śmierci, tak samo patrzyli na to wszystko, jakby to był los nie ich własny a cudzy, i jakby to co z nimi się dzieje, nie było wcale najważniejsze.

Obaj zresztą byli do siebie niepodobni.

Wiktor Alter był człowiekiem o żywym, ruchliwym temperamencie. Raczej człowiek walki, niż refleksji, dyskusji, niż rozważania, ruchu, niż medytacji. Nawet pamięć nie uległa nadwątleniu w więzieniu — a jakże to często miało miejsce w tylu innych, niestety, wypadkach — pamiętał artykuły, książki, stanowiska zajmowane w takich, czy innych sprawach przez tych, czy innych, przed wojną. Animozje się u tych ludzi nie wykruszyły, jak u wielu; pamiętam, że gdy podszedł do nich Leon Kozłowski (jak wiadomo jeden z twórców — choć nie jedyny — Berezy) przywitali się z nim bez nadmiernej efuzji. Tyle, aby nie robić ostentacji. Wiktor Alter już przy zupie polemizował, dowodził, argumentował. Tego człowieka—zdawałoby się—nie tyle cieszyła własna wolność, nie tyle wybuch wojny niemiecko-sowieckiej, ile inna okoliczność; oto on i „Bund" przewidzieli trafnie bieg wypadków. To co oni zapowiadali, to co oni sobie wyliczyli, stało się. Alter miał wykształcenie inżyniera chemii; w więzieniu napisał pracę z tej dziedziny. Jego radość obecna miała coś z zadowolenia wynalazcy, któremu eksperyment się powiedzie, którego obliczenia okażą się trafne. Brał to za dowód że i w innych przewidywaniach nie mylił się. Wszystko to razem napawało go jeszcze i pewnym poczuciem wyższości w stosunku do tych, co Hitlerowi zawierzyli. Beck był w tej skali rozumowania mniej naiwnym, niż Stalin.

Ehrlich był zupełnie innym.

Wszystko com powiedział o powściągliwości i umiarze sprowadzało się najbardziej do niego. Możnaby prawie sądzić, że jego obecność studzi nawet i trzyma na wodzy Altera. Był starszy, dużo starszy, — przynajmniej tak się wydawał — od swego towarzysza. Był spokojniejszy. Był bardziej zamyślony. Był także bardziej smutny. Jeśli z Alterem miało się wrażenie, że wczoraj jeszcze w więzieniu i dwa tygodnie temu w celi śmierci, był tak samo wrzący i przebojowy, to u Ehrlicha odnosiło się przekonanie, że amnestia i wolność nie pocieszyły go ani trochę. U niego także to wszystko co dotyczyło tylko jego, działo się *obok*. Przechodziło mimo. To nie było najważniejsze. Ważnymi były inne sprawy. Ich wolność, jak i ich więzienie, była tylko owych spraw ułamkiem.

Ludzie wychodzący na wolność są zrazu oślepieni słońcem. Wydaje im się, że świat z którego byli wyłączeni, musiał stać się naraz jakimś lepszym,

wspanialszym i przejasnym, zamieszkałym przez aniołów i kierowanym przez mędrców. Przebudzenie bywa tym boleśniejsze. Choroba ta jest tak zrozumiała, tak naturalna, jak naturalnym jest w pewnych warunkach tyfus, a w innych cynga. Dostaje się ją po pewnym czasie w sposób matematycznie niezawodny. Ci dwaj ludzie byli zapewne jedynymi jakich spotkałem, którzy nie przeszli jej wcale. Jak wiadomo (a raczej jak niewiadomo), byli właśnie tymi co najdłużej przebywali w sowieckim więzieniu; dostali się do niego jeszcze we wrześniu 1939, bodaj w dzień wkroczenia wojsk sowieckich do Kowla. Niemniej wyszli na świat bez mgły złudzeń w oczach. Pytali teraz o wszystko tak samo ciekawie, jak wszyscy inni. Alter, zdawałoby się, sprawdzał sobie w mózgu to co się stało, z tym co spodziewał się, że nastąpi. Czasem to co nastąpiło nie odpowiadało temu, co on sobie wyobrażał w czterech ścianach celi; wówczas, zdawałoby się, sprawdzał w swym mózgu matematyka, w którym miejscu swych rozważań popełnił błąd? Aby uniknąć na przyszłość. Ehrlich, nachylony, słuchał z takim wyrazem twarzy jakby zgadzał się, że jest właśnie tak jak jest, że trudnoby oczekiwać aby było lepiej, że jeszcze właściwie mogłoby być gorzej. Czy ci ludzie siedząc w pełnym odosobnieniu byli naprawdę oddzieleni od życia? Nie. Jeden w swoim spekulatywnym mózgu, przypominającym mózg talmudysty, scholastyka, wielkiego matematyka, logika, marksisty, *przewidział* konsekwencje rzeczy, które jeszcze dostrzegł, lub które go choćby w zdeformowanej formie poprzez mur doszły. Drugi je *odczuł*. Dla pierwszego było niespodzianek mało. Parę nowych sytuacyj, odmiennych może personalnie, nigdy istotnie. Dla drugiego — Ehrlicha — nie było wcale niespodzianek. Fala wydarzeń światowych opływała może nowe brzegi, niosła na swym nurcie inne liście, gałęzie urwane powodzią, czy zręby podmytych domostw; ale woda w tym nurcie była taka sama jak przedtem, taka jak przed dziesięcioleciami, taka jak zawsze. I może ta *niezmienność* spraw w najbardziej zmąconym nurcie, świadomość takiej niezmienności sprawiała, że wyraz twarzy Ehrlicha był pełen spokojnego pesymizmu.

Rozmawiałem później z pewnym księdzem katolickim, o naprawdę wysokiej moralności i prawdziwym, coraz rzadszym u nas, intelekcie. Spędził z tymi dwoma pewien okres w jednej celi. Był to wycinek czasu bardzo bolesny. Francja padła, oczekiwano upadku Anglii, państwa bałtyckie zagarnął ZSSR. Wspominał te czasy spędzone z dwoma żydowskimi socjalistami.

— Trzymali się nadzwyczajnie. Zupełnie niezwykle. Jest to dla mnie całkowicie niezrozumiałe jak mogli tak trzymać się ludzie pozbawieni tego moralnego podtrzymania, jakie daje religia.

Dużo, dużo później, już w Kujbyszewie, byliśmy razem w teatrze z Józefem Czapskim. Olbrzym, który wzrostem przewyższałby Podbipiętę, swą candeur d'esprit przypominał świętego Franciszka, a manierami pozostał arystokratą wieku oświecenia, dowodził, że w teatrach sowieckich daje sobie nieumówione rendez-vous wszystko, co pozostało w tym kraju starego kulturalnie. Istotnie, widownia w czasie przerwy nie przypominała normalnego sowieckiego tłumu.

— Patrz, patrz, na przykład, ale za chwilę, aby nie zauważył, mówił Czapski, ten pan u wejścia, po lewej stronie. . . To przecież jest ktoś z dawnych czasów. . .

Po chwili, tak aby nie być zauważonym, obejrzałem się. Tym kimś w którym oko malarza i człowieka z society wykryło zgodnie człowieka „z dawnych czasów" był właśnie przewodniczący rady naczelnej „Bundu". Stał w progu sali, trochę nieporęcznie, potrącany przez tych co wchodzili i wychodzili, zamyślony, obcy temu wszystkiemu, daleki myślą i wzrokiem. Był zawsze w owym ubraniu z Uniwermagu, czy Sowtorgu, z lichego materiału, nieporęcznie skrojonego, ale noszonego z jakąś spokojną i cichą

dystynkcją. Takie twarze i tacy ludzie wyzierają czasem ze starych zbiorowych fotografij dziewiętnastego wieku, przedstawiających jakiś zjazd zurychski socjaldemokratów, jakiś komitet wykonawczy SDKPIL, jakiś kongres brukselski, londyński, czy genewski. Tak mógł wyglądać Ferrer, ów teoretyk anarchizmu z Barcelony, rozstrzelany z wyroku wojskowego trybunału. Tak mogli wyglądać socjaliści polscy z czasów „związku zagranicznego", lub późni dziedzice tradycyj Stanisława Worcella.

Jakeśmy się mogli dowiedzieć, nie wszystkie przesłuchiwania śledcze w więzieniach sowieckich miały charakter ścisle i wyłącznie śledczy. Wiele z nich przypominało średniowieczne dysputy religijne; badający był nie tylko inkwizytorem politycznym; był jeszcze i polemistą ideologicznym. Prawnicy wiedzą, że proces współczesny polega na doprowadzeniu do tego, aby wina została udowodniona; winowajca nie musi przyznać się do niej. Do skazania przyznanie nie jest konieczne. W procesach inkwizycyjnych średniowiecza było to, jak wadomo, niezbędne. Stąd wyszło i zastosowanie tortur jako „ostatecznego środka" dla wymuszenia przyznania.—Otóż proces sowiecki ma na celu tak samo „przekonanie" sądzonego, a przynajmniej pobicie go w dyskusji. „Sledowatjel" jest wyszkolony dyskusyjnie. W wielu bardzo wypadkach dyskusja z nim była trudna nie tylko dlatego, że był on panem życia i śmierci. Z wielu takich relacyj, jeszcze świeżych, jeszcze nie uszminkowanych na własną korzyść opowiadającego, wiedziałem już o tym. Otóż dyskusje z Ehrlichem i Alterem były dla sowieckich „sledowatjelej" tym samym, co dla mizernego szachisty z Małkini, gra z Aljechinem. To inkwizytor był wpędzany w sytuację bez wyjścia, w której musiał zakonkludować albo absurd, albo omylność Stalina.

Więziennictwo sowieckie jeszcze pod innym względem przypominało więziennictwo epok religijnych i walk wyznaniowych. Oto niewątpliwie najgorsze miejsce mieli w nim odstępcy od Marksa. Inkwizycja hiszpańska była, jak wiadomo, znacznie łagodniejsza, gdy chodziło o pogańskich Azteków, arabskich muzułmanów, czy schizmatyckich Słowian. Największą złość wywierała na protestantach, którzy „odeszli od Rzymu", a jeszcze większą na tych, co uczynili to niedawno, lub skrycie, jak marani i moryskowie hiszpańscy. Polacy którzy wyobrażali sobie, że najgorszy los czeka w wi zieniu sowieckim księcia, właściciela ziemskiego, księdza, dygnitarza Ozonu, czy bankiera, dziwili się, że do pierwszych aresztowanych i najtrudniej wypuszczanych należeli, procz konspiratorów, *właśnie ludzie lewicy*. Los odszczepieńców był najgorszy. Los bundowców należał właśnie do nich. Alter i Ehrlich byli Moskwie znani dziesięćkroć lepiej, niż wszyscy Radziwiłłowie, Sławkowie, Dmowscy. W pewien sposób można było powiedzieć, że tamci byli dla nich nieszkodliwi, a w pewien sposób nawet i użyteczni. Bolszewik, chcąc mówić, że Polska jest krajem feudalnym, mówił tylko: Radziwiłł; gdy chciał powiedzieć, że Polsk jest rządzona poprzez wojskowe spiski, mówił: Sławek; gdy chciał uplastycznić jej nacjonalizm i drobnomieszczaństwo, powiadał: Dmowski. Nie było najmniejszej nadziei, aby przyjaciele polityczni księcia Radziwiłła stali się komunistami, jeszcze mniej, aby to zrobili polityczni oficerowie, którymi posługiwał się śp. pułkownik Sławek, a młodzież akademicka, sklepikarz ze Środy, czy restaurator z Gniezna także nie przeszliby z parafii pana Romana pod znak sierpa i młota. Ale na tłumy proletariatu żydowskiego w Polsce i świecie Moskwa patrzyła jako na swoją własność, swój zaciąg, zastępy, skąd powinna corocznie wybierać sobie rekruta. Odciąganie tego rekruta było zbrodnią. A właśnie tego żydowskiego rekruta odciągał Bund, odciągali Alter i Ehrlich. Jeśli kiedy robociarz żydowski nie był komunistą, to dlatego, że mu Alter i Ehrlich umieli wytłumaczyć, że zorza jaka świta na Wschodzie nie jest zorzą prawdziwego socjalizmu, że ludzie co przyszli po Leninie podadzą rękę faszyzmowi. Cóż dziwnego,

że z sowieckiego punktu widzenia Alter i Ehrlich należeli do najszkodliwszych ludzi w Polsce, a może nie tylko w Polsce? Nawet gdyby w swych pismach, czytanych jak Biblia przez masy żydowskiego proletariatu, nie napisali nazajutrz po pakcie Ribbentrop-Mołotow, a w przededniu 1 września, wspaniały akt oskarżenia zaczęty okrzykiem: Verrat!?

Ostrzał obu wypuszczonych rozpoczął się też niebawem. Zrazu, co prawda, nie zupełnie z sowieckiej strony. Do ambasady przychodzili życzliwi, uczynni i gorliwi ludzie. Zrazu były to takie sobie ot, niechcący rzucane, podmowy:

— Czy to dobrze jest, że ten Alter i Ehrlich tak gadają z Anglikami i Amerykanami? Właśnie widziano ich wczoraj z korespondentem X. . . Czy to prawda, że byli u dyplomaty Z. . .?

Nie wiem co inni odpowiadali na to, albowiem pytania takie były podsuwane dziwnie systematycznie. My, Polacy, na ogół nie jesteśmy tak bardzo systematyczni. Ale wielu pewno odpowiadało tak:

— Nie wiem, czy to jest dobrze, czy nie dobrze. Nie mamy na to możności, ale przede wszystkim prawa, do określania kto z naszych obywateli może, a kto nie może, i z kim, gadać. Nie jesteśmy państwem totalnym. Czy byli u posła Z. . .? Nie wiemy. Powinniśmy wiedzieć? Dlaczego? Czy jesteśmy państwem policyjnym?

Czasem pojawiał się wtedy uśmiech politowania. Czasem i takie słowo:

— NKWD na waszym miejscu by wiedziało. . .

— Ale my nie jesteśmy NKWD. . .

Uśmiech błąkał się dalej:

— Niech pan tak się nie wzdraga na NKWD . . . NKWD to bardzo mądra, w swoim rodzaju, instytucja. Tylko użyta do *właściwych* celów. . .

Słowa milkły, niedopowiadane, ale myśli jakie wyrzuciły te słowa na wierzch, nurtowały dalej. A ja przypominałem sobie słowa które razem formułowali kiedyś Broniewski i Alter:

— Ludzie co wyszli z Rosji nie będą już nigdy entuzjastami kołchozów, wielbicielami piatiletek, propagatorami Magnitogorska. Ale jak będzie z NKWD — to jeszcze nie wiadomo. System gospodarczy sowiecki nie wzbudzi w nich podziwu; ale czy pewnych rzeczy z systemu państwowego sowieckiego, z *władzy*, nie zechcą niestety przenieść, to inna zupełnie rzecz. . .

Tymczasem istotnie Alter i Ehrlich rozmawiali z wieloma cudzoziemcami. Podobnie zresztą jak wielu Polaków, tak samo wypuszczonych z łagrów. Cudzoziemcy *szukali* dróg do nich i znajdowali je sami. Czemu się dziwić? Cudzoziemiec w Rosji widzi bardzo mało. Po raz pierwszy widziano ludzi, którzy wyszli z łagrów, z Butyrek, z Łubianki, którzy mieli wyroki śmierci. Ekipa wypuszczonych była liczna i barwna. Byli wspaniale wyglądający generałowie, jak Anders, snujący szeroko swe przypuszczenia i widoki wojenne, byli ludzie tak towarzysko brillant, jak ks. Eustachy Sapieha, politycy, pisarze, jezuici. Jakże wstrząsające wrażenie wywierał swoja moralną postawą Eugeniusz Lubomirski! Ale Alter i Ehrlich byli tymi, którzy w tym całym gronie stali najwyżej intelektualnie, i pochodząc z ghetta, byli zapewne najmniej prowincjonalni. Byli naprawdę europejscy. Mówili zapewne nieco gorzej po angielsku, czy francusku. Ale ich angielszczyzna była przez swą treść dwudziesto, a nie osiemnastowieczna. Dla Quentina Reynoldsa, dla Philippa Jordana, dla tylu najświetniejszych publicystów, przysłanych tu przez największe koncerny i najpoważniejsze pisma, byli oni zarazem i najmniej egzotyczni, i najbardziej przekonywujący.

Ostrzał gorliwców szedł niestrudzenie:

— Co oni mogą mówić tym Anglikom o Lwowie i Wilnie?

— Prawdopodobnie to, co mówili w Polsce. . .

— Ładne rzeczy! Przecież Bund to była *prawie* bolszewicka partia. . .

— I pewno dlatego jej przywódcy zaraz poszli do więzienia. . .

— Już MY wiemy lepiej. . .

Jest to, jak wiadomo, ostatni argument na jaki zdobywa się u nas zawsze Zła Wola, a czego jak czego, to tej nam nie zbywa. Kiedy po paru tygodniach pojechałem do naszych obozów wojskowych okazało się, że to co w kołach wokół ambasady krążyło jedynie w podrzucanych podszeptach, tam nadawane było przez megafon. Co prawda nie w namiotach Tockoje, czy Tatiszczewa; ale w pięknym kolumnowym gmachu w Buzułuku i w sali kasyna stanowiło przedmiot wielu rozmów.

Pewien bardzo wybitny człowiek powiedział mi wręcz:

— Pan rozumie, my oczywiście bardzo lubimy profesora Kota, zwłaszcza ja, bo inni już mniej, ale są rzeczy zupełnie niemożliwe. Ten wpływ, jaki mają na niego ci dwaj ludzie, Alter i Ehrlich. To jest żydostwo międzynarodowe, to są nie wiedzieć jakie wpływy, to są ludzie, którzy nie mogą należeć do otoczenia ambasadora Rzplitej. . .

— Ależ nie należą. . .

— O, panie, przecież *JA* wiem. . .

— A *gdyby* należeli, to co?

— Jakto co?

— Ambasador, próbuję tłumaczyć, jest przedstawicielem państwa, które ma nie tylko obywateli narodowości polskiej: mamy także, zwłaszcza wśród ludności kresowej, i inne narodowości. . .

— Szkoda, że pan nie widział, jak się te „inne narodowości" zachowywały po 17 wrzesnia!. . .

— Nie, nie widziałem. Ale nasze stanowisko jest tylko takie, że jeśli nawet zachowały się nielojalnie, to były to wykroczenia części ludności, bynajmniej nie całości. Przewódcy najsilniejszego i najbardziej lewicowego ruchu mniejszości żydowskiej dowiedli swym zachowaniem, że są lojalnymi Polakami. . . Tośmy powinni podkreślać.

Jednocześnie, z innej już strony, rozpoczynał się ostrzał, tym razem jednak już nie niezrozumienia. Szybko bardzo do Kujbyszewa docierały wiadomości o nieporozumieniach antysemickich w wojsku polskim. Echa wydarzeń wrześniowych, złe wspomnienia z łagrów, musiały niejedno zadrażnić. Chodziło jednak o to, aby te zadrażnienia hamować, a nie podsycać, powściągać, a nie pozostawiać. Echa tego, w sposób wyolbrzymiony, dochodziły dziwnie sprawnie do uszu przedstawicieli Zachodu w Kujbyszewie, placówek obcych, prasy. . . Polacy wypuszczeni z łagrów, tak podziwiani, gdy wprost z więzienia szli po broń, by bić się u boku tych co ich więzili, teraz, przedstawiani jako niepoprawni antysemici, tracili na sympatiach. A dla nas było właśnie wtedy tak ważne, aby Polacy posiadali w Rosji sympatie Zachodu!

Alter i Ehrlich wiedzieli o tym wszystkim i cierpieli nad tym. Byli zdania, że nasze czynniki nie robią wszystkiego co trzeba, a także i można, aby to powściągnąć. Ale swym autorytetem, nabytym już wobec szczupłej grupy cudzoziemców w smutnym mieście nad Wołgą, czynili co mogli aby te sprawy przedstawić we właściwym świetle i, co nie mniej ważne, we właściwych rozmiarach. Nie wątpili także, że w tym wszystkim jest czyjaś obca ręka. Że ręce tej jest niewygodne owo tłumne garnięcie się mniejszości narodowych do polskiej armii. Przecież powiadano, że dwa lata temu, jesienią 1939, właśnie te mniejszości nie chciały więcej Polski? A teraz, na oczach obcych, tłumy Żydów, czy Ukrainców garnęły się właśnie do armii polskiej, nie do żadnej innej. A mogły . . Czy nie był to najlepszy plebiscyt?

— Pan chyba rozumie, mówił Alter, że jeśli przedstawicielowi opinii zagranicznej mówi książę Sapieha, że chce aby Wilno należało do Polski, to to jeszcze nie wywołuje w nim zbyt wielkiego wrażenia. Książę Sapieha jest polskim magnatem, ma gdzieś pod Wilnem lasy i ziemie, książę Sapieha jest książę Sapieha. Ale ja nie mam pod Wilnem lasów i ziem,

nie jestem księciem, nie jestem nawet Polakiem. Jestem żydem i jestem socjalistą. Podobno nawet dosyć lewym socjalistą. Jeśli ja, przewódca żydowskiego proletariatu, opowiadam się za Polską, to ma to inny wydźwięk, niż wypowiedź najżacniejszego pana Głowackiego z majątku Pl iszki pod Smorgoniami, czy pana Oszmiańskiego, prokuratora z Wilna. Bo przecież *nikomu* nie wytłumaczycie, że te ziemie są etnograficznie polskie, lub że Żydzi, czy Ukraińcy nie mają w ich sprawach nic do gadania.

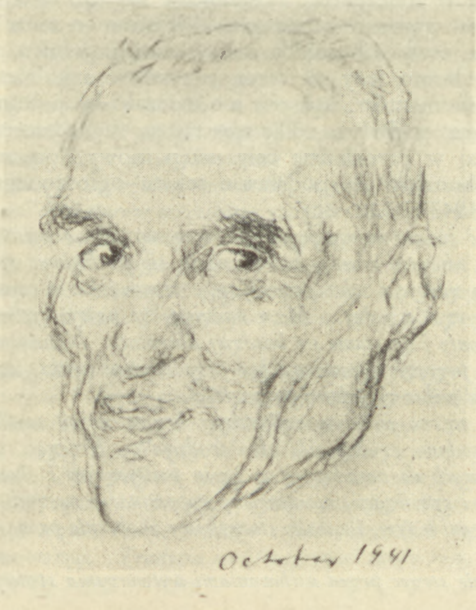
Ja to może i rozumiałem, ale zdaje się, że nie wszyscy to rozumieli. Niejedne starania łagodzące Altera i Ehrlicha nie zostały wykorzystane. Oni jednak działali dalej i dalej zacierali te nieżyczliwe wrażenia, jakie w dziwnie systematyczny sposób dochodziły do opinii cudzoziemskiej. Działali coraz bardziej stanowczo. Jednocześnie ich kontakty z Zachodem zacieśniały się. Mieli zostać korespondentami wielkiego lewicowego żydowskiego pisma w Ameryce.

Być może, że to właśnie co sprawiało, że każdy cudzoziemiec jaki ich napotkał był pod wrażeniem umysłowości tych ludzi, było w innych środowiskach — nie tylko sowieckim — ich nieszczęściem. Byli to naprawdę ludzie dziewiętnastego wieku. Byli to socjaldemokraci czasów Kautsky'ego, Jauresa, Liebknechta, Vanderwelda, wzbogaceni może doświadczeniami naszego czasu, ale okrzepli jeszcze w tamtym okresie. Ich socjalizm był liberalny, a nie totalny, ich rewolucja wywodziła się z barykady, a nie z GPU. Ich pojęcia, mowa, argumenty, ideały, sympatie i antypatie były tymi, które tkwią jeszcze silnie w klimacie moralnym Zachodu, choć w krajach środkowej i wschodniej Europy raczej przeminęły z wiatrem.

Ci, dla których byli najniewygodniejsi, postanowili działać pierwsi. Pewnej nocy, z sali restauracyjnej kujbyszewskiego hotelu został wywołany, ponoć „do telefonu" — „was żdut" — Alter. Wrócił po chwili, jakby podniecony, czy raczej ożywiony. Wyobrażam go sobie w tej wiecznej gotowości do dyskusji, czy refutacji. Powiedział do towarzysza:

— Henryku — jesteśmy proszeni — —

I wyszli, w ciemną, grudniową rosyjską noc. Nie mieli z niej wyjrzeć już nigdy.



Wiktor ALTER

Rys. Feliks Topolski

IGNACY WIENIEWSKI

CHURCHILL O WYCHOWANIU

Sprawa reformy wychowania i systemu szkolnego znalazła się obecnie w zespole najbardziej aktualnych zagadnień „cywilnych" w Anglii. Ożywione dyskusje w prasie, i to nie tylko pedagogicznej, projekty zmian wyłaniane przez brytyjskie czynniki miarodajne, wreszcie przeważająca w społeczeństwie tendencja zdemokratyzowania szkoły angielskiej — wszystko to wskazuje wyraźnie, że szkoła ta stanęła w obliczu konieczności zasadniczej reformy.

My, emigracja polska, obserwujemy to zjawisko ze szczególnym zainteresowaniem. Znajdujemy się bowiem w sytuacji do pewnego stopnia podobnej. Bo przecież przyjdzie niebawem chwila nie tylko doraźnej odbudowy zrujnowanego przez wroga szkolnictwa w Kraju, ale również kładzenia zrębów nowego, prawdziwie demokratycznego systemu szkolnictwa; systemu, któryby istotnie zapewniał równe szanse dzieciom ze wszystkich klas społecznych, a nie takiego, który mimo haseł demokratycznych upośledzałby niektóre warstwy (jak to czynił ustrój jędrzejewiczowski).

Oczywiście należy się wystrzegać bezkrytycznego naśladownictwa. Nie wszystko, co jest słuszne w Anglii, byłoby dobre w Polsce. Szkoła musi być dostosowana do właściwości psychicznych danego narodu, do jego indywidualności kulturalnej i gospodarczej. Ale są pewne prawdy, obowiązujące wszędzie. Jeżeli chodzi np. o zasadę demokratyczności szkoły, to wszyscy wiemy, jak bardzo różnorodne są u nas interpretacje tej zasady, zresztą nie tylko na odcinku oświatowym. Otóż sądzę, że dobrzeby było skontrolować nieco nasze poglądy na tę sprawę przez porówanie ich z poglądami anglosaskimi. Nagromadziło się bowiem u nas niemało przesądów i haseł demagogicznych, które jakby obrosły pojęcie demokracji, zaciemniając jego istotę.

Sposobność do takiej kontroli daje niedawna mowa premiera Churchilla, wygłoszona przez radio w dniu 21 marca 1943 r. Sprawa wychowania zajmuje w niej dużo miejsca, co daje miarę aktualności i doniosłości tego zagadnienia dla Brytyjczyków. Głębokość zaś sądów i trafność sformułowań, połączone z prawdziwie angielskim common sense'm, czynią z tego pedagogicznego credo Churchilla rzecz, którą powinien przemyśleć gruntownie każdy, komu leży na sercu przyszłość szkolnictwa. Jest w tej mowie szereg momentów, których nie należało by pominąć w dyskusjach nad szkolnictwem w Polsce. Dlatego sądzę, że będzie rzeczą pożyteczną przytoczyć tutaj w przekładzie cały ustęp mowy dotyczący wychowania. (Przekładu dokonałem na podstawie tekstu ogłoszonego w „Times" z dnia 22 marca 1943). Oto on:

„*Przyszłość świata należy jedynie do tych narodów o wysokiej kulturze umysłowej* (*highly educated races*), *które umieją się posługiwać aparatem naukowym, niezbędnym do zdobycia sobie przodującego stanowiska w czasie pokoju i utrzymania bytu w czasie wojny. Mam nadzieję, że nasze wychowanie będzie miało szersze horyzonty i że stanie się bardziej liberalne. Nowość nie jest w mądrości wszystkim, a przeszłość powinna być przedmiotem nauki, jeżeli mamy z powodzeniem stanąć wobec zagadnień przyszłości.*

„*Powołam się na jedno z najbardziej brzemiennych myślą powiedzeń Disraelego*: „*Narodami rządzi siła albo tradycja*". *Krocząc stale i niezłomnie od założeń klasowych do narodowych w życiu politycznym i ekonomicznym naszego społeczeństwa i cywilizacji, nie możemy zapominać o naszych tytułach do chwały w przeszłości ani o tym, ile walk stoczyliśmy w obronie praw jednostki i wolności ludzkiej.*

„*Musimy się strzec przed usiłowaniami wytworzenia społeczeństwa, w którym*

nikt nie miałby żadnego znaczenia z wyjątkiem polityka czy urzędnika, społeczeństwa, gdzie przedsiębiorczość nie zyskuje nagrody, a gospodarność nie pociąga za sobą większych uprawnień. Mówię o „usiłowaniach wytworzenia społeczeństwa", ponieważ ze wszystkich narodów świata naród nasz jest ostatnim, któryby się zgodził, by rządziła nim biurokracja. Wolność jest krwią jego życia. Te dwie wielkie wojny, okrutnie dręczące ludzi, uczyniły naród brytyjski panem w jego własnym domu. Społeczeństwo uświadomiło sobie, że obejmuje w posiadanie swe dziedzictwo. Skarby przeszłości, znój stuleci, wyhodowane idee porządnego rządzenia i uczciwości metod, tolerancja będąca wynikiem swobodnie funkcjonujących instytucyj parlamentarnych i wyborczych, oraz wielkie posiadłości kolonialne, jakie znajdują się pod naszą opieką we wszystkich stronach globu, — wszystko to stanowi części owego dziedzictwa, a naród musi być przysposobiony do swych wysokich i odpowiedzialnych zadań.

„Jednostki ludzkie są obdarzone niezmiernie zróżniczkowanymi zaletami i uzdolnieniami, a każda jest odmienna od innych. Nie możemy uczynić wszystkich ludzi takimi samymi. Gdyby tak było, świat wyglądałby dość nudno i smutno. Wszelako jest w naszej mocy zapewnić wszystkim równe szanse. Ułatwienia, umożliwiające wyższe szczeble wykształcenia, muszą być zrównane i pomnożone. Nikomu, kto może korzystać z wyższego wykształcenia, nie wolno odmawiać tych możliwości. Nie sposób kierować nowoczesną społecznością bez należytego dopływu jednostek, na których wychowanie — czy to w zakresie opieki nad dzieckiem, czy w dziedzinie wykształcenia technicznego lub naukowego — łożonoby wiele pieniędzy i czasu.

„Jest jeszcze jeden czynnik, którego nie należy nigdy eliminować z naszego systemu wychowawczego. Mamy w tym kraju zarówno wolność myśli jak wolność sumienia. Byliśmy i jesteśmy pionierami tolerancji religijnej. Lecz obok tego pozostawało zawsze faktem, że religia była i jest w życiu i charakterze narodu brytyjskiego opoką, na której budował on swe nadzieje i zwalczał troski. Tego podstawowego czynnika nie wolno nigdy odbierać naszym szkołom, przyczym przekonuję się z radością o ogromnym postępie, jaki da się stwierdzić wśród wszystkich stowarzyszeń religijnych w pozbywaniu się sekciarskich zawiści i sporów, przy gorliwym zachowywaniu zasad własnej wiary.

„Jeżeli chodzi o samo świeckie szkolenie wielkiej masy naszych uczniów, winno ono być stopniowo przedłużane, a w tym celu musimy zarówno ulepszać nasze szkoły jak kształcić naszych nauczycieli w dostatecznie długim czasie. Nie wolno nam rzucać naszej młodzieży, gdy wyjdzie ze szkoły, bez opieki i dozoru na rynek pracy z jego „ślepymi uliczkami" zawodów, gdzie początek jest tak obiecujący a koniec często tak niegodziwy. Musimy zrobić plany w kierunku zwalniania naszej młodzieży od zajęć w przemyśle na część dnia, celem umożliwienia jej kontynuowania wykształcenia ogólnego a także specjalnego, któreby dało jej lepsze kwalifikacje do wykonywania zawodu.

„Pod opieką naszej starożytnej monarchii, tego bastionu wolności brytyjskich, tej zapory przeciw dyktaturom wszelkiego rodzaju, chcemy kroczyć naprzód jako wielka rodzina, dochowująca przyjaźni zrodzonych w wojnie, wolna na zawsze od przesądów klasowych i innych form snobizmu, od którego w epoce nowoczesnej cierpieliśmy mniej, niż większość innych narodów, a z którego otrząsamy się teraz w zupełności. Wielka Brytania jest płodną matką, a przyrodzony geniusz tryska z całego narodu.

„Zrobiliśmy już duży postęp, ale musimy zrobić jeszcze o wiele większy. Musimy rzeczywiście i bezwzględnie otworzyć dzieciom każdej rodziny drogę do wyższych stanowisk w naszym społeczeństwie i Imperium. Czy będą one zdolne pójść tą drogą, będzie zależało od ich zalet wykazanych w uczciwym współzawodnictwie. Nie wszyscy mogą osiągnąć ten sam poziom, ale wszyscy muszą mieć równe szanse. Oczekuję z upragnieniem Brytanii tak wielkiej, że przewódców jej trzeba będzie brać ze szkół wszystkich typów bez względu na krawaty, jakie noszą. Tradycja może odgrywać swoją rolę, ale obowiązywać muszą obecnie szerzej pojęte systemy".

* * *

Nie trzeba chyba tracić wielu słów dla wykazania, jak głęboko demokratyczny jest program wychowawczo-oświatowy Churchilla. Jest przy tym rzeczą znamienną dla typowo brytyjskiej umysłowości premiera, że ta jego demokratyczność i postępowość łączy się harmonijnie z elementem pozornie konserwatywnym, jakim jest kult tradycji. Ale tradycja, przeszłość nie są dla Churchilla ideałami samymi w sobie: są środkiem do zbudowania na ich fundamencie lepszej przyszłości. W wychowaniu zatem „przeszłość powinna być przedmiotem nauki, jeżeli mamy z powodzeniem stanąć wobec zagadnień przyszłości".

Prawda ta robi wprawdzie wrażenie banalnej, ale ważne jest to, że została wypowiedziana łącznie z innymi tezami, które mają charakter wybitnie postępowy. To czyni je znamiennymi. I to zbliża je tak bardzo do ideałów polskich. Bo przecież i my chcemy dla przyszłej Polski szkoły jak najbardziej postępowej, jak najbardziej przystosowanej do nowych warunków życia, ale równocześnie musimy ją oprzeć na naszej wielkiej tradycji duchowej, na dziedzictwie zachodniej kultury łacińskiej, którą naród polski od wieków się szczyci i o którą dzisiaj wespół z demokracjami zachodnimi walczy. Przeżywamy straszliwą klęskę kultury zachodniej, niebywałą w dziejach od czasu wędrówek ludów i najazdu Hunnów. Gdy kontynent europejski, a z nim Polska, zaczną odbudowywać swą kulturę, fundamentem jej winno być szkolnictwo wyposażone w te pierwiastki, które zawsze stanowiły korzenie jej wielkości, jako kultury polskiej i kultury zachodniej — łacińskiej.

Drugim — obok tradycji — elementem, na którym Churchill pragnie widzieć opartą demokratyczną, postępową i liberalną szkołę brytyjską, jest religia. Uważa religię za opokę, na której naród brytyjski budował zawsze swe nadzieje i zwalczał troski. Ale znowu niema w tym religijnym światopoglądzie ani cienia ciasnego „szowinizmu wyznaniowego", sekciarskiej nietolerancji. Przeciwnie, Churchill zwalcza taką postawę, głosi natomiast hasła tolerancji i wolności sumienia wiążące się z głęboką wiarą i istotną religijnością.

Premier brytyjski ma wyraźną wizję społeczeństwa, jakie ma wyjść z przyszłej idealnej szkoły. Jest to społeczeństwo wolnych obywateli, nie spychanych w cień przez biurokrację, społeczeństwo wyzbyte przesądów klasowych i innych form snobizmu, natomiast kroczące konsekwentnie od założeń klasowych do ogólnonarodowych. Społeczeństwo, którego przewódcy będą wychodzili ze szkół najróżniejszych typów, a nie tylko z tych, które oznacza „krawat" pewnej uprzywilejowanej kasty. To będzie właśnie znamionowało wielkość narodu brytyjskiego, który przez usta swego premiera wytycza sobie dzisiaj drogę do całkowitej demokratyzacji. Czynnikiem zaś dominującym musi być — zdaniem Churchilla — wolność, ta „krew życia" Brytyjczyka. Do takiego ideału nie może doprowadzić szkoła oparta na zasadzie kastowości. Musi to być szkoła demokratyczna.

I tu w kilku mistrzowskich zdaniach rzuca Churchill jasne światło na prawdziwą demokrację w szkolnictwie. Nie chce bowiem, mówiąc o tak doniosłej dla przyszłości narodu sprawie, jak wychowanie, operować mglistymi ogólnikami o niewyraźnej treści, gromkimi sloganami, które można tłumaczyć dowolnie i rozmaicie. Myśli i mówi konkretnie. Dla niego szkoła demokratyczna nie jest bynajmniej równoznaczna ze szkołą zglajchszaltowaną, podciągającą najrozmaitsze typy umysłów, zdolności i upodobań pod jeden strychulec. Tak pojęta „szkoła jednolita" nie ma nic wspólnego z demokracją: przeciwnie,ma wszelkie dane do niwelowania indywidualności, co jest właśnie cechą ustrojów totalistycznych. Szkoła nie może być całkowicie jednolita, gdyż ludzie nie są jednolici, a w tej niejednolitości widzi Churchill właśnie bogactwo życia. Natomiast istota demokratycznego ustroju szkolnego leży gdzie indziej: w zapewnieniu wszystkim dzieciom *równości szans wykształcenia.*

Na tę zasadę kładzie Churchill słusznie szczególny nacisk. Start równy dla wszystkich, a dalsza kariera zależna wyłącznie od zalet umysłu i charakteru. Nie wszyscy mogą osiągnąć ten sam poziom wiedzy, ale dojście do wyższych szczebli wykształcenia musi być umożliwiane w równej mierze każdemu uczniowi, bez względu na klasę społeczną a jedynie według kryterium zdolności.

Zasada postawiona przez Churchilla, jest dla nas szczególnie cenna. W Polsce bowiem panowało pewne pomieszanie pojęć na punkcie demokratyczności szkoły i ujawniło się ze szczególną wyrazistością w reformie jędrzejewiczowskiej. Wskutek błędnego utożsamienia demokratyczności z jednolitością szkoły, w rezultacie szkoła jędrzejewiczowska, choć w zasadzie jednolita, była jednak z gruntu niedemokratyczna. Nie dawała bowiem równych szans wykształcenia młodzieży wszystkich klas społecznych, zamykając w praktyce dostęp do gimnazjum ogromnej części młodzieży wiejskiej. W przyczyny tego faktu nie wchodzę, gdyż są one powszechnie znane.

Równość szans dla wszystkich jest więc zasadniczym elementem demokratycznego charakteru szkoły. Dodajmy do tego, że tendencją prawdziwej i zdrowo pojętej demokracji jest podnoszenie kulturalne szerokich mas społecznych, nie zaś t.zw. „równanie w dół", czyli demagogiczne obniżanie szczytów kulturalnych do poziomu mas.

Churchill utrafił tedy w sedno. Ale w stosunkach polskich szkoła demokratyczna musi spełniać jeszcze inne postulaty, które w Anglii zostały już w przeważnej części zaspokojone. A więc najpierw to, że kraj musi mieć dostatecznie gęstą sieć szkolną, by zapewnić naukę naprawdę wszystkim dzieciom. Powtóre, że szkoła musi być bezpłatna w jaknajszerszej mierze, to znaczy bezwzględnie bezpłatna na szczebłu szkoły powszechnej, a w miarę możności (zależnie od stanu finansowego państwa) również na stopniu szkoły średniej wszystkich typów — przy czym, zdolniejszej a niezamożnej młodzieży, winno się umożliwiać kończenie studiów aż do wyższych włącznie przez odpowiednie stypendia, bursy i inne ułatwienia. Zresztą o tych ułatwieniach mówi również Churchill, gdyż sprawa ta i w Anglii nie wygląda jeszcze idealnie.

Ważną kwestią, na którą zwraca także uwagę premier brytyjski, jest zagadnienie dokształcania młodzieży, już pracującej zarobkowo. Chodzi mu przy tym nie tylko o dokształcanie zawodowe, zwiększające kwalifikacje fachowe tej młodzieży, lecz również o uzupełnianie wykształcenia ogólnego, co ma zasadnicze znaczenie dla podniesienia kultury narodu.

Tak wyglądają postulaty Churchilla w kierunku wychowania o szerszych horyzontach, demokratycznego i liberalnego. I niepodobna nie być pod silnym wrażeniem tej mowy, gdzie pełna doniosłości i powagi treść łączy się z klasyczną prostotą formy; gdzie głęboka religijność kojarzy się z wolnością myśli; gdzie kult tradycji idzie w parze z postulatami postępu; gdzie duma Anglika nie ma nic wspólnego ze snobizmem, którym gardzi; gdzie apoteoza monarchii i imperium nie wyklucza potępienia despotyzmu; gdzie najwyższy urzędnik W. Brytanii występuje przeciw uroszczeniom biurokracji; ale przede wszystkim — gdzie ideał wolności i demokracji znalazł wyraz najpełniejszy i najjaśniejszy.

Należy sobie życzyć, by przy ustalaniu zasad systemu oświaty i wychowania w przyszłej Polsce konkretność pojęć, jasność sformułowań, zwalczanie skostniałych nawyków myślowych, a przede wszystkim szczerość przekonań demokratycznych wystąpiły z równą wyrazistością, jak w orędziu Winstona Churchilla.

JULJAN TUWIM

O LECHITACH, HETYTACH, P. OKOWSKIM W CZERWONEJ BOGATYWCE I T.P. RZECZACH

Był sobie kiedyś, dawno temu, w wieku XVII, ksiądz Dębołęcki, Wojciech z Konojad Dębołęcki, wielce, jak na ciemne swoje czasy, uczony dobrodziej. Napisał on (jeżeli mnie pamięć nie myli), a sprawdzić mi w danej chwili trudno), dziełko p. t. „Przewagi Elearów polskich" — i drugie jeszcze (tu już nie mam wątpliwości, bo książkę, arcyrzadki rarytas, miałem w swej warszawskiej bibliotece) p. t. „Wywód jedynowłasny państwa świata" (r. 1633).

Dowodził tam ks. Wojciech, że Polacy są najstarszym na świecie narodem, że Adam z Ewą w raju po polsku mówili, więc że polszczyzna jest najdawniejszą na ziemi mową. Dowód? Choćby imiona naszych prarodziców: Adam, póki pędził samotny żywot w rozkosznym ogrójcu, mówił o sobie: „jadam", a gdy mu Stwórca dał towarzyszkę życia, zaczął używać staropolskiej formy podwójnej (dualis): „jewa". Całą pierwotną historię ludzkości wyłożył ks. Dębołęcki za pomocą podobnych etymologii. Babilon był np. Babim Łonem, a Matuzalem — Matuściołochem. Biorąc asumpt z tej prastarości Polaków, takimi „dowodami" popartej, przeznaczał ksiądz Polsce przyszłe nad światem panowanie i pierwszeństwo śród ludów ziemi.

Nie dziwmy się naiwności i ignorancji poczciwego księdza — nie było jeszcze Boppów, Grimmów i Pottów, Miklosichów, Jagiców i Potiebniów, Schleicherów, Max-Millerów i Whitneyów oraz tylu innych późniejszych językoznawców, śród których błyszczą wspaniale również i wielkie polskie gwiazdy lingwistyczne, jak Baudouin de Courtenay, Brückner, Nitsch, Rozwadowski, Kryński, Kuryłowicz, Kruszewski, Ułaszyn i cała plejada innych. Nasz ksiądz, samouk i amator, plótł swoje zabawne brednie albo z własnej, rodzonej fantazji, albo z ówczesnych obcych fantasmagoryj lingwistycznych w rodzaju „L'harmonie etymologique des langues" Guichard'a (1606), który znów z hebrajszczyzny wyprowadzał wszystkie języki, a dla wykrycia etymologii (pochodzenia) słowa radził dodawać, odejmować, przestawiać i zamieniać litery; metodę tę usprawiedliwiał tym faktem, że „żydzi pisali od prawej strony ku lewej, grecy zaś i inni, w przeciwnym kierunku". W slawistyce polskiej stał się ks. Dębołęcki postacią przysłowiową; wywody jego i dowody przytacza się dziś na równi z informacjami drugiego księdza, Benedykta Chmielowskiego, autora przesławnych „Nowych Aten czyli akademji wszelkiej scjencji pełnej" (1745). Zresztą, już współcześni kpili sobie z twórcy lechickiego Adama, jak o tym świadczy dowcipny wiersz w „Wirydarzu Poetyckim" J. T. Trembeckiego.

Ksiądz z Konojad znalazł w Polsce długi szereg wyznawców i naśladowców. Pisałem o tym niegdyś w warszawskich „Wiadomościach Literackich" obszerny artykuł („Ksiądz Dębołęcki i jego szkoła"), źródłowo i dość gruntownie traktujący o podobnych bałamutach i andronistach, fantastach i maniakach „prasławiańskiego pierworodu", maniakach nawet w patologicznym tego słowa znaczeniu; bo, jak dowiódł psychiatra rosyjski Sikorski, twórcami takich teoryj są przeważnie zdecydowani paranoicy. . .

Jeden z nich, Platon Łukaszewicz, stworzył osobliwą „lingwistykę porównawczą", w której posługiwał się wynalezioną przez siebie metodą, nazwaną „czaromantja"; polegała ona na czytaniu słów. . . na odwrót, wszystkie bowiem wyra-

zy słowiańskie, zdaniem Łukaszewicza, Niemcy przekręcili.

Inny poczciwy wariat, skromny nauczyciel prywatny (nazwisko jego wypadło mi z pamięci) wydał w Warszawie w r. 1859 książkę o wskrzeszonej wierze „bohów sławian praojców naszych", w której również doradzał czytanie „na odlew"; w ten sposób, przestawiając sylaby, rozrywając i kiereszując słowa, doszedł do fantasmagorycznych wniosków o prawieczystem istnieniu polszczyzny, jota w jotę to samo, co ksiądz z Konojad. Nie można się jednak dziwić ciemnym a pomylonym nieukom, skoro wielcy i najwięksi w narodzie dawali się uwodzić kuszącym, ale pozornym „etymologiom" w rodzaju „Minerwa — mene rwe" lub „Nabuchodonozor — Ne Boh odno car".

Ku wielkiemu memu zdumieniu, znalazłem tę samą PUR SANG dębołęczyznę w Biuletynie Fundacji Pułaskiego (nr. 43 z dnia 23 listopada, r. 1942). Zdawałoby się, że autor zamieszczonego tam artykułu p. t. „Lechici wywiedli się z Hetytów" powinien był, zanim się zabrał do pisania, to i owo przeczytać, dowiedzieć się, przestudiować. W ciągu 300 lat od ukazania się „Wywodu jedynowłasnego" językoznawstwo poczyniło olbrzymie postępy przechodząc z pierwotnego stadium klechd i bajeczek w dziedzinę głębokich, poważnych i nieraz ścisłych badań oraz wniosków. Ale gdzie tam! Pod artykułem w Biuletynie śmiało mógłby figurować podpis ks. Wojciecha z Konojad Dębołęckiego. Dowiadujemy się z tej oszałamiającej publikacji rzeczy następujących (m. i. oczywiście, bo CAŁY artykuł jest jedną wielką bzdurą):

Nazwa Lechitów pochodzi od najstarszego, sprzed 6 tysięcy lat, narodu w Azji Mniejszej, Hetytów, którzy najpierw byli wyznawcami Żubra, później Lwa i Orła, a następnie Słońca. Lew po hetycku — leh, a wyznawcy lwa nazywali się lehhetytami, czyli Lechitami. Ich królem, w roku 3378 przed Chrystusem, był niejaki Dar-Tur, czyli dar + tur (żubr.). W Turcji znaleziono podobiznę tego władcy. Figuruje on na starej pieczęci w czerwonej rogatywce na głowie — „ze srebrnym krzyżem na wierzchu, jak to mają i dziś na swych wojskowych rogatywkach wszyscy polscy oficerowie".

Kiedy król zaczął czcić słońce, wypowiedział walkę wyznawcom lwa. A że ci pogańscy kapłani zwali się „szekami "lub „zakami", więc leh + szek = Leszek, z „zaków" zaś powstały zakony i zakonnicy. Hetyci to właściwie hatyci, „a w czasach babilońskich nazywano ich Hatyńcami, czyli Chatyńcami, a nawet krótko Chati, z czego wniosek, że byli twórcami pierwszej chaty. „Z nazwy tej chaty polskiej wywodzi się chateau, czyli francuski zamek, a także angielski castle". Następnie „hat poszedł na hrast, później na chrust, a drzewo nazywało się w staropolskim języku drewno, wioski zabudowane drewniakami (chatami), nazywano drewniami i t.d.".

Potem, jak wyraża się autor artykułu, „uzyskuje się odkrycie", że (cytuję dosłownie) „Hetyci właściwie mówili po polsku w najwcześniejszej i najprymitywniejszej jego formie". Oto próbki „słownika hetycko-polskiego", zestawionego przez autora: bratra—brat, budno — dno, dul — dziura, dva — dwa, kam — kocham, oko — oko, sikatu — zatyczka, sikatuszka (?!), tupa — kupa i t.d. „Jest to zaledwie drobna część tego niezwykłego słownika — dodaje Biuletyn — można w nim znaleźć i wiele słów mniej podobnych, lecz niewątpliwie służących za źródłosłów dzisiejszej naszej mowy".

O tych podobieństwach pomówimy nieco dalej, tymczasem zachłyśnijmy się innymi rewelacjami owego wstrzasającego odkrycia. Otóż „pierwszy król hetycki ustanowił „Kuru Dynasty", co ma oznaczać „dynastię kuralską, a mówiąc dokładniej(?) dynastię góralską". Dalej: nasi Kurpiowie z okolic Myszyńca są potomkami Kurdów; Palestyna to — Polestan; pierwszym

królem Hetytów był Mons — „tak najwcześniej wyglądało polskie słowo mąż“: i wreszcie: „Miłą sensacją dla nas jest fakt, że król Dartur nazywany był także Ukosi albo Oko si. Uczeni brytyscy wyjaśniają ten fenomen w ten sposób: król Dartur rządził w stolicy zwanej Uku lub Oko i ażeby w języku hetyckim wyrazić, że pochodził on „z Oka“ czy z „Uka“ współcześni mawiali, że był to król „Oko-si“ czy „Uku-si“. Anglicy wyjaśniają, że „si“ meant of or from“. Innymy słowy (?!) król z Oka nazywał się „królem Okosim“ czyli(! !) Okoskim a nawet(! ! !) Okowskim, gdyż w przeciągu 5.000 lat owo „si“ zmieniło się tylko o tyle, że dodaliśmy w środek „k“ i stworzyliśmy „ski“. — — — Ipsissima verba magistri. . . Ręce zaprawdę opadają a uszy więdną.

Jest to tak wyraźna humorystyka pseudonaukowa, że człowiek, obeznany choćby z elementarzem współczesnego językoznawstwa, nie może z autorem artykułu polemizować. To tak, jakby ktoś napisal dziś studium z dziedzny chemii, a za podstawę wziął „fakt“, że woda składa się z powietrza i pytoliny, przy czym pamiętajmy, że żadnej pytoliny w ogóle niema. Tak samo np. nie było nigdy żadnych Lechitów. Wymyślił ich sobie mistrz Wincenty Kadłubek, nawet samego Lecha (Lacha, ruską nazwę Polaka) dorobiono, przez analogię, do Czecha. Gall, o stulecie blisko wcześniejszy niż Kadłubek, nic o Lechitach nie wie. W ten sposób nikną od razu podstawy wszystkich wywodów Biuletynu, bo jeśli nie było Lechitów, to i o Leh-Hetytach daremnie wspominać. Chata jest wprawdzie pożyczką ze wschodu (z Persji), ale, jak twierdzi Brückner, słowo to u nas późne; z chateau, ani z castle, nic a nic, nie ma wspólnego. O czerwonej rogatywce, która przez cztery tysiące lat zachowała na pieczęci swój kolor, w ogóle nie należy mówić, bo wstyd. Lehszek ma tyle wspólnego z Leszkiem, co Ptaszek z egipskim bóstwem Pta. Zakony nie powstały z hetyckiego „zaku“, lecz od tego co ZA KONU (t. j. od początku) bywa. O „hat-hrast-chrust“ i t.d. też przemilczeć wolę, bo to już otchłań ignorancji. Zajmę się natomiast słownikiem. Otoż jest rzeczą stwierdzoną, że język hetycki jest w pewnej mierze spokrewniony z indoeuropejskimi, więc nie dziw, że to, czy inne hetyckie słowo, może z polska pobrzmiewać — ale z równym powodzeniem i z rosyjska i z bułgarska i z niemiecka i z hiszpańska. . . Bo do rodziny indoeuropejskiej należą języki germańskie, romańskie, słowiańskie, celtyckie, bałtyckie, induskie, irańskie i t.d. i.t.d. Bratra może więc istotnie być dalekim prakuzynem naszego brata, ale takim samym jego powinowatym jest niemiecki Bruder, angielski brother, induski bhratar, łaciński i grecki frater i t.d. Hetyckie dwa — to polskie dwa, jak dwa i dwa cztery, ale angielskie two, niemieckie zwei, francuskie deux, łacińskie duo, greckie dyo, indyjskie duwau, są absolutnie w tym samym stopniu z nim spokrewnione, nie tylko tedy Polacy, ale wszystkie narody indo-europejskie mają równe i słuszne prawo do twierdzenia, że Hetyci mówili ich językiem. To samo dotyczy Dar-Tura, do którego równie uzasadnione pretensje zgłosić mogą np. Grecy, jako do swego rodzimego Doron Taurosa. O p. Okowskim, nawet gdyby biało-czerwoną rogatywkę włożył na swą hetycką łepetynę, już i słowem nie wspomnę, bo po prostu nie wypada. Operując tego typu figlologiczną metodą, nic łatwiejszego jak dowieść, że Polacy byli w Ameryce jeszcze przed Indianami, bo np. nazwy stanów i miast amerykańskich są najrodzimiej polskie. Dowód? Służę: Massachusetts — Mięsoczyst, Connecticut — Koniekuty, Illinois — Jelinos, Michigan — Mieczygon, Delavare — Dołowary, Idaho — Ojduchy, Iowa — Jajowo, Kentucky — Kęciuki, Hollywood — Gołowody, Milwaukee — Miłewołki i t.p. Ale czemu ograniczać się tylko do Stanów Zjednoczonych?

Przy dobrych chęciach można cały świat boży zaludnić przedpotopowymi Polakami: Sięgaperz, Tokijów, Brazielina, Kościeryka, Wargącina, Trzypoliż. . . Same lechickie osiedla.

* * *

Żarty na bok. Rozpisałem się o tej na pozór nieważnej sprawie nie tylko dla zrozumiałej chęci sprostowania błędnych informacyj, ale dlatego, że artykuł Biuletynu budzi poważniejsze refleksje.

1) Poco się to robi? Dajmy na to, że Polacy istotnie wywodzą się z Hetytów. So what? jak mówi Churchill. Jakiż to tytuł do chwały? Małoż jest innych, bliższych w czasie i przestrzeni, którymi nie tylko można,ale i należy się chlubić? Narażamy się na to, że nas przyrównają do owych gęsi z bajki Kryłowa, co chełpiły się ze swych kapitolijskich antenatek, które „Rzym zbawiły". Tym bardziej, że siódma do siódmej potęgi woda po kisielu, jaką ewentualnie jest pokrewieństwo hetycko-polskie, straciła w ciągu 6 tysięcy lat smak, barwę i zapach — i jest mętną cieczą, do niczego, prócz wylania, nieprzydatną. Pierwszy lepszy Rumun, Albańczyk lub Portugalczyk posiada antropologicznie, archeologicznie i lingwistycznie, kropla w kroplę, też same, co Polak prawa do „szczycenia się" hetyckimi praszczurami.

I co z tego? Czy ma to być dowodem, że jest „lepszy", „ważniejszy", bardziej w historii ludzkości zasłużony od innych? Kochanowski, Mickiewicz, Chopin, Kopernik, Curie-Skłodowska — tak. Ale Okowski? Że niby taki stary? Starość nie radość.

2) Artykuł w niemiły sposób zalatuje zapaszkiem licznych hitlerowskich „forschungów", mających na celu wykazanie „den urarischen Ursprung" plugawego szczepu germańskiego. Czytałem sporo tych publikacji, pisanych przez „uczonych" z kuźni Juliusa Streichera i Alfreda Rosenberga. Przykro mi to stwierdzić, ale to ta sama piosenka, tylko na teutońską, nie na lechicką, nutę. Ciągle i wiecznie dowodzą swego prawieku, pierworództwa na ziemi nieomal. A co bardziej jeszcze przykre—że zachowują choć pozory naukowości, obstawiając swe historyczne banialuki jakim-takim aparatem naukowym. Zaglądają przynajmniej do słowników etymologicznych.

3) Biuletyn zapowiada, że jego rewelacje ukażą się wkrótce w języku angielskim — to znaczy, że dostaną się do rąk uczonych amerykańskich, angielskich i innych, którzy ładne będą mieli pojęcie o stanie nauki polskiej w r. 1942! Nie należy dopuścić do takiej kompromitacji. Nie zapominajmy, że Fundacja posługuje się czcigodnym imieniem bohatera narodowego Polski i Ameryki. Czy jest rzeczą do pomyślenia, że jakaś (nieistniejąca) Fundacja im. Washingtona zacznie, w celach „propagandowych", rozsyłać biuletyny, dowodzące, że Amerykanie są Assyryjczykami i że król assyryjski Assurbanipal był yankesem i nosił na głowie słomkowy kapelusz z przypiętym gwieździstym sztandarkiem?

Może Polski Instytut Naukowy w New Yorku użyje swego zasłużonego autorytetu i wytłumaczy Fundacji, aby dała pokój zamiarowi tłumaczenia swych „lehetyckich" igraszek na język lehangielski czyli Lew-brytyjski?

DOROTA FALSKA

NOWA LEWICA BRYTYJSKA?

Od pewnego czasu na scenie politycznej Anglii działa organizacja pod nazwą *Common Wealth*. W ostatnich miesiącach ściągnęła ona na siebie uwagę przez swą ożywioną kampanię wyborczą oraz intensywną działalność agitacyjną. W tak zw. wyborach uzupełniających kandydaci *Common Wealth* odnieśli kilkakrotnie niespodziewanie wielki sukces. Trudno dziś ocenić jakie są na dalszą metę perspektywy *Common Wealth* — czy jest to nowa siła polityczna, która na długo utrzyma się w życiu publicznym Anglii, czy też jest to tylko koniunkturalna efemeryda, zawdzięczająca swe powodzenie chwilowemu zbiegowi okoliczności. Bez względu na dalsze perspektywy, działalność *Common Wealth* zasługuje na uwagę, ponieważ jest ona do pewnego stopnia symptomatyczna. Odbijają się w niej nurty nastrojów i poglądów, znajdujących się niejako na marginesie oficjalnego życia politycznego Anglii, lecz mimo to dość ciekawe i charakterystyczne.

Common Wealth jest organizacją młodą, bo założoną niespełna rok temu. Głównym jej inicjatorem oraz ideologiem jest Sir Richard Acland. Acland wyszedł z ruchu liberalnego. Należy do starej rodziny liberalnych ziemian, której członkowie od wielu, wielu pokoleń zasiadali w Izbie Gmin. Rozkład i upadek starej Partii Liberalnej stanowił punkt wyjścia kariery politycznej Sir Richard Aclanda. Zaczął poszukiwać nowych dróg i nowego programu. Jeszcze jako członek Partii Liberalnej występował na łamach prasy angielskiej z ostrymi oskarżeniami pod adresem liberalnego kapitalizmu, wypowiadając pogląd, że własność prywatna przeżyła się i winna ustąpić miejsca własności społecznej. Wkrótce Acland wystąpił z Partii Liberalnej i założył ugrupowanie pod nazwą *Forward March*. Ugrupowanie to działało na peryferiach stronnictw lewicowych w pierwszych latach obecnej wojny. Skupiało ono początkowo tylko nieliczne jednostki, z których najbardziej popularny był Tom Wintringham, niegdyś dyssydent z partii komunistycznej, instruktor wojskowy przy hiszpańskim rządzie republikańskim w okresie wojny domowej oraz do niedawna główny doradca taktyczny brytyjskiego Home Guardu. Równolegle z *Forward March* rozwijała działaność grupa pod nazwą 1941 *Committee*, która skupiała przeważnie literatów i intelektualistów, niekoniecznie zresztą lewicowych, z J. B. Priestley'em na czele. 1941 *Committee* powstał w górnych i chmurnych dniach Bitwy o W. Brytanię, gdy Parlament jak gdyby owładnięty duchem rewolucyjnym, uchwalał radykalne ustawy, dając rządowi prawo konfiskowania własności i łamania wszelkich *vested interests*, mogących hamować wysiłek wojenny. Z fuzji obu tych grup wyłonił się wiosną 1942 — *Common Wealth*. Fuzja jednak nie okazała się trwała. Intelektualiści z 1941 *Committee* nie mogli znaleźć wspólnego języka z politykami z dawnego *Forward March*. J. B. Priestley wycofał się z *Common Wealth*. Charakterystycznym dla stosunków angielskich szczegółem jest, że fuzja rozbiła się m.in. o kwestie religijne. *Forward March* Aclanda głosił pewnego rodzaju chrześcijański komunizm. Mniej radykalni intelektualiści nie chcieli się pogodzić ani z jego komunizmem, ani z jego religijnym zabarwieniem.

Powodzenie *Common Wealth* w ostatnich kampaniach wyborczych i agitacyjnych tłumaczy się prawdopodobnie głównie atmosferą t.zw. truce, czyli rozejmu politycznego między stronnictwami koalicji rządowej. Zdaniem niektórych polityków i pisarzy lewicowych rozejm ten przynosi korzyści jedynie konserwatystom, posiadającym więk-

szość w Parlamencie i narzucającym rządowi swoją politykę. Na mocy rozejmu, stronnictwa koalicji nie zwalczają się w wyborach uzupełniających—konserwatyści głosują, na kandydatów labourzystowskich labourzyści na konserwatystów. W szeregach Labour Party panuje niewątpliwie przeświadczenie, że nastroje kraju sprzyjają lewicy i że, gdyby nie sojusz z konserwatystami, partia mogłaby znakomicie wzmocnić swoje wpływy w kraju, parlamencie i rządzie. Poczucie skrępowania rozejmem powoduje nieuniknione niezadowolenie, oraz fermenty. Na ostatniej konferencji dorocznej stronnictwa, wniosek o zerwanie rozejmu odrzucony został nikłą większością głosów. To niezadowolenie z rozejmu i zastoju politycznego stanowi ów urodzajny grunt, na który padają od niedawna hasła *Common Wealth*. Kandydaci *Common Wealth* i zbliżonych do nich niezależnych zdobyli w serii ostatnich wyborów uzupełniających około 45.000 głosów wobec 68.000 głosów połączonych stronnictw koalicji t.j. konserwatystów, labourzystów, rządowych liberałów i. . . komunistów. Cyfry te niejednemu z publicystów angielskich nasunęły pytanie, czy angielski system dwupartyjny nie ulega już teraz pewnemu przegrupowaniu i czy nie jesteśmy świadkami narodzin trzeciego wielkiego stronnictwa.

Program *Common Wealth* został ostatnio sformułowany przez Aclanda w dość obszernej, doskonale zresztą napisanej, broszurze.* Cechą tego programu jest przede wszystkim radykalna krytyka atmosfery socjalnej i politycznej współczesnej Anglii. Oto co pisze na wstępie Sir Richard Acland (który zresztą wyrzekł się demonstracyjnie tytułu Sir oraz oddał swe dobra rodzinne Powiernictwu Narodowemu): „*Common Wealth* w odróżnieniu od wszystkich niemal innych organizacyj politycznych sądzi, że wyczerpaliśmy już niemal całkowicie możliwości postępu przez wprowadzanie powierzchownych ulepszeń starej struktury. Błąd tkwi w samych podstawach naszego życia politycznego i ekonomicznego. Nasz sposób myślenia o sprawach społecznych jest taki, że prowadzi nieuniknienie do fałszywych odpowiedzi na wszystkie zasadnicze pytania. Nie chodzi więc już o tę, lub inną drobną reformę; chodzi o rozwinięcie w kraju, a zatem w każdej jednostce, całkowicie nowego światopoglądu". Główne ostrze krytyki zwraca się przeciwko temu, co w życiu angielskim przetrwało z okresu wiktoriańskiego, liberalnego kapitalizmu. Autor biczuje brak rozmachu, polotu, wspólnego celu społecznego i beznadziejny nastrój młodzieży. Mówiąc o okresie przedwojennym, twierdzi: „We wszystkich dziedzinach naszego życia publicznego panował absolutny brak zainteresowania. Wychowanie dawało pewną sumę wiedzy, lecz raczej przygotowywało do zawodu i handlu, niż kształciło w duchu zrozumienia i obywatelstwa. Prasa, aczkolwiek wolna od kontroli rządowej, sądziła, że wolimy nagłówki od informacji. Dla rozrywki szukaliśmy tandetnej sensacji w kinach i na wyścigach psów. . . Dla milionów obywateli wypełnianie kuponów footbalowych stanowiło najwyższą formę aktywności intelektualnej. Hitleryzm począł zapuszczać korzenie w społeczeństwie, które socjalnie, politycznie i gospodarczo wyglądało tak samo jak nasze. Przenikliwi obserwatorzy stwierdzali w W. Brytanii i Ameryce 1939 roku wszystkie symptomy upadku, które pojawiły sie w Niemczech o 10 lat wcześniej".

Wojna otrząsnęła społeczeństwo z marazmu, lecz krytyk dostrzega już symptomy nowego kryzysu i przestrzega przed nimi. Opracowanie jasnych wytycznych na okres powojenny jest nieodzowne dla prawdziwego odrodzenia demokracji brytyjskiej. Demokracja jest bowiem nie tylko pewną sumą instytucji i urządzeń politycznych, jest poza tym, lub powinna być *a way of life* — czyli stylem życia.

*Question and Answer from Common Wealth Meetings by Richard Ackland.

oraz domaga się kontaktu między brytyjską polityką zagraniczną a rzeczywistymi ruchami podziemnymi w krajach wrogich i okupowanych. Jeśli chodzi o powojenną organizację Europy, wyrażany jest sceptycyzm co do możliwości zjednoczenia narodów kontynentu na zasadach centralistycznych: ,,Nie widzimy innego rozwiązania jak tylko pewną formą federacji, w której kraje zrezygnują ze swych praw suwerennych, lub też złączą je dla wspólnych celów, zachowując przy tym suwerenność w sprawach o znaczeniu regionalnym." Sir Richard Acland podkreśla przy tym chaos, wytworzony w europejskich stosunkach własnościowych wskutek działań wojennych oraz gwałtów hitlerowskich. Uważa, że wybrnięcie z tego chaosu będzie rzeczą beznadziejną, jeśli reorganizacja odbywać się będzie na tradycynych podstawach własności prywatnej. Niewiadomo jak w istniejących warunkach będzie można decydować, komu,jakim jednostkom winien być przyznany przywilej posiadania na własność kopalń, fabryk i kolei Europy. Wojna, przez stworzenie powszechnego zamętu przygotowała niejako grunt dla uspołecznienia własności. Autor domaga się również, by do międzynarodowego *pool'u* włączone zostały brytyjskie posiadłości kolonialne. Kolonie, nie dojrzałe do mniej lub więcej pełnego samorządu, winny być przekazane międzynarodowej administracji, ,,w której Holender, czy Czech winien mieć te same szanse dostępu i kariery, co Anglik lub Szkot". Parafrazując znany aforyzm Churchilla, autor powiada, że hasłem naszych czasów nie może już być ,,*what we have we hold*", lecz ,,*what we have we pool*". Te radykalne propozycje w kierunku umiędzynarodowienia życia powojennego są tym ciekawsze, że *Common Wealth* uważa się za organizację czysto narodową i w odróżnieniu od ruchu socjalistycznego — nie nawiązuje żadnej łączności z międzynarodowymi kierunkami politycznymi.

Program ten, jak widzimy, brzmi niewątpliwie radykalnie i efektownie, co tłumaczy poniekąd systematyczne powodzenia wyborcze *Common Wealth.* A jednak trudno oprzeć się wrażeniu, że zarzuty stawiane ugrupowaniu ze strony lewicy nie są, przynajmniej w części, bezpodstawne. Krytycy Aclanda przypominają, że pierwsze programy faszystowskie,układane przez Mussoliniego w roku 1919, brzmiały niemniej radykalnie i socjalistycznie. Obawiają się oni, że logika konkurencji z zorganizowanym ruchem robotniczym może stopniowo uczynić z *Common Wealth* narzędzie walki przeciwko socjalistom i związkom zawodowym. Nie brak też w wypowiedziach *Common Wealth* dość dwuznacznego kokietowania pewnych ,,elit społecznych" np. inteligencji technicznej i administratorów przemysłowych. Wprawdzie pisarze *Common Wealth* mówią o konieczności wspólnego frontu inteligencji technicznej i robotników, lecz logika konkurencji z ruchem robotniczym może doprowadzić do wygrywania tej inteligencji przeciw robotnikom. Objekcje te z dużą swadą i siłą przekonywującą wysunął przeciw Aclandowi m.in. profesor Harold Laski na zeszłorocznej konferencji Left Book Club. Być może, że zarzuty te wybiegają zbyt daleko w przyszłość i że antycypują rozwój ideowy *CommonWealth* w sposób zbyt kategoryczny. Lecz niebezpieczeństwa te w stanie bardzo zarodkowym niewątpliwie istnieją. Jest rzeczą prawdopodobną, że przywódcy *Common Wealth* nie zdają sobie z nich nawet sprawy. Ich deklaracje o przyjaźni i solidarności z tradycyjną lewicą mają nutę autentyczności i szczerości psychologicznej.

Ostatnie pytanie, które się nasuwa, to kwestia perspektyw *Common Wealth* na wypadek zakończenia rozejmu politycznego między stronnictwami. Dopiero wówczas można byłoby osądzić, w jakim stopniu nowy kierunek posiada swą własną rację bytu, w jakim zaś powodzenie zawdzięcza wyjątkowej i przemijającej koniunkturze.